

**A HISTORIA
TOCZY SIĘ
DALEJ**



Witold Morawski

A HISTORIA TOCZY SIĘ DALEJ

fragmenty wykładów

wydawnictwo
poltext

Redakcja
Anna Goryńska

Projekt okładki
Amadeusz Targoński, targonski.pl

Skład i łamanie
JOLAKS – Jolanta Szaniawska

Copyright © 2020 by Akademia Leona Koźmińskiego
All rights reserved

Warszawa 2020

Wydanie I

Wydanie publikacji zostało dofinansowane
przez Akademię Leona Koźmińskiego

Książka, którą nabyłeś, jest dziełem twórcy i wydawcy. Prosimy, abyś przestrzegał praw, jakie im przysługują. Jej zawartość możesz udostępnić nieodpłatnie osobom bliskim lub osobiście znanym. Ale nie publikuj jej w internecie. Jeśli cytujesz jej fragmenty, nie zmieniaj ich treści i koniecznie zaznacz, czyje to dzieło. A kopiując ją, rób to jedynie na użytek osobisty. Szanujmy cudzą własność i prawo!

Polska Izba Książki

Więcej o prawie autorskim na www.legalnakultura.pl

Poltext Sp. z o.o.
www.poltext.pl
handlowy@mtbiznes.pl

ISBN 978-83-8175-084-4

Spis treści

Moje intencje	7
1. Rytm życia i historii a polskie transformacje po 1956 roku	11
2. „My” kontra „oni”: zmienne znaczenia fundamentów „nowego początku”	39
3. Liberalna demokracja: napięcia w praktyce i teorii	63
4. Interesy i namiętności: polskie drogi	89
5. Na zewnątrz: zmieniające się współzależności	117
6. Praca, życie, sprawiedliwość społeczna	147
7. Tożsamości i różnice: uwikłania polityczne, społeczne, kulturowe	173
8. Lokalne, narodowe, globalne: głównie o relacjach Polski z UE	195
9. Doganianie Zachodu: jak, kiedy warto, bądźmy sobą	219
10. Jak badać kapitalizm w Polsce? Interesy ekonomiczne są zawsze konstrukcją kulturową	243



Moje intencje

Fragmety wykładów, jakie przedstawiam, nie odpowiadają treściom jakiegokolwiek konkretnego sylabusu, ale były wykorzystane w realizacji różnych sylabusów. Niemniej są elementy łączące całość.

Po pierwsze, przedstawiam przemiany zachodzące w Polsce od 1956 roku, to jest od czasu, gdy przybyłem jesienią na studia w Uniwersytecie Warszawskim. Czerwiec 1956, a potem jesień 1956 to był kolejny „nowy początek” w historii naszego kraju. Najwięcej uwagi poświęcam jednak okresowi 1989–2019. Odwołuję się też do czasów wcześniejszych, bo my – socjologowie – jako badacze głównie współczesności wiemy, że dzięki historii łatwiej nam wyjaśniać genezę wielu zjawisk społecznych. Dałem temu wyraz, umieszczając słowo „historia” w tytule książki, co jest może małym nadużyciem. Alternatywny tytuł to: „A życie społeczne toczy się dalej”.

Po drugie, pokazuję Polskę jako aktywnego członka rodziny europejskiej. Dopiero od 1989 roku realia zewnętrzne umożliwiły pełnienie tej funkcji w pełniejszym

wymiarze. 2004 rok był kolejnym przełomem: Polska została przyjęta do Unii Europejskiej. Instytucjonalne powiązania z Europą są coraz ściślejsze ku powszechnemu zadowoleniu społeczeństwa. Odległy kiedyś świat zewnętrzny jest *de facto* naszym światem wewnętrznym.

Po trzecie, o czymkolwiek piszę, staram się widzieć temat we wzajemnych oddziaływaniach trzech ramion trójkąta: społeczeństwo–gospodarka–polityka. Uwzględniam też doświadczenia Zachodu, którego jesteśmy integralną częścią. Europa ma trzy części, nasza Środkowo-Wschodnia Europa – to „druga Europa”. Jest jeszcze „trzecia Europa” na wschód od nas, co stwarza dla nas szansę na odgrywanie roli pomostu na poziomej linii Wschód–Zachód. Trudne zadanie.

Po czwarte, identyfikuję pewne napięcia i konflikty, z jakimi Polakom przychodzi sobie radzić. Najczęściej są to zjawiska normalne, wręcz funkcjonalnie pożądane dla rozwoju społecznego. Bez nich zamarłoby życie społeczne. Ale spotykamy także konflikty, wobec których jesteśmy bezradni jako jednostki i wspólnoty. Potęgują to populizmy wszelkiej maści, wznecające zjawiska paniki moralnej. Iskry są zmienne, np. imigranci czy osoby biorące udział w Marszu Równości w obronie ludzi LGBT. Na horyzoncie pojawia się wtedy groźba wojny kulturowej. Podobne zjawiska spotykamy w całej Europie.

Po piąte, odwołuję się do metafor rytmu, fal. Podobnie postępują ekonomiści z ich cyklami koniunktury, inni szukają punktów zwrotnych. Wszystko to odbywa

Moje intencje

się w pędzie do przodu, do czego pobudzają niezliczone rankingi. Staram się tym metaforom nadawać sens głębszy, gdyż wspólnym mianownikiem we wszystkich tekstach jest zmiana społeczna. Rola obserwatora, nawet ze statusem naukowca, jest ograniczona w zakresie tego, co zrobić można i jak, bo ostatecznie to społeczeństwo i jego elity decyzyjne nadają zmianie społecznej kształty praktyczne. Warunkiem jest inteligencja i wyobraźnia w budowie instytucji, bo jeśli nie uda się ich właściwie zbudować, ulegną szybko gnicciu.



[1]

Rytmy życia i historii
a polskie
transformacje
po 1956 roku

Żyjemy w czasie – trzyma nas w ryzach i kształtuje – nigdy jednak nie odniosłem wrażenia, że pojmuję go zbyt dobrze [...] wystarczy drobna przyjemność czy nieznaczny ból, by uświadomić nam plastyczność czasu. Niektóre emocje przyspieszają jego bieg, inne sprawiają, że zwalnia; niekiedy zdaje się znikać – aż do tego końcowego punktu, kiedy naprawdę znika, by nigdy więcej nie powrócić – Julian Barnes (2018, s. 9, 10)

Co trzyma nas w ryzach czasu?

Żyjemy wśród nieustających zmian społecznych. Przytłaczają nas często, ale znajdujemy w końcu sposoby dawania sobie z nimi rady. Pomocnych jest w tym wiele rutyn, zawsze pojawia się jednak pytanie: od czego zacząć? Moja propozycja jest tradycyjna, mało raczej dyskusyjna. Odwołać się do „czynności według utartych szablonów” (*Uniwersalny Słownik Języka Polskiego*, 2003, s. 1097), które nabyte przez długą praktykę układają się w rytmy, powtarzalne ciągi wydarzeń najpierw w czasie, a często także w przestrzeni.

Rytmy związane z czasem są bardzo różne. Najczęściej spotykane dotyczą biologii, a tuż za nimi są chyba

rytmy z astronomii. Zaczniemy od biologii, np. od rytmów serca. Gdy bije ono trochę szybciej na widok ukochanej, uważamy, że to normalne, ale gdy pojawia się to, co nazywa się arytmia, udajemy się do kardiologa. Może też chodzić o cykle życiowe: dzieciństwo, młodość, wiek dojrzały, starość. Z astronomii najważniejsze są cykle dni i nocy, czy pory roku, które przybliżył tak wspaniale muzycznie Antonio Vivaldi w *Czterech porach roku*.

Pojęcie rytmu można odnosić właściwie do wszystkich sfer życia. W życiu człowieka religijnego taką funkcję pełnią dźwięki dzwonów kościelnych, które słysząc o określonych porach dnia. W ekonomii dotyczą cyklu koniunkturalnego, w polityce – organizacji wyborów parlamentarnych. Poecie kojarzy się to pojęcie z językiem. Czesław Miłosz pisał: „Język jest moją matką [...] Czułem się w moim języku pewnie, i myślę, że dlatego w nim tylko pisałem, wiersze i prozę – z ambicji – skoro jego tylko rytmy brzmiały w moim uchu, i bez nich nie miałbym nadziei, że to, co robię, jest dobre” (Miłosz, 2001, s. 245).

Pierwszą cechą rytmów jest powtarzalność, ale okazuje się, że nie zawsze. Spotykamy też rytmy swobodne, asymetryczne, czyli „niedające się ująć w taktę” – jak czytamy w słowniku (*Uniwersalny Słownik Języka Polskiego*, 2003, s. 1106). Jak napisałem, wystarczy wiedzieć coś o arytmii serca, by zgodzić się na taką poszerzoną definicję rytmów, ale powtarzalność pozostaje nadal w tle, tyle że bywa chora.

Ograniczam się dalej do uwag o rytmach z perspektyw bliskich socjologii, ale wspomaganej przez historię. Uzasadnienie jest proste: socjologowie skupiają się głównie na współczesności, a historia zapewnić nam może fundamenty i zasugerować zmienne konteksty, bez których analizy współczesności mogłyby zawisnąć w próżni czasu czy przestrzeni. Problem z historią jest trochę podobny do tego, jaki mamy z własnym życiem, pokolenia, narodu. Słyszysz się, że historia się powtarza, ale równie często, że przynosi zawsze coś nowego. Idea rytmów podsuwa rozwiązanie kompromisowe: historia się nie powtarza, powtarzają się natomiast jej rytmy, które „trzymają nas w ryzach”.

Co konkretnie nas trzyma? Jakie emocje nam towarzyszą? Ciepłe, jak te związane z emocjami matki czuwającej dzień i noc nad chorym dzieckiem? Czy zimne, kiedy polityk przedstawia wyborcom wszystkie możliwe opcje, a robi to czasem tak żarliwie, że wyborca dostrzega, iż tenże polityk dokonuje właśnie kolejnej wolty politycznej: jego nowe opcje to nic więcej jak tylko „prawda kolejnego etapu”, czyli taka, która jest mu pomocna w promocji siebie, w karierze. Nikogo to nie zaskakuje, ale co się za tym kryje?

Nie ma na to pytanie łatwej odpowiedzi. Socjologia – jak napisałem – ma uwzględniać doświadczenia z historii, ale z jak odległej historii? Otóż jakieś 5–6 wieków temu czas zaczął być postrzegany inaczej niż przez tysiące lat wcześniej. Zaczęto używać słowa „modo”, które oznaczało „teraz”, czy „ostatnio”. Zna-

czyło to tyle, że czas teraźniejszy zaczyna pomniejszać znaczenie czasu przeszłego i wszystkiego tego, co jest z nim związane: tradycji, religii, przeszłości. Podnosił rangę dnia, tego, co określa się *hic et nunc*. Ów zwrot „modo” dał początek pojęciu „modernizacji”, mającej wtedy na imię Renesans, nawiązującemu – paradoksalnie – do Starożytności po „ciemnych” rzekomo wiekach Średniowiecza. Nie tak już ciemnych, jak oceniają obecnie historycy, bo po upadku imperium rzymskiego w 476 roku i usunięciu scentralizowanej kontroli otworzyły się możliwości na fragmentaryzowaną kreatywność, która prowadziła z czasem do rozwoju kulturowego (uniwersytety, zakony itd.) poszczególnych prowincji Europy i pojawienia się samej Europy (por. Scheidel). Nowoczesność nie odrzucała przeszłości, ale zalecała jej krytyczne przewartościowanie, radykalne lub umiarkowane.

Co zatem buduje rytmy czasu, zdaniem socjologa? Proponuję przyjąć za wielkim poetą – modernistą Thomasem S. Eliotem, ale w ślad także za wielu socjologami, że decydujące są znaczenia, jakie ludzie przywiązują do spraw, które są dla nich bardzo ważne, ważne, mało ważne, nieważne. Wartości i interesy z nimi powiązane są decydujące. Ów poeta tak oto pisał o robotniczym rytmie życia:

Rzeka płynie, pora roku się zmienia
Wróbel i szpak nie mają czasu do stracenia.
Gdy człowiek budować przestanie
Jak będzie żyć?

A historia toczy się dalej

Kiedy pole nie ugór
A pszenica to chleb
Nie dane mu będzie skonanie
W za ciasnym łóżku pod kołdrą za krótką.
To droga
Bez początku i kresu, ani wprost, ani wspak,
Tylko zgiełk zamiast słów, jedzenie nie w smak.
Bez pośpiechu, bez zwłoki
Niestrudzenie tej drogi i kres
Budujemy znaczenie:
Kościół dla wszystkich
Dla każdego zajęcie
Każdy do pracy

(Eliot, 2007)

Socjologów interesują znaczenia, jakie przykładamy do pewnych spraw, bo to one trzymają nas w ryzach czasu, choć odbywa się to różnie w ramach różnych cykli życia, czy historii. Zmiany dotyczą hierarchii spraw, czyli postaw ludzi wobec wyzwań, jakie przynosi życie. Hierarchie zwykły je pozostawać takimi, jakimi miały się od dawna, tradycyjnie, ale w nowoczesności zmian jest więcej, bo pojawia się silne dążenie do równości (egalitaryzmu) i wolności, czyli stare hierarchie ulegać w niej zaczęły spłaszczeniu. Najlepiej opisał to arystokrata Alexis de Tocqueville, w tytule swojej książki umieszczając słowo „demokracja”. Z nowoczesnym sensem demokracji, a także często z jej bezsensem, mamy do czynienia przez ostatnie dwa wieki. Egalita-

ryzm i indywidualizm uzupełniły dawne hierarchie, które nie znikły, ale nie są tak ważne, jak były kiedyś.

Rytmy zmian przyśpieszają w każdej sferze życia rodzinnego, religii, sąsiedztwa, w życiu wspólnot lokalnych, w partycypacji obywatelskiej, w funkcjonowaniu państwa. Źródeł zmian szukać trzeba w ludziach, którzy pewne zachowania powtarzają w takich czy innych rutynach, ale coraz częściej starają się mieć wpływ na bieg rzeczy. Nazywa się to sprawczością (*agency*), której źródeł szukać należy między innymi w coraz większych współzależnościach, jakich ludzie współcześnie doświadczają: w miejscu zamieszkania, w państwie czy regionie państw, np. w UE, w skali całego globu. Sprzyjają temu technologie informacyjne, rynki ekonomiczne, potrzeby społeczne, wymiana kulturowa.

Trzy ujęcia czasu

XIX-wieczne rozumienie czasu w historii można określić jako teleologiczne (Sewell, 2005, s. 81–123). W narracjach na temat praw rozwoju społecznego (Comte’a, Marksa, Tönniesa i wielu innych) znajdujemy opisy takich czy innych sił napędowych wiodących świat ku jakiemuś przeznaczeniu. Niemal zawsze mamy do czynienia z jakościowym skokiem w lepszą przyszłość. W polskiej transformacji po 1989 roku treść przeznaczenia była też znana: na miejsce komunizmu miała pojawić się kapitalistyczna gospodarka prywatno-ryn-

W polskiej transformacji po 1989 roku treść przeznaczenia była znana: na miejsce komunizmu miała pojawić się kapitalistyczna gospodarka prywatno-rynkowa, liberalna demokracja i dojrzałe społeczeństwo obywatelskie. Nasza zmiana systemowa miała imitować to, co było dotąd realizowane przez Zachód. To był wzorzec normalności. Nowy początek nie tyle miał być powrotem do Polski sprzed 1939 roku, ile raczej przybliżyć do praktyk Zachodu.

kowa, liberalna demokracja i dojrzałe społeczeństwo obywatelskie (zob. np. Francis Fukuyama). Nasza zmiana systemowa miała imitować to, co było dotąd realizowane przez Zachód. To był wzorzec normalności. Nowy początek nie tyle miał być powrotem do Polski sprzed 1939 roku, ile raczej przybliżyć do praktyk Zachodu.

Jakiś rodzaj starego rytmu został przywrócony. Komunizm upadł, czyli arytmia w funkcjonowaniu społeczeństwa została usunięta w Polsce po 44 latach, a w ZSRR/Rosji po 74 latach. Taki zwrot wydarzeń przewidziało bardzo niewielu ludzi. Ja do tego grona nie należałem. Polskie społeczeństwo witało nowy początek euforycznie między innymi dlatego, że było zmęczone dodatkowo wieloletnim kryzysem ekonomiczno-społecznym, trwającym od połowy lat 70. XX wieku. Euforii sprzyjała powszechna zgoda narodowa nie tylko na kierunek zmiany: przyłączenie się do Zachodu, ale także ze względu na sposób, w jaki do niej dochodziło. Bezkrwawo! Pierwszymi owocami zmiany były częściowo wolne wybory w dniu 4 czerwca 1989 roku, a następnie powołanie rządu na czele z niekomunistycznym premierem. Polskie rozwiązania były na ustach całego świata, uznawane jako nowatorskie i kto wie, czy nie jest to największym powodem do naszej dumy narodowej w XX wieku?

Szybko pojawiły się zakłócenia rytmu. Sygnalizowały one nie tyle załamanie kierunku zmian ku rynkowi i demokracji, ile rozbieżności w określeniu sposobów

Trwa poszukiwanie alternatywnych rozwiązań. Świadczą o tym posunięcia administracji Trumpa, brexit, rywalizacja USA–Chiny, kryzysy w Unii Europejskiej. Polska i kraje Europy Środkowo-Wschodniej, stwierdziwszy, że UE nie jest panaceum na wszystkie kłopoty, próbują same być bardziej innowacyjnie, ale jak dotąd, nie znajdują rozwiązań w pełni satysfakcjonujących. Chaos jest wszędzie coraz większy.

dochodzenia do tych celów. Stawało się jasne, że nasza transformacja nie będzie odbywać się w ramach rytmów znanych z Zachodu, że przynajmniej niektóre z rytmów muszą być naszego własnego chowu. Wejście do NATO, a potem przystąpienie do UE, nie zmieniały tej konstatacji. Codzienne doświadczenia Polaków potwierdzały, że w kraju dzieje się nie zawsze dobrze, choć sukcesy ekonomiczne odnotowywano bez przerwy. Potrzeby materialne ludności mimo to pozostawały nie w pełni zaspokojone. Pokłady biedy pozostawały ciągle wysokie, ale z drugiej strony emigracja milionów ludzi z kraju dowodziła, że przybywały nowe sposoby radzenia sobie z wyzwaniami życia osobistego i publicznego.

Zakłócenia obrazu świata jako całości pojawiły się na początku lat 90. XX wieku na Bałkanach – miejscu styku trzech religii, gdzie rozpadała się Jugosławia. Huntington nazwał te wojny „zderzeniami cywilizacyjnymi” (Huntington, 1997). Rozpad Jugosławii ujawnił wielkie moce konfliktu kulturowego, wyrastającego na tle religii, języka, tradycji kulturowej. Jego zdaniem nowe konflikty kulturowe miały zastąpić stare podziały polityczne z czasów zimnej wojny. Uwidoczniać się zaczęły różne strukturalne kwestie, nie tylko ekonomiczne, które, wbrew oczekiwaniom, pogłębiała neoliberalna globalizacja. Przyniosła ona wielki kryzys 2007/2008, jakiego Zachód nie pamiętał od lat 30. XX wieku. Nie spodziewał się go wcale.

Doszły do głosu podziały i napięcia polityczne. Trwa poszukiwanie alternatywnych rozwiązań. Świadczą o tym posunięcia administracji Trumpa, brexit, rywalizacja USA–Chiny, kryzysy w Unii Europejskiej. Polska i kraje Europy Środkowo-Wschodniej, stwierdziwszy, że UE nie jest panaceum na wszystkie kłopoty, próbują same być bardziej innowacyjnie, ale jak dotąd, nie znajdują rozwiązań w pełni satysfakcjonujących. Chaos jest wszędzie coraz większy. Historyk z Berkeley Daniel J. Sargent, przemawiając w Amerykańskim Stowarzyszeniu Historycznym, scharakteryzował nowego ducha świata jako taki, w którym jest mniej miejsca dla USA. Grzebanie Pax Americana przez Donalda Trumpa odbywa się obecnie na polu golfowym, a nie „na koniu”, jak to odnotował filozof G.W. Hegel w 1806 roku w Jenie (Tooze, 2019). Zapomniał o Twitterze, którego Trump używa namiętnie.

Świat jest na kolejnym etapie powtarzalnego rytmu 3x30, jakiego doświadcza Zachód od II wojny światowej. Najpierw przeżywał „cudowne 30 lat” dobrobytu opartego na interwencjonizmie à la Keynes, następnie 30 lat nadziei opartej na neoliberalnie funkcjonujących globalnych rynkach, a obecnie zapewne wszedł w kolejne 30 lat. Kilka silnych państw stara się dzielić świat bez zgody większości innych państw, które z kolei uznały, że nadszedł czas na powiększanie ich autonomii, władzy.

Wiara w powtarzalność rytmów staje się mniejsza, jednak nie znika. Imperatywem jest znajdowanie ja-

kichś reguł zaradczych, które raz wprowadzone przez jakiś czas zdają się działać, potem przestają i wraca rytm naprawy. Nowe rytmy odbiegają od znanych wcześniej, a zwłaszcza od tych, które miały w sobie silne ładunki abstrakcji proveniencji heglowskiej czy marksistowskiej. Za dużo w nich było abstrakcji i kryjącej się za nią wizji mechanizmów. Rozum miał przesądzać, że relacja przyczyny–skutki daje się łatwo projektować i wcielać praktycznie. To wielka przesada tak twierdzić, to często błąd. Takie teorie i wizje nie dość, że bywały utopijne, to czasem prowadziły do zbrodni.

Szuka się więc także innych wyjaśnień historii. Amerykańska eseistka zgrabnie o tym napisała: „Myślenie w kategoriach przyczyn i skutków zakłada, że historia posuwa się naprzód, ale historia to nie armia. To krab kroczący na boki, kropla wody drążąca skałę, trzęsienie ziemi przerywające wielowiekowe napięcia. Niekiedy jedna osoba wystarczy, by tchnąć ducha w ogromny ruch, a czasem same jej słowa wysłuchane kilka dekad później, niekiedy parę gorąco zaangażowanych osób inicjuje masowy ruch a zmiana nadchodzi niczym zmiana pogody” (Solnik, 2019, s. 12). Dlatego wracam do typologii cytowanego wcześniej autora, do jego dwóch innych teoretyczno-analitycznych ujęć czasu: eksperymentalno-porównawczego i wydarzeniowego (Sewell, 2005, s. 81–123).

Ujęcie wydarzeniowe jest skrajnym przeciwieństwem teleologicznych wizji-teorii, nakazuje skupiać się na bieżących zdarzeniach, w których sami uczest-

niczymy. To jest „świat płynności”, by odwołać się do tytułów książek Zygmunta Baumana, jednego z teoretyków postmodernizmu. Bohaterowie takich ujęć mają czas wypełniony czynnościami dnia codziennego: konsumpcją, podróżami itd. Te spojrzenia dobrze wychwytyują pewne cechy naszych czasów, ale z drugiej strony – mogą być uświęcaniem tejże rzeczywistości, gdyż jest to świat bez żadnych kotwic, bez hierarchii, bez ryz. Pojawia się mnóstwo małych prawd, bo jeśli nawet owe wydarzenia są pokazywane w jakichś kontekstach, to brak ukazania twardszych fundamentów przekreśla nadzieje na znalezienie tego, co nazywa się prawdą. Prawd jest tak wiele, że wszystkie są równie ważne. Lub nieważne, a to jest pełzający relatywizm, będący cechą naszej cywilizacji, na który dojrzały ludzie nie chcieliby się zgodzić. Problem jest poważny, bo kultura popularna widziana jest jako kultura dominująca. Tak jest najczęściej doświadczana (Marek Krajewski, 2005).

W podejściu pośrednim, zwanym eksperymentalno-porównawczym, na mapach czasu i przestrzeni pojawiają się pojemniejsze jednostki analityczne: działania skokowe *vs* gradualne, współzależności o charakterze geopolitycznym *vs* współzależności technologiczne, państwa duże *vs* małe (np. imperia, hegemoni). Czas po II wojnie światowej kształtują kolejne fale globalizacji, umacniając współzależności rozmaitego typu w rezultacie wpływów rewolucji technologiczno-informacyjnej, poszerzania rynków ekonomicznych, dążeń do zapewnienia bezpieczeństwa, zaspokajania potrzeb

społecznych, uszanowania różnorodności kulturowej. Ten świat jest zarazem jednością i różnorodnością, jest w pewnych okresach bardziej stabilny i harmonijny, czyli bardziej powtarzalny, ale w innych jego rytmy są bardziej swobodne. Nassim Taleb czasy powtarzalności ekonomicznej opisywał jako „białe łabędzie”, a czas po kryzysie 2007/2009 roku określił jako czas rzadko spotykanego „czarnego łabędzia”. Dlatego nie pozostaje nam nic innego, jak porzucić zarówno tradycyjne ujęcia wzięte ze Wschodu, wskazujące na powtarzalność, cykliczność (nawet po kole), ale też odrzucić nazbyt „postępowe” pojęcia linearne, które dyktował Zachodowi rozum od czasów Oświecenia. Potrzebne są rozmaite ujęcia czasu, bo ich użyteczność testujemy dla różnych potrzeb.

Rytm dwóch transformacji: wewnętrznej i systemowej

Przejdę do rozważań o dwóch transformacjach, jakie obserwowałem osobiście. Pierwsza z nich miała charakter wewnętrzny i składała się z trzech prób transformacji w okresie 1956–1989: kolejno pod rządami Gomułki, Gierka i Jaruzelskiego. Reformowano w nich socjalizm państwowy, ale kiedy wszystkie reformy zakończyły się klęską, pojawiło się w 1989 roku określenie „komunizm”, choć wcześniej w Polsce używano go rzadko. Używano takich określeń jak Polska

Rzeczpospolita Ludowa czy Polska Zjednoczona Partia Robotnicza. Nie jest błędem określać nasz system komunizmem, ale z pewnością różnił się on znacznie od radzieckiego, chińskiego i wielu innych. Podobnie jak w tamtych, silnie tliła się nadzieja, że system da się udoskonalić, a kiedy zdano sobie sprawę, że nie da się systemu naprawić, elita komunistyczna weszła w negocjacje z opozycją demokratyczną.

Po raz kolejny świat zobaczył Polskę jako odbiegającą nieco od tego, co kojarzono i nazywano „obozem komunistycznym”. System implodował, ale pomogła w tym przegrywana konkurencja z efektywniejszym Zachodem. We wszystkich dziedzinach. Przyczyną upadku były fałszywe definicje natury człowieka i ogólniej – wzajemnych relacji między społeczeństwem, gospodarką i polityką. Zachodnie definicje były trafniejsze, dlatego gdy tylko system upadł, pojawiło się hasło „powrotu do normalności”, w domyśle – zachodniej. W Polsce klęskę systemu przyspieszył masowy ruch społeczny Wielkiej Solidarności, który, podobnie jak kiedyś legiony Piłsudskiego czy powstania wielkopolskie i śląskie, wykorzystał geopolityczną przegraną komunizmu z kapitalizmem.

Polska rodziła się po raz kolejny, a nowe początki polegały na transakcji umiarkowanych elit władzy dotychczasowej z umiarkowaną demokratyczną opozycją w ramach Okrągłego Stołu wiosną 1989 roku. Ze względu na wspomnianą geopolitykę symbolem upadku komunizmu nie stała się brama Stoczni Gdańskiej im.

Lenina, ale Brama Brandenburska w Berlinie. Rytm historii globalnej pozbawiły nas tytułu pierwszeństwa. Wbrew utopii, obwieszczanej w *Manifeście partii komunistycznej* przez Karola Marksa i Fryderyka Engelsa w 1848 roku, nie socjalizm i komunizm stały się kolejnymi rytmami w sekwencji zmian historyczno-ustrojowych, ale kapitalizm, zły – ich zdaniem – z natury. Ich naukowe prognozy okazały się ideologiami, które uzasadniały krwawe rozprawy klasowe, pochłaniające miliony ofiar ludzkich.

Druga transformacja, to jest ta, dla której najczęściej rezerwuje się pojęcie transformacji. Zaczęła się w 1989 roku i polegała na zmianie systemu socjalizmu państwowego/komunizmu na system nazywany gospodarką rynkowo-prywatną, liberalną demokracją czy, jakby wstydliwie – kapitalizmem. Zapowiadano pojawienie się sekwencji rytmów powtarzalnych, bo oczekiwano, jak pisałem – przywrócenia „normalności” typu zachodniego. Operacyjną formułę wybrano z tego samego worka, co utopię marksistowską. Nawiązując do filozofii heglowskiej, Francis Fukuyama obwieścił „koniec historii”, czyli nieco podobnie, jak wspomniany już Hegel, który zobaczył Napoleona jak „rozum na koniu” w liberalnej demokracji i kapitalistycznym wolnym rynku. Napoleon i jego armie faktycznie niszczyły stare porządki w całej Europie, posługując się hasłami Oświecenia i Wielkiej Rewolucji Francuskiej. Nasz kochany wieszcz Adam Mickiewicz pisał o Napoleonie z zachwytem: „Od czasów Jezusa nikt nie zrealizował na

Ziemi więcej niż on”. Nieprzypadkowo Bonaparte znalazł się w słowach naszego hymnu narodowego.

Nasze oceny transformacji systemowej po 1989 roku rozciągają się od pełnych zachwyty nad „szokami neoliberalizmu” do jego potępienia jako dzieła niemal Szatana od 2007/2008. Zachód długo wmawiał sobie i innym, że mimo zmian był/jest spójny, czyli powtarzalny. Takim nie był nigdy i nie jest dziś. Polska, dołączysz do Zachodu, dzieli z nim jego cykle ekonomiczne, polityczne i inne. Skazani jesteśmy na zmiany, bo jesteśmy bliżej innowacyjnego świata. Różnimy się między sobą i z Zachodem w wielu sprawach. Inaczej być nie może. Grecy dawno temu też różnili się między sobą. Na dobre i na złe. Ateńczycy byli zawsze gotowi szukać nowego i to nowe często znajdowali. W odróżnieniu od mieszkańców Sparty. Na przykład uznali demokrację za coś cennego, choć znali jej ciemne strony. Byli twórczo zmienni, powiedzielibyśmy – innowacyjni. Natomiast mieszkańcy Sparty i system, który sobie zbudowali, wyżej stawiał hierarchię, hołubił tradycję i porządek wojskowy; reprezentowali cnoty, jak się zdaje, bliższe konserwatystom.

Przestrzeń to pierwszy element w określaniu rytmów czasu

Przestrzeń ma wymiar zarówno intymny, osobisty, jak i społeczny czy globalny. Charles Baudelaire tak defi-

niował w XIX wieku człowieka nowoczesnego: „być z dala od domu, ale czuć się jak w domu”. Człowiek nowoczesny jest otwarty na to, co „nowe i efemeryczne, ulotne i przemijające”. Stwierdzenie to jest ogólne, gdyż warunki tej definicji spełniają tak bohaterowie starożytności, jak bliższego nam w czasie Szekspira czy postaci Molly i Leopolda Bloomów z *Ulyssesa* Joyce’a, utworu – wzorca nowoczesności (Lechte, 1999, s. 367). Starożytni czy nowocześni ludzie doświadczają przygód – to banał, ale one same nie są wystarczającym kryterium nazwania kogoś nowoczesnym. Odpowiedzi należałoby szukać głębiej, głównie w tym, jak bohaterowie traktują swoje przygody, jaki jest ich autorski udział w ich kreowaniu, jakimi kierują się wartościami. To daje wyobrażenie o skali trudności w badaniu czasu i przestrzeni w nowoczesności.

W kształtującej się od VII–VIII wieku naszej ery Europie tych zmienności było wiele, a wśród nich na czoło wybija się to, że Europa wytwarzała i umacniała swoją tożsamość w walkach z kolejnymi najeźdźcami, głównie z zewnątrz. Niejedno brała od takich czy innych „barbarzyńców” (Modzelewski, 2004). Była niejednorodna, rozproszona, co uważane jest często za czynnik sprzyjający przyszłym sukcesom (Jones, 1987). Centrum Europy stale wędrowało. Przed rozkwitem kultur przestrzennie związanych wprost z Europą ulokowane one były na Bliskim Wschodzie, czyli w Azji, dlatego padają oskarżenia o kradzież historii przez Europę/Zachód. Dotyczy to także czasu, religii, języka, alfabetu

itd. (Goody, 2009). Następnie, po wielkich czasach kultur rejonu Morza Śródziemnego, Grecji i Rzymu, przyszedł czas na rozkwit gospodarki i kultury w północnej Europie (Anglia, Niderlandy). Wtedy to następuje Wielkie Rozwidlenie między Europą i Azją, a tym samym dla okresów wcześniejszych bardziej stosowne jest pojęcie kontinuum; samo pojęcie Eurazji to sugeruje. Ostatnio centrum Zachodu jako przestrzeni mieści się po obu stronach Atlantyku. Obecnie Zachód ma konkurencję. Od II wojny światowej świat modernizuje się „wielorako” – jak wielokrotnie pisał Shmuel Eisenstadt. Dlatego inaczej patrzy się na przestrzeń na Zachodzie, inaczej na Wschodzie, inaczej na Południu.

Postrzegano przestrzeń różnie w różnych czasach. W XVI wieku modernizacja oznaczała rozpowszechnienie tego, co sobą reprezentował Zachód, a służyły temu wyprawy Kolumba, Magellana i innych. Nowa przestrzeń musiała się kojarzyć z podbojem, nowymi imperiami, czyli nie tylko z rozwiązaniami korzystnymi dla wszystkich. Adam Smith opiewał opływanie Przylądka Dobrej Nadziei, bo sprzyjać to miało handlowi i umacniać dobrodziejstwa „niewidzialnej ręki rynku”. Korzystanie z geografii odbywa się wedle zmieniających zasad. Może być ona źródłem zarówno pożądanej zmiany, jak i zagrożeń. Potęgę geografii pokazuje w swoich książkach Jared Diamond, ale zarazem dowodzi, że geografia zmusza do budowy określonych strategii, m.in. o charakterze geopolitycznym, co analizuje na przykładach z sześciu krajów (Finlandii, Japonii, Chile,

Indonezji, Niemiec i Australii) w książce *Upheaval: How Nations Cope with Crisis and Change*. Kiedy zagrożenie nadchodzi z zewnątrz, państwa i społeczeństwa odrzucają ortodoksyjne ujęcia, dlatego zdaniem Johna Graya zarzut determinizmu geograficznego wobec Diamonda jest nietrafny (Gray, 2019, s. 12). Na przykład, wspomniani Finowie w okresie 1939–1944 stracili 100 000 ludzi, czyli 5% całej populacji mężczyzn (to jest porównywalne do 9 milionów Amerykanów). Potrafili stawić bohaterski opór Rosji.

Znamy dyktowane przestrzenią/geografią bohaterские i tragiczne karty z życia innych narodów. Przebiegające w odmiennych rytmach czasu i historii. Nie tylko w rytmach podboju imperialnego. Obecnie znaczenie przestrzeni i związanej z nią odległości wyznacza połączenie rewolucji technologicznych i inżynierii ekonomicznej towarzyszącej budowie rynków regionalnych i globalnych. Jeszcze niedawno orzeczono, że „świat jest płaski” (Friedman, 2005), a inni napisali, że odległość jest martwa, a tymczasem jest to niebywałe uproszczenie. Dystans ma nadal znaczenie, a efekty negatywne odległości były większe w okresie między rokiem 1950 a 2000 niż w okresie 1870–1913–1939. Badania 1467 ocen wziętych ze 103 artykułów naukowych dowodzą, że „Przeciętnie każde 10 procent wzrostu odległości obniża handel dwustronny o 9 procent” (Wolf, 2019, s. 9). Handluje się najłatwiej z tymi, co są najbliżej, np. z sąsiadami. Może wyjaśnia to niektóre kłopoty z brexitem?

Nasza przeszłość w dużym stopniu określa dziś, ale fatalizm, jaki towarzyszy myślom po niej w ciągu ostatnich kilku wieków, znika, choć powoli. Linie przetrzeźni są po upadku komunizmu inne, a „mapy poruszone”, jak pokazuje to P. Czapliński (2016). Dominujące wcześniej powiązania Wschód–Zachód zmieniły swoją naturę, choć są nadal ważne. Coraz silniejsze powiązania pojawiają się na liniach Północy z Południem. Wprowadza to poszukiwania dla Europy Środkowo-Wschodniej, zwanej czasem „drugą Europą” (Rosja byłaby ewentualnie – trzecią, chyba że nazwie się sama EurAzją?) na drogę powiązań ze światami zewnętrznymi: Europą Zachodnią, USA, Chinami, Indiami itd. Nie istnieje jeden świat, ale „wiele światów”. Wybieramy to, co nam odpowiada, a umożliwiała to transformacja, ale nie dowolnie i nie zawsze na trwałe.

Co potrafimy i jak?

Globalizacja sprawia, że możliwe jest coraz lepsze korzystanie ze współzależności regionalnych i globalnych, ale historia globalizacji pokazuje, że po fali przyptywu pojawić się może fala odpływu, jak się to stało w okresie 1914–1945, czy, jak niektórzy widzą to ponownie, po kryzysie ekonomicznym 2007/2008. Pola wyborów podlegają wtedy zwężeniu czy nawet zamykaniu się, choć to raczej wyjątkowe. Historia się nie skończyła, ale widzimy, że sama przynależność do Zachodu ma swoje

ograniczenia. Przynosi nowe wyzwania, nakazuje szukać lepszych sposobów walki o miejsce w świecie. Wymaga to m.in. odpowiedniego przywództwa politycznego. Jak pisze Andrzej K. Koźmiński, wymaga to „wykuwania stopni w lodowcu” (Koźmiński, 2013, s. 236–253), umiejętności inteligentnego „rozpychania się”, bo wszystkie społeczeństwa/narody chcą się przesuwać do przodu w rytmach przyspieszonych.

Polska dobrze wykorzystała pierwsze 30 lat po 1989 roku, ale stała się „domem podzielonym” (określenie Abrahama Lincolna dla USA), gdyż jedni zdają się chcieć „Polskę zamykać”, a inni „Polskę otwierać”. Może to szkodzić kształtowaniu lepszej przyszłości. Jest to fałszywe uproszczenie, ale narzuca je takie, a nie inne sąsiedztwo, Wspólnota Atlantycka, wymogi przyrody, własne zaślepienia, braki instytucjonalne. Trudno o dobre działania proaktywne. Za dużo jest ciągle działań reaktywnych. W centrum uwagi pozostają powiązania zewnętrzne, co wszystkie strony sporów zdają się rozumieć.

Nie możemy nie uwzględnić rytmów funkcjonowania systemów zewnętrznych, których jesteśmy elementem: UE, NATO, itd. Zewnętrzne staje się wewnętrzne: prawo unijne to także prawo polskie. Wiele się zmieniło w toku transformacji, kiedy to Polska ostentacyjnie głosiła potrzebę imitacji wzorów z gospodarki zachodniej, które wywodziły się z neoliberalizmu. Miało to zapewnić naszej gospodarce reguły normalności. Tymczasem reguły te są prawie wszędzie kwestionowane.

Jeśli jesteśmy częścią Zachodu, to także jego cyklu 3x30 lat. Pierwszym było keynesowskie 30 lat po II wojnie światowej, w nim udziału nie braliśmy. Drugi zaczyna się w okresie 1979–1981 (Thatcher – premierem, a Reagan – prezydentem), do którego doszliśmy 10 lat później. To był okres dominacji neoliberalnej gospodarki rynkowej. Trzeci zaczyna się od kryzysu gospodarczego 2007–2008, który trwa, a my w nim. Charakteryzuje się szukaniem protekcjonizmu gospodarczego (nawet w nacjonalizmie gospodarczym), rozwiązań bilateralnych, podkreśleniem znaczenia państwa narodowego, odrzuceniem wiary w samoczynne globalne rynki, przywracaniem znaczenia państw narodowych.

Weszliśmy w rytmy o szerszym charakterze. O ile wejście w komunizm nie zaskakiwało, bo mieliśmy w pamięci czas rozbiorów, o tyle upadek komunizmu dawał nadzieje na udział w zdrowszych rytmach globalnych. Są one zdrowsze, ale wymagają umiejętności dostosowania się do nich.

Jeśli jesteśmy częścią Zachodu, to także jego cyklu 3x30 lat. Pierwszym było keynesowskie 30 lat po II wojnie światowej, w nim udziału nie braliśmy. Drugi zaczyna się w okresie 1979–1981 (Thatcher – premierem, a Reagan – prezydentem), do którego doszlusowaliśmy 10 lat później. To był okres wspomnianej dominacji neoliberalnej gospodarki rynkowej. Trzeci zaczyna się od kryzysu gospodarczego 2007–2008, który trwa, a my w nim. Charakteryzuje się szukaniem protekcjonizmu gospodarczego (nawet w nacjonalizmie gospodarczym), rozwiązań bilateralnych, podkreśleniem znaczenia państwa narodowego, odrzuceniem wiary w samoczynne globalne rynki, przywracaniem znaczenia państw narodowych.

Ułomności rozwiązań są widoczne w każdym cyklu, niemniej te cykle/fale są faktem, są ramami/rytmami, które wyciskają swoje piętno na wszystkich. Każdy czas, jak informuje cytat z początku tych rozważań, trzyma wszystkich w jakichś ryzach, ale zawsze inaczej niż wcześniej. Nie wiemy, jak długo potrwa czas, w którym aktualnie jesteśmy, ale zapewne nie mniej niż 30 lat. Rytmy te są coraz bardziej swobodne, zmienne, asymetryczne. Kryzys 2007/2008 pojawił się dopiero 70–80 lat

po kryzysie z lat 30. XX wieku, kiedy ludzie zdążyli zapomnieć, że istnieje coś takiego, jak „czarny łabędź” (N. Taleb). Czy nadejdą rytmy dłuższe, nikt pewności mieć nie może.

Bibliografia

- Barnes, J. (2018). *Poczucie kresu*. Warszawa: Świat Książki.
- Czapliński, P. (2016). *Poruszona mapa. Wyobrażenia geograficzno-kulturowa polskiej literatury przełomu XX i XXI wieku*. Kraków: Wydawnictwo Literackie.
- Eliot, T.S. (2007). *Chóry z „Opoki”*. W: *W moim początku jest mój kres*. Warszawa: Świat Książki.
- Friedman, T. (2005). *Świat jest płaski*. Poznań: Dom Wydawniczy Rebis.
- Goody, J. (2009). *Kradzież historii*. Warszawa: Wydawnictwo Naukowe PWN.
- Gray, J. (2019). Learning to Deal. *Literary Review*, May.
- Huntington, S.P. (1997). *Zderzenie cywilizacji*. Warszawa: Muza.
- Jones, E.L. (1987). *The European Miracle*. Cambridge University Press.
- Koźmiński, A.K. (2013). *Ograniczone przywództwo. Studium empiryczne*. Warszawa: Poltext.
- Krajewski, M. (2005). *Kultury kultury popularnej*. Poznań: UAM.
- Lechte, J. (1999). James Joyce. W: *Panorama współczesnej myśli humanistycznej*. Warszawa: KiW.
- Miłosz, Cz. (2001). *Abecadło*. Kraków: Wydawnictwo Literackie.
- Modzelewski, K. (2004). *Barbarzyńska Europa*. Warszawa: Iskry.

- Scheidel, W. (2019). *Escape from Rome*. Princeton University Press.
- Sewell, W.H. (2005). *Logics of History. Social Theory and Social Transformation*. University of Chicago Press.
- Solnik, R. (2019). Żyj jakbyś już zwyciężył. *Gazeta Wyborcza*, 19–20 października.
- Tooze, A. (2019). Is this the end of American century? *London Review of Books*, 4 April 2019.
- Uniwersalny Słownik Języka Polskiego* (2003). Warszawa: Wydawnictwo Naukowe PWN.
- Wolf, M. (2019). Global Britain is an illusion because distance has not died. *Financial Times*, 17 May.



[2]

„My” kontra „oni”:
zmiennie znaczenia
fundamentów
„nowego początku”

Definicja demokracji i jej polskie zastosowania

Abraham Lincoln w adresie gettysburskim w 1863 roku mówił o odrodzeniu idei wolności, określając demokrację jako: „rządy ludu, przez lud, dla ludu”. Każdy z tych trzech elementów definiowany był w historii na wiele sposobów. Ich realizacja, poczynając od greckiej agory aż do współczesnych systemów politycznych, dokonywała się stopniowo. Podobnie było w Polsce, choć zajmę się zwłaszcza kształtowaniem się konceptu My–Lud od 1956 roku.

Pozytywna odpowiedź na pierwsze z trzech pytań: kto jest „ludem”, zaczyna być udzielana 4 czerwca 1989 roku, kiedy to odbyły się częściowo wolne wybory do sejmu, a w pełni wolne do senatu. Ostatecznie wymóg został spełniony 27 października 1991 roku, kiedy odbyły się pierwsze po II wojnie światowej w pełni wolne wybory do sejmu. Więcej niewiadomych dotyczyło dwóch pozostałych elementów. Określić sens zwrotu „przez lud” to tyle, co ustalić zasady funkcjonowania ustroju państwa. To jest zadaniem konstytucji, a ta została przyjęta dopiero w 1997 roku, w Polsce później niż w większości krajów naszego regionu. Określenie zaś „dla ludu”, czyli dotyczące reguł realizacji wartości

i interesów w codziennym życiu obywateli, firm, jednostek samorządu lokalnego itd., nabierało praktycznie sensu już od 1 stycznia 1990 roku, kiedy wszedł w życie tzw. plan Balcerowicza. Nie była to odpowiedź w pełni zadowalająca społeczeństwo, skoro obok wielu sukcesów, jakie plan ten przyniósł, doprowadził do wysokiego niezadowolenia w społeczeństwie, czego pokłosiem był powrót rządów postkomunistycznych w 1993 roku. Nikt chyba nie spodziewał się takiego obrotu sprawy?

Wprowadzanie w życie trzech wymogów definicji odbywa się wszędzie na świecie w procesach trwających setki lat. W Polsce było podobnie, choć tutaj interesują nas te procesy, które przypadły na transformację ustrojową. Jej kształt był rezultatem tzw. Okrągłego Stołu, czyli kompromisu reformatorskich elit upadającego systemu i umiarkowanych elit wyłonionych przez Solidarność. Obie strony podeszły do zmiany systemowej jako transakcji „coś za coś”, co znajdowało uznanie nie tylko w społeczeństwie polskim, ale także w opinii światowej. Pierwszym punktem zrealizowanej umowy były wybory 4 czerwca 1989 roku. Kontrowersje, jakie się wówczas zarysowały, nie zniknęły, odwrotnie – pogłębiały się w miarę upływu czasu. Źródeł coraz to nowych podziałów społeczno-politycznych przybywało, stale przybywa. Powodem jest kształt transformacji ustrojowej.

Transformację ustrojową widziano na dwa sposoby. Albo w duchu oczekiwań wyrażonych spektakularnie przez Francisca Fukuyamę, który napisał, że wraz z upadkiem komunizmu „historia się skończyła”, czyli krajom

postkomunistycznym wystarczy imitacja zachodniej „normalności”: liberalnej demokracji i wolnorynkowej gospodarki kapitalistycznej (Fukuyama, 1992). Elity lokalne, także polskie, myślały podobnie. Oczekiwano szybkiego „przejścia” (*transition*) od gospodarki centralnie planowanej i zarządzania nakazowo-rozdzielczego do gospodarki prywatno-rynkowej w ramach neoliberalnej terapii szokowej, zgodnie z tzw. konsensusem waszyngtońskim. Realizacja tej wizji została częściowo zmodyfikowana od 1993 roku, a jest jeszcze mocniej rewidowana od 2015 roku. Albo też w duchu – to jest drugi sposób patrzenia na transformację – zaleceń mówiących o konieczności ograniczenia tempa zmian, co równałoby się z gradualnym trybem zmian. Znaczyło to wówczas tyle samo, co przyjęcie opcji socjaldemokratycznej. Ale ta perspektywa znajdowała w Polsce rozwinięcia bardzo rzadkie, jeśli nie wyjątkowe, a najpełniej w publikacjach Tadeusza Kowalika (2010). Poza granicami zaś myśl taka była analizowana np. w publikacjach Clausa Offe, który przedstawił całą panoramę opcji i ograniczeń w budowie strategii zmiany systemowej, odrzucając utopijne opcje zerowe (Offe, 1996).

Początkowo dominowała wyraźnie pierwsza perspektywa, ale kolejne lata transformacji przynosiły tak wiele kłopotów, że umacniało się przekonanie o konieczności zakwestionowania lub nawet odrzucenia paradygmatu imitacyjnego. W jej odrzuceniu pomocny okazał się kryzys ekonomiczny, rozpoczęty na Zachodzie w okresie 2007–2008. UE nie potrafiła sobie długo z tym kryzy-

sem poradzić. Polska wyszła z niego obronną ręką (tzw. zielona wyspa), ale mimo to wiele aspiracji społecznych nie zostało zaspokojonych. To wyjaśnia, dlaczego powiódł się program PiS z 2015 roku. Zakładał on, z jednej strony, konieczność podnoszenia stopy życiowej ludności, zwłaszcza warstw mniej zasobnych, a z drugiej, podtrzymania tradycyjno-religijnego modelu życia. Odpowiadało to wielokrotnej diagnozie o miejscu Polski na mapach współczesnych wzorów wartości w świecie, jakiej dostarczały empiryczne badania Ronalda Ingleharta (m.in. Inglehart i Welzel, 2005). Na tych mapach Polska nie jest nigdy ulokowana wśród społeczeństw, które mają poza sobą problemy materialne (*survival*), ani też nie znajduje się wśród tych społeczeństw, gdzie dominują wartości samowyróżnienia siebie (liberalne, świeckie, racjonalne).

Proponowany tutaj schemat analizy transformacji zachęca do odrzucenia zarówno zbyt optymistycznych strategii imitacji, jak i pesymistycznych przepowiedni ugrzęźnięcia w anarchii ze względu na działanie „zależności od szlaku”, np. pojawienia się anarcho-kapitalizmu, jaki zapanował w Rosji za rządów Jelcyna (np. Anders, 1999). Identyfikuję wstępne warunki, jakie trzeba pokonać, aby iść naprzód. Umieszczam na kolejnych kondygnacjach analizy następujące kwestie: na fundamencie – związane z pytaniem: kto i kiedy staje się ludem; na pierwszym piętrze – kwestie angażujące racjonalność i rozum w związku z pytaniem dotyczącym tego, jak lud ma rządzić, czyli jakie urządzenia ustrojowe

są optymalne; na drugim piętrze – kwestie wartości i interesów, które obejmują odpowiedź na pytanie: co to znaczy realnie rządzić „dla ludu”.

Emocjonalne fundamenty relacji „my” kontra „oni”?

Formalnie na sprawę patrząc, dwa lata trwało w Polsce spełnienie wymogu, aby „lud” został w pełni uznany za „lud”: między 4 czerwca 1989 roku a 27 października 1991 roku. Faktycznie był to tylko ostatni etap długich zmagania społeczeństwa o to uznanie. Ich początek przypada na okres od 1944/1945 roku, ale wkraczają one w fazę wyraźnego przyśpieszenia dopiero od 1956 roku. Dopełnienie pierwszego wymogu: uznania ludu za „lud”, odbywa się poprzez znajdowanie odpowiedzi na pytanie: Jaki realny sens ma zwrot »przez lud«, a także zwrot »dla ludu«? W odpowiedzi na drugi wymóg mamy zasadniczo dwie możliwości. Albo lud zostaje dopuszczony do decyzji zgodnie z wymogami demokracji przedstawicielskiej, czyli oddaje się *de facto* władzę elitom, dla siebie – ludu, pozostawiając tylko możliwość wymiany jednej elity na drugą w wolnych wyborach, albo same-mu ludowi pozostawia się możliwość decydowania, czyli zgodnie z wymogami demokracji bezpośredniej: przez referenda, współzarządzanie zakładem pracy itd.

Jak doszło do odpowiedzi na te dwa pytania, wymaga charakterystyki długiego procesu formowania się

wspólnoty politycznej, która w Polsce była często metaforycznie określana jako „my”. Budowana była w kontrze do władzy określanej jako „oni” (np. Torańska, 1994). Był to proces wieloetapowy. Pierwszy etap rozpoczyna się w latach 1944–1945, kiedy idąca na Berlin armia radziecka ustanawia podległą sobie władzę w Polsce określanej jako PRL. Nie była to władza wyłoniona demokratycznie, bo w toku jej umacniania podeptano to, co określa się jako suwerenność czy tożsamość narodową. To był początek formowania się „my” w opozycji do „oni”, ale dodać trzeba, że nie było to nic specjalnie nowego dla społeczeństwa polskiego, jeśli uwzględni się historię 123 lat niewoli rozbiorowej. Odbudowa kraju, a następnie intensywna industrializacja PRL, sprzyjała masowemu uchodźctwu ludzi ze wsi do miasta i do przemysłu, co miało swoją uwodząca moc, jak charakteryzował jaśniejszą stronę totalitaryzmu historyk gospodarczy Alexander Gerschenkron: „byłoby naiwnością sądzić, że narzędzia fizycznej represji są wystarczające [...] uprzemysłowienie można uzasadnić obietnicą szczęścia i dostatku przyszłych pokoleń [...] wtedy władza dyktatorska nie napotka znaczącego oporu” (Gerschenkron, 1962).

Opór w Polsce władza napotkała, ale bardziej zorganizowany opór pojawia się dopiero od czerwca do października 1956 roku. Wtedy zaczyna się przyspieszone formowanie wspólnoty zwanej „my”. Bunt powtórzył się w grudniu 1970 roku, a następnie w 1980 roku. Można mówić o cyklach politycznego dojrzewania na-

szego społeczeństwa. Najbardziej aktywnymi uczestnikami buntu byli robotnicy z wielkich zakładów pracy, czyli ludzie niedawno przybyli ze wsi.

Oprócz cykliczności wybuchów społecznego wrzenia należy wskazać, że w okresie 1980–1981 następuje jakościowe przyspieszenie kształtowania się „my”: bo pojawił się 10-milionowy ruch społeczny „Solidarność”. Ten ruch zasługuje na określenie „Wielka Solidarność”. W wizjach tego ruchu silne były postulaty demokracji bezpośredniej. Robotnicy uważali, że wielkie zakłady pracy, dotąd państwowe, powinny być uspołecznione przez mniej lub bardziej radykalne formuły współzarządzania. Robotnicy mieli poparcie dla swojej wizji w encyklice Jana Pawła II *Laborem exercens*, ogłoszonej jesienią 1981 roku, o której *nota bene* nikt dziś nie chce pamiętać, a przecież doskonale oddawała ona nastroje tamtego czasu.

Stan wojenny ten ruch osłabił, ale nie załamał go. Kiedy geostrategiczna przegrana komunizmu z Zachodem stała się widoczna w drugiej połowie lat 80. XX wieku, to w mniej ortodoksyjnych siłach w obozie władzy pojawiła się myśl o potrzebie operacyjnego kompromisu z tymi ludźmi w ruchu Solidarność, którzy widzieli sens w przygotowaniu radykalnej reformy/zmiany systemu. Pierwsza runda zmian nastąpiła w ramach obrad tzw. Okrągłego Stołu między umiarkowanymi elitami Solidarności (bez radykałów) a umiarkowanymi elitami wyłonionymi przez władzę (reformatorzy partyjni, ale nie beton). Operacja ta doczekała się wielu analiz,

w tym także nieprzychylnych, a wspólnym mianownikiem krytyk były zachowania kalkulacyjne czy transakcyjne obu elit. Chodzi o działania w myśl zasady „coś za coś”.

Rozwiązanie było nieznane wcześniej w obozie komunistycznym. Ciemniejsza strona medalu tej zмовy elit stała się bardziej widoczna później. Ci „spóźnieni rewolucjoniści” wcześniej czasem też popierali Okrągły Stół, ale zaczęli narzekać, że oddanie władzy w ręce liberalno-lewicowych środowisk było błędem. Głoszono, że Zachód jest wzorem ideowym jak i praktycznym, a przecież Zachód ma swoje liczne ułomności, a my – Polacy mamy swoje zalety, które naśladownictwo Zachodu pomniejszało. Związane z tym było, choć eksponowane słabo lub nieszczerze, przeświadczenie, że wejście na drogę demokracji przedstawicielskiej oznaczać musi porzucenie marzeń o demokracji bezpośredniej, która robotnikom wydawała się możliwa kilka lat wcześniej. Jest prawdą, że nie była to realistyczna propozycja, bo sprzeczna z minimalistyczną teorią demokracji Josepha Schumpetera, była wszak szeroko obecna przez kilka pierwszych lat transformacji w postaci choćby spółek pracowniczych (Jarosz, 1996). Od 2015 roku dochodzą kolejne argumenty i to również wobec demokracji przedstawicielskiej. Mianowicie: upartyjnienie decyzji, etatyzm, autorytarny styl rządzenia, łamanie rządów prawa, a wszystko w ramach zachowania tzw. demokracji wyborczej, czyli jednak demokracji, choć ułomnej.

Polskie rozwiązanie problemu różniło się początkowo od rozwiązań w innych krajach obozu postkomunistycznego. O ile w Polsce odbywało się to w kompromisie z władzą, o tyle w Czechosłowacji czy NRD tego kompromisu nie było: tam betonowi partyjnemu nie dano szans na zaistnienie. Jeszcze inne były przypadki Jugosławii czy ZSRR, w których wejście na drogę demokracji odbywało się w ramach rozpadu państwa (z udziałem starych sił). Do określenia „my” w tych państwach dochodziło w warunkach wyłaniania się nowych państw, które wcześniej nie istniały jako suwerenne państwa narodowe. Przypominało to sytuację z końca I wojny światowej.

Podłoże zmian w ramach państw determinowała najczęściej geopolityka. To jest teza banalna, ale warto ją stale przypominać, bo siły społeczne w każdym państwie mają skłonność do podkreślania swojego decydującego wkładu w bieg wydarzeń. Potrafią przecenić siebie. Spójrzmy na Polskę. Nie mając własnego państwa przez 123 lata i ponownie po II wojnie światowej, Polacy doświadczyli wielokrotnie znaczenia geopolityki. Wszystkie organizowane powstania przeciw zaborcom skazane były na niepowodzenie właśnie z jej powodu. Czy ze względu na zмовę trzech zaborców z 1795 roku, czy później, ze względu na działanie „koncertu wiedeńskiego” z 1815 roku. Walec geopolityczny działał dalej, ale w 1918 roku i w latach 1989–1991 zadziałał dla nas wielce korzystnie. Ponownie niekorzystnie od 1944–1945.

Blisko 200 lat ostatnich lat naszej historii nauczyło nas myśleć coraz bardziej innowacyjnie o naszym otoczeniu. Kalejdoskop rozwiązań, jakie proponowano, jest imponujący, ale w jednym był stały: nie da się zlekceważyć bliskiego otoczenia na linii Wschód–Zachód. Koncepcje były często rozbieżne, ale budowane z myślą o podobnym celu, głównie niepodległości. Pozytywiści kontra romantycy czy socjaliści kontra endecy. Rozbieżności nie znikają po latach 1944–1945, kiedy nowy walec geopolityki dociera do Polski. Na scenę wkracza nowy podmiot. Zniszczony tuż po II wojnie światowej ruch ludowy, który skupiał najwięcej ludzi zaangażowanych politycznie (na wsi mieszkało najwięcej ludzi!), ma swoje twórcze przedłużenie: ludzie wsi przenieśli się w wyniku uprzemysłowienia i innych procesów do fabryk i miast, i to oni jako wielkoprzemysłowi robotnicy stali się głównymi grabarzami starego systemu.

Ten paradoksalny rezultat dokonał się wbrew intencjom władzy w procesach, których efekt okazał się tak imponujący. Powstała szeroka wspólnota polityczna, którą określamy jako „my”. Nadzieja na jej powstanie nie była widoczna przez pierwsze około 10–12 lat od 1944 roku. Była jakby ukryta w ludziach masowo opuszczających wieś, aby budować nowe zakłady przemysłowe i nowe miasta. Chodzi o miliony ludzi pochodzenia chłopskiego, którzy tworzyli nieznany wcześniej typ nadziei. Uczestniczyli w przewrotnym procesie uprzemysłowienia, bo z jednej strony proces ten służył legitymizacji władzy komunistycznej, ale z drugiej, kształtował

Powstała szeroka wspólnota polityczna, którą określamy jako „my”. Nadzieja na jej powstanie nie była widoczna przez pierwsze około 10–12 lat od 1944 roku. Była jakby ukryta w ludziach masowo opuszczających wieś, aby budować nowe zakłady przemysłowe i nowe miasta. Chodzi o miliony ludzi pochodzenia chłopskiego, którzy tworzyli nieznaną wcześniej typ nadziei. Uczestniczyli w przewrotnym procesie uprzemysłowienia, bo z jednej strony proces ten służył legitymizacji władzy komunistycznej, ale z drugiej, kształtował przyszłych bohaterów Stoczni Gdańskiej, Ursusa, Nowej Huty, Pafawagu i setek innych zakładów przemysłowych. Okażą się oni demiurgami zmiany społecznej jako wielkoprzemysłowa klasa robotnicza. Skuteczniejsi niż szlachetni szlachecty powstańcy XIX wieku.

przyszłych bohaterów Stoczni Gdańskiej, Ursusa, Nowej Huty, Pafawagu i setek innych zakładów przemysłowych. Okazą się oni demiurgami zmiany społecznej jako wielkoprzemysłowa klasa robotnicza. Skuteczniejsi niż szlachetni szlacheccy powstańcy XIX wieku.

Wkraczają aktywnie na scenę polityczną po raz pierwszy w 1956 roku w postaci czerwcowego powstania robotników i społeczeństwa Poznania, a następnie wychodząc z inicjatywą tworzenia rad robotniczych powstających jesienią w FSO w Warszawie pod kierunkiem Lechosława Goździka. Dopełniają to wydarzenia na szczytach władzy jesienią 1956 roku, kiedy zmiany w kierownictwie PZPR stają się zapowiedzią „socjalizmu z ludzką twarzą”. Określano to jako „polski październik”, ale podkreślę, że ma on dwa odmienne nurty zmian: jeden – oddolny, ludowy, głównie robotniczy, drugi – odgórny, dokonujący się w ramach PZPR, który został szybko wygaszony. Oba te procesy wskazują na pojawienie się znaczącej odrębności Polski na tle obozu, m.in. uznania prywatnej własności chłopskiej jako czegoś akceptowalnego pod pewnymi warunkami, czy nieco większych swobód, np. dla środowisk akademickich.

Odtąd rytmiczne wybuchy gniewu robotniczego, a z czasem ogólniej – pracowniczego: 1956, 1970, 1980–1981, wyznaczają rytmy historii społecznej, politycznej i ekonomicznej całego kraju. Rytmy te miały charakter dwutaktu: „tak” – „my” kontra „nie” – „oni”, czyli władza. Ten dwutakt nie był początkowo tak wyraźny. Przypomnę, że przywódca robotników na Żeraniu był

członkiem PZPR. W okresie 1980–1981 członkowie partii wstępowali do Solidarności, ale rzadko pełnili w niej funkcje kierownicze. Dwutakt „my–oni” ukształtował się ostatecznie po wprowadzeniu stanu wojennego. Wcześniej, czyli od 1956 do 1980–1981 roku, majaczyła w głowach ludzi, a wśród nich takich jak ja, nadzieja na reformę wewnątrzsystemową. Określano ją „trzecią drogą”, „socjalizmem z ludzką twarzą”, „decentralizacją”, „samorządnością pracowniczą”, „reformą rynkową”, „koegzystencją systemów” po konferencji w Helsinkach. Oczekiwania te były nierealne, ale rozpowszechnione. Opisywał je Leszek Kołakowski jako nadzieje na „upieczenie śnieżek”. Stan wojenny te nadzieje ostatecznie odesłał do krainy utopii.

Rytm cyklicznych wstrząsów społecznych zawisł nad systemem, choć tenże stale ogłaszał, że jest zdolny do „doskonalenia się”. Pojęcie to zrobiło karierę w dobie rządów Edwarda Gierka. System padł pod ciosami Wielkiej Solidarności w okresie 1980–1989. Jej siła oparta była bardziej na emocjach niż na wiedzy o tym, co może nadejść. Nie mogło być inaczej, bo skąd ludzie mieliby dobrze wiedzieć, jaki jest realny kapitalizm. Emocje to wiedza jakby „z oddali”, która jest pełna nieokreślonych treści, ale intuicyjnie trafna i o potężnej czasami sile. Mam na myśli oceny braku zdolności komunizmu do rywalizacji z kapitalizmem/Zachodem. Silna, bo oparta była na emocjach, na walce o godność pracy i godność człowieka. Nie tylko na kalkulacji, tej było mało, o wiele za

mało, ale nie to było wówczas najważniejsze. W programach Solidarności mieszano ze sobą trafne intuicje co do diagnozy sytuacji, a terapie obarczone były wadami braku wiedzy o realiach kapitalizmu. Emocje były wielkie, bo podeptane zostały elementarne wartości i interesy społeczeństwa. „Oni” działali, opierając się na fałszywych wyobrażeniach o człowieku i choć nadrabiali spóźnienia ekonomiczne, to odbywało się to bez rachunku kosztów. Dlatego utracili władzę.

Nadzieja na taki obrót sprawy mogła się spełnić jedynie w warunkach korzystnej konfiguracji geopolitycznej, tj. przegranej konkurencji systemu komunistycznego z kapitalizmem. Bez tego działalność Solidarności zakończyłyby się klęską podobną do klęsk powstań narodowych w XIX wieku. Robotnicy wielkoprzemysłowi mieli więcej szczęścia niż szlacheccy powstańcy. Dopiero w warunkach klęski trzech zaborców w I wojnie światowej geopolityka stworzyła warunki powodzenia legionistom Piłsudskiego i powstańcom Wielkopolski i Śląska. Podobnej rangi okoliczności powstały w 1989 roku: ZSRR i komunizm przegrały zimną wojnę z Zachodem. Bez tego warunku elity komunistyczne nie byłyby gotowe do szukania kompromisu z Solidarnością.

Po stronie opozycji rozumowanie przebiegało równolegle: zgoda na instalację reprezentacji „my” w systemie rządzenia była kompromisem w imię solidarności społeczeństwa, bezpieczeństwa państwa i moralnej wyższości budowy „nowego początku” bez krwawego starcia. Serie wydarzeń, które do tego prowadziły, wy-

niosły polskie doświadczenie wysoko w opinii europejskiej i światowej. Wyrazem tego była m.in. Nagroda Nobla dla Lecha Wałęsy.

Zmienne znaczenia relacji „my” kontra „oni”

Odmierna jest kolejność typów walki społeczeństwa o budowę „nowego początku” w ramach komunizmu w porównaniu np. z realiami rozbiorowymi. W tych ostatnich punktem wyjścia i dojścia była najczęściej niepodległość, widziana jako rodzaj warunku wstępnego działalności na wszelkich innych polach. Teoretycznie po II wojnie mieliśmy sytuację podobną, bo PRL miała ograniczoną suwerenność, która mogła przypominać Księstwo Warszawskie czy Królestwo Kongresowe, jednak pierwszym dążeniem społeczeństwa był cykliczny bunt w ramach narzuconego systemu władzy, bunt, w którym postulaty materialne szły w parze z walką o godność człowieka pracy. Niepodległość nie pojawiała się wśród postulatów aż tak powszechnie, jak się czasem pisze, choć była stale obecna, ale jakby w ukryciu. Przypisuje się czasem tę powściągliwość świeżej pamięci hekatombi powstania warszawskiego 1944 roku. Wystarczy porównać węgierskie powstanie i tysiące poległych tam ludzi i nasz Październik 1956. Ostatecznie niepodległość stała się łącznym rezultatem, z jednej strony, buntów robotników wobec władzy, która nie potrafiła

„My” kontra „oni”: zmienne znaczenia fundamentów „nowego początku”

rozliczyć się ze swoich szczytnych obietnic, a z drugiej, warunków geopolitycznych, które nam sprzyjały (prze-grana rywalizacja komunizmu z Zachodem).

Do 1989 roku treść relacji była wyrazista, to znaczy: „my” – lud kontra „oni” – władza komunistyczna. Kiedy formalnie znikają „oni”, rośnie znaczenie odpowiedzi na pytanie, czy sprawujące władzę elity realizują trzeci wymóg definicji, tj. „dla ludu”? Dwa główne powody wątpliwości, jakie się mogą pojawić, są proste. Pierwszy dotyczy logiki gospodarki prywatno-rynkowej, która wyraża się zawsze i wszędzie rosnącymi nierównościami ekonomiczno-społecznymi, co spotyka się zawsze z uniwersalną kontrą społeczeństwa dążącego do równości warunków życia w społeczeństwach współczesnych. Pierwszy zapowiedział to klarownie Alexis de Tocqueville. Dotyczyć to może równości szans, co popierają liberałowie, ale też równości warunków życia, wobec czego liberałowie są powściągliwi, a co na sztandarach wysoko umieszczają socjaldemokraci. Drugi powód wątpliwości to logika liberalnej demokracji proceduralnej, która oznacza rządy zmiennych elit (od wyborów do wyborów) skrywających swoje działania pod płaszczem abstrakcyjnych często dla ludu rządów prawa.

Oba te powody wzmacniają w społeczeństwie przekonanie, że rządzi oligarchia, z którą konflikt jest nieunikniony. Nazywa się to często populizmem, który rodzi oligarchia (w czasach greckich – demokracja), co znaczyłoby, iż nawet *welfare state* ludziom nie wystarcza,

Wszystkie rządy w Polsce po 1989 roku miały na uwadze dobro ludu, ale definiowały to dobro odmiennie. Koalicje liberalne czy liberalno-lewicowe mocniej akcentowały potrzebę realizacji równości szans, natomiast socjalkonserwatywne rządy PiS mówią wprost o równości warunków życia. Odpowiada to społeczeństwu, w którym, jak niezmiennie pokazują to kolejne wydania badań Ronalda Ingleharta, najczęściej spotykane wartości mają w Polsce, charakter materialny (*to survive*), a z drugiej strony, mapa wartości kulturowych lokuje nas wśród społeczeństw tradycyjno-religijnych.

bo może być widziany jako nowa despotia. De Tocqueville przewidział to dawno temu proroczo: „Kiedy próbuję wyobrazić sobie ten nowy rodzaj despotyzmu zagrażający światu, widzę nieprzebrane rzesze identycznych i równych ludzi, nieustannie krzątających się w kółko w poszukiwaniu małych, pospolitych wzruszeń, którymi zaspakajają potrzeby swego ducha[...] Ponad wszystkimi panuje na wyżynach potężna i opiekuńcza władza, która chce sama zaspokoić ludzkie potrzeby i czuwa nad losem obywateli. Ta władza jest absolutna, drobiazgowa, pedantyczna, przewidująca i łagodna [...] Lubi, gdy obywatelom żyje się dobrze, pod warunkiem jednak, by myśleli tylko o własnym dobrobycie, chętnie przyczynia się do ich szczęścia, chce jednak dostarczyć je i oceniać samodzielnie” (de Tocqueville, 1976, s. 157–158).

Wszystkie rządy w Polsce po 1989 roku miały na uwadze dobro ludu, ale definiowały to dobro odmiennie. Koalicje liberalne czy liberalno-lewicowe mocniej akcentowały, trzeba to przyznać, potrzebę realizacji równości szans, natomiast socjalkonserwatywne rządy PiS mówią wprost o równości warunków życia. Odpowiada to społeczeństwu, w którym, jak niezmiennie pokazują to kolejne wydania badań Ronalda Ingleharta, najczęściej spotykane wartości mają w Polsce, powtarzam, charakter materialny (*to survive*), a z drugiej strony, mapa wartości kulturowych lokuje nas wśród społeczeństw tradycyjno-religijnych. Znajdujemy się w kwadracie całkowicie przeciwstawnym temu, w którym lokują

siebie wszystkie społeczeństwa Europy Zachodniej (plus ewentualnie Czechy i Słowenia spośród krajów postkomunistycznych).

Ten fundament wartości sprawia, że treści relacji „my–oni” zmieniają się, choć PiS stara się przekonać ludzi, że „oni” to nadal komuniści razem z liberałami (tzw. lewactwo), a oligarchie, które sami tworzą, nie są oligarchiami w ogóle. Nie jest to prawdą, bo oligarchie powstają wszędzie i zawsze. Rzecz w tym, co robią „dla ludu”. Uwzględnić trzeba faktyczną troskę PiS o sprawy socjalne, tak widoczną w działalności rządów w okresie 2015–2019. Odpowiada to oczekiwaniom materialnym społeczeństwa. Dlatego PiS znajduje poparcie nie tylko wśród uboższej części społeczeństwa. Ten program ma też poparcie wśród tzw. czułych konserwatystów, którzy popierają z założenia wszelkie hierarchie, czyli także centralizację życia politycznego w kraju. Nie może to odpowiadać liberałom nastawionym na rynkowe rozwiązania, rządy prawa i aktywne społeczeństwo obywatelskie.

Niezbędne jest na koniec powiedzieć kilka słów o społeczeństwie obywatelskim, które traktować można jako współczesny synonim tego, co kojarzyć się może z anty-oligarchią. Piotr Chmielewski tak definiuje to pojęcie: „Współczesne społeczeństwo obywatelskie to złożona i zróżnicowana instytucjonalno-organizacyjna struktura składająca się z rozmaitych autonomicznych indywiduali, zbiorowości, grup organizacji (społecznych, politycznych, gospodarczych), zrzeszeń, dobro-

wolnych stowarzyszeń, wspólnot (lokalnych, regionalnych, kulturowych), ruchów społecznych, związków zawodowych. Społeczeństwo obywatelskie to przykład wysiłków budowania lub przekształcania systemów społeczno-politycznych »od dołu« (Chmielewski, 2018, s. 525). Autor tej definicji zwraca uwagę na spory ładunek normatywny, zawarty w historycznie pojawiających się sukcesywnie koncepcjach społeczeństwa obywatelskiego: klasycznych, republikańskich, romantycznych, liberalnych i ostatnio – neoliberalnych czy postmodernistycznych. To wszystko prawda: trudno jest oddzielić warstwę opisową od normatywnej, ale tak jest zawsze, gdy chodzi o sprawy ważne.

Nasze społeczeństwo obywatelskie bywa bardzo aktywne, np. w czasie Wielkiej Solidarności, ale w 30-leciu transformacji wielkiej aktywności raczej nie przejawia, jak pokazują to porównania z krajami Europy Zachodniej. Źródeł słabości społeczeństwa obywatelskiego szukać można zarówno w zapóźnionym naszym liberalizmie i jego karykaturalnych próbach nadgonienia czasu (w ślad za analizami Jerzego Szackiego), jak i w grzechach strony prawej, której bliskie są ponownie tendencje centralizacyjne.

Kształtowanie „MY” – to zawsze także emocje

Że emocje towarzyszą życiu politycznemu, wiadomo od czasów greckich, a nowożytność tych doświadczeń nie wyeliminowała. Wzmocniła je, ale zauważmy, że tacy giganci myśli jak Hobbes i Kartezjusz, a potem niemal całe Oświecenie wywindowały wiarę w rozum tak wysoko, że wydawało się, iż emocje znikają ze sceny. Zakładano, że racjonalny umysł da się odizolować od emocji ciała, czyli że rozum jest ponad uczuciami. W tamtym czasie jedynie szkoccy filozofowie, znani z nastawienia empirycznego, poświęcali dużo uwagi uczuciom. Wystarczy poczytać Adama Smitha *Teorię uczuć moralnych*, a jeszcze bardziej jego mentora Davida Hume'a. Doświadczenia umacniania się państw narodowych w XIX i XX wieku poszerzają te ustalenia jeszcze dobitniej. Emocje kojarzyć przyszło nie tylko z „kapitalizmem handlowym”, ale z umacnianiem się ruchów narodowych w całej Europie, a potem w całym świecie. Dzisiaj w tytułach książek znaleźć możemy zwrot, że „uczucia zawładnęły światem”, a nawet że całe państwa uczyniły „nerwowymi” (Davies, 2019). Nie rozum jest wyżej niż mózg, ale że „mózg jest ponad rozumem” – jak pokazują neuronauki (Damasio, 2018).

Polskie zmagania o „nowy początek” nie mogły się zakończyć w pełni zwycięsko bez powszechnego zaangażowania się społeczeństwa. Nauka kalkulacji pieniężnej czy kapitalistycznej była wyraźnie opóźniona w sto-

sunku do Zachodu. Intensywna nauka o obowiązkach moralnych wobec ojczyzny odbywała się bez przerwy. Dlatego sytuacja po II wojnie była krystalicznie jasna dla społeczeństwa. Choć potrafiło ono docenić nawet PRL jako państwo, bo miało w pamięci długie doświadczenia historii, to dobrze wiedziało, że przyjdzie czas na jego odrzucenie. Dokonało tego w swoim własnym tempie, według znanych metod cyklicznego buntu, który ostatecznie zbudował schemat „my–oni”.

Ostatnio dochodzi do bardziej wykalkulowanego punktowania władzy niż przed 1989 rokiem, oczywiście wtedy tylko, kiedy zapomina ona o społeczeństwie. Gra jest bardziej subtelna, bo społeczeństwo lepiej zna wyzwania, jakie przynoszą warunki kapitalizmu i demokracji. „Ludowi” nie wystarcza już uznanie, że jest ludem. Nie wystarcza, że powołuje do władzy w wyborach tych tylko, który się mu podobają. Spełniony ma być także trzeci warunek definicji Lincolna („dla ludu”): władza musi dostarczać ludowi to, co obiecuje. Bez tego czeka ją marny koniec, bo jak pisał Adam Mickiewicz:

Gęby za lód krzyczące sam lud w końcu znudzą,
I twarze lud bawiące na końcu lud znudzą.

Ręce za lud walczące sam lud poobcina.

Imion miłych ludowi lud pozapomina.

Wszystko przejdzie, po huk, po szumie, po
trudzie

Wezmą dziedzictwo cisi, ciemni, mali ludzie

(*Od Kochanowskiego...*, 1999, s. 43)

Bibliografia

- Aslund, A. (1999). *Russia's Collapse. Foreign Affairs*, wrzesień–październik.
- Chmielewski, P. (2018). Społeczeństwo obywatelskie – ogólna idea i faktyczne jej realizacje. W: W. Morawski (red.), *Socjologia ekonomiczna. Przewodnik*. Warszawa: Wydawnictwo Naukowe PWN.
- Damasio, A. (2018). *Dziwny porządek rzeczy. Życie, uczucia i tworzenie kultury*. Poznań: Dom Wydawniczy Rebis.
- Davies, D. (2019). *Nervous States. How Feeling Took Over the World*. London: Vintage.
- Fukuyama, F. (1992). *The End of History and the Last Man*. New York: Penguin Books.
- Gerschenkron, A. (1962). *Economic Backwardness in Historical Perspective*. Cambridge: Belknap.
- Inglehart, R. i Welzel, Ch. (2005). *Modernization, cultural change, and democracy*. Cambridge University Press.
- Jarosz, M. (red.) (1996). *Spółki pracownicze '95*. Warszawa: ISP PAN.
- Kowalik, T. (2010). Ekonomia polityczna klęski socjaldemokratycznej opcji. W: W. Morawski (red.), *Modernizacja Polski*. Warszawa: WAiP.
- Offe, C. (1996). *Modernity and the State: East, West*. Polity Press.
- Torańska, T. (1994). *MY*. Warszawa: Most.
- de Tocqueville, A. (1976). *O demokracji w Ameryce*. Warszawa: PiW.
- Od Kochanowskiego do Szymborskiej...* (1999). Warszawa: KiW.

[3]

Liberalna demokracja:
napięcia w praktyce
i teorii

Upadek komunizmu postawił przed społeczeństwem zadania związane z ukształtowaniem nowych reguł i praktyk życia politycznego. Niektóre z nich były oczywiste; dotyczyło to np. wolnych wyborów, ale konstrukcja całego nowego systemu była sprawą o wiele bardziej złożoną. Uchwalenie konstytucji w 1997 roku ukazało jej nowe kontury. Było to poważne osiągnięcie, co prawda spóźnione w stosunku do wielu krajów regionu, po latach dobrze właściwie oceniane, niemniej zawsze zasadne jest pytanie, jaka jest realna wartość takich czy innych zapisów konstytucyjnych.

Nową całość określa się różnie: ustrój państwa demokratycznego, demokratyczne państwo rządów prawa, państwo prawa, instytucje konstytucyjne, czy liberalna demokracja. Posługiwał się będę tym ostatnim pojęciem nie tylko dlatego, że umożliwia ono bezpośrednią kontynuację rozważań z poprzedniego rozdziału, ale co ważniejsze – przymiotnik „liberalny” wnosi do całego systemu politycznego element, który bywa uważany za coraz bardziej kontrowersyjny w miarę jak oddalamy się od 1989 roku.

Kontrowersje wokół tego pojęcia nie obejmują wyłącznie krajów postkomunistycznych, pojawiają się, choć rzadziej, także na Zachodzie. Fareed Zakaria wyjaśniał sprawę następująco: „W ciągu ostatniego

półwiecza na Zachodzie demokracja i wolność stopiły się w jedno. Obecnie obie części liberalnej demokracji, splecione dotąd w politycznym systemie Zachodu, zaczynają się oddalać od siebie na całym globie. Demokracja kwitnie, wolność – nie” (Zakaria, 2004, s. 17). Liberalizm jest odrzucany wprost w Rosji prezydenta Putina, który mówił: „Idea liberalizmu jest przestarzała. Weszła w konflikt z interesami przytłaczającej większości społeczeństwa” (Putin, 2019). Na Węgrzech określenie „nieoliberalna demokracja” jest lansowane oficjalnie. W komunistyczno-kapitalistycznych Chinach liberalizm jest niemal pustym hasłem, oczywiście poza Hongkongiem, który ogarnęły długotrwałe masowe protesty w 2019 roku.

Także w Polsce rosną napięcia między obu elementami pojęcia „liberalna demokracja”. Nasze doświadczenia są podobne do doznawanych przez inne kraje z obozu postkomunistycznego, ale równocześnie swojskie. Zajmę się naszymi osobliwościami, uważając, że są one rezultatem działania czterech czynników: po pierwsze – słabej tradycji liberalizmu, po drugie – neoliberalnej transformacji ekonomicznej, po trzecie – elitystycznej natury demokracji przedstawicielskiej, po czwarte – lęków społecznych na tle zagrożeń kulturowych płynących z Zachodu.

Tradycja demokracji w Polsce jest silna, liberalizmu słaba

Pierwsza okoliczność dotyczy braku równorzędności znaczenia pojęć demokracji i liberalizmu w długiej tradycji zmagania społeczeństwa polskiego z komunizmem. O ile potrzebę demokracji Solidarność utrwaliła ostatecznie w całym społeczeństwie w latach 80. XX wieku jako imperatyw praktyczny, choć kojarzyła go wówczas głównie ze współzarządzaniem zakładem pracy, o tyle przymiotnik „liberalny” pozostawał gdzieś na uboczu, nie miał tak silnego zakotwiczenia w szerszym społeczeństwie. W ruchu Solidarność funkcjonowała także opcja liberalna (ogólniej – obywatelska), ale była ona o wiele słabsza od opcji związkowo-samorządowej, niewątpliwie najsilniejszej, o charakterze socjaldemokratycznym.

Była też słabsza od takich opcji jak narodowa, chłopska czy katolicka. Zapewne była równie silna, co opcja lewicowa? Relacje na temat obecności tych nurtów w Solidarności są niesporne (np. Ferguson, 2017, s. 308). To, że różniły się one między sobą było przez całe lata 80. sprawą drugorzędną w kontekście zadania nr 1, którym było uformowanie wspólnoty „my” w walce z „onymi-władzą”. Nie przybrało to postaci jakiegoś spójnego zorganizowanego politycznie antysystemu wobec komunizmu. Solidarność pozostała do końca wielonurtowym ruchem społecznym. Zresztą w tym tkwiła jego siła. Chodziło przecież o jednoczenie społeczeństwa.

Wysuwano więc romantyczne czy woluntarystyczne pomysły w ramach tego wielkiego ruchu. I to było piękne, choć mało realistyczne. Jak tu mówić o realizmie, skoro dwa pokolenia nie znały realiów prawdziwego kapitalizmu? W tym tkwiła potęga wyobraźni tego pięknego ruchu, a jej przecenić nie da się nigdy. Widać to lepiej obecnie, gdy wszystko wokół karleje.

Liberalna demokracja była uważana za oczywistą alternatywę dla komunizmu. Jej nadejście nazywano normalnością. Dziwić mogło coś, co określa się w literaturze od dawna jako „ograniczenia liberalnej demokracji”, ale długo tego nie zauważano pod wpływem triumfu, jaki z tego zwycięstwa nad komunizmem Zachód sobie przypisywał. Najpełniejszy wyraz znalazło to myślenie w książce Francisa Fukuyamy (Fukuyama, 1992). Wycofał się Fukuyama z tego poglądu, ale długo go podtrzymywał. Podkreślał, że nie możemy znać wszystkich modeli, jakie się mogą pojawić: „W końcu XX wieku można chyba kwestionować prawdopodobieństwo pojawienia się jakiegoś jeszcze nie-kapitalistycznego, nie-liberalnego, nie-demokratycznego porządku, który mógłby przyjść do głowy ludziom z wyobraźnią taką, jaką posiadamy” (Fukuyama, 2001, s. 203). Mylił się wtedy jeszcze nadal.

Przekonanie o przewadze Zachodu było słuszne, ale cała prawda o systemie komunizmu była bardziej złożona. Mam na myśli to, że przegrana tego systemu z Zachodem była też w pewnej części przegrana na własne życzenie. System implodował, bognił, agnił,

bo był oparty na fałszywych diagnozach na temat natury człowieka, wspólnot, w których on żyje, państwa, systemu własności, kultury społeczeństwa (North, 2014, s. 153–162).

Neoliberalna transformacja ekonomiczna

Druga okoliczność dotyczy skojarzeń, w jakich pojawiał się liberalizm na początku transformacji. Wprowadzanie w życie planu Balcerowicza było prezentowane jako wcielenie neoliberalnego konsensusu waszyngtońskiego. Wiedzę o jego 10 punktach ludzie nabywali praktycznie, kiedy ich miejsca pracy padały ofiarą rabunkowej często prywatyzacji, bo sami pozostawali często bez opieki państwa, do której wcześniej przywykli, np. pracownicy PGR. Co gorzej, abdykacja państwa z funkcji osłonowych miała być warunkiem wolnego rynku. Państwo w wariacie państwa-minimum nie tylko miało być instrumentem gospodarki rynkowej, lecz także sprzyjać samo miało budowie społeczeństwa rynkowego jako najbardziej sprawiedliwego – to było centralne założenie neoliberalizmu (Mirowski, 2018).

Nasz neoliberalizm był jednym z wielu wariantów liberalizmu, być może teoretycznie nawet niezbyt odległym od socjalliberalizmu Keynesa, w którym programowo zakładano interwencje państwa w koniunkturę gospodarczą z myślą o poszkodowanych przez wolny

rynek (przypomina się minister Kuroń z „jego zakupami”). Jednak w praktyce było inaczej. Ludzie w Polsce tego wariantu liberalizmu nie zaznali. W Polsce liberalizm pojawił się nagle w wersji neoliberalizmu, która zaczęła być jawnie kontestowana od kryzysu 2007/2008. I najpierw liberalizm był przyjmowany z neoficką gorliwością jako rodzaj antidotum na gospodarkę komunistyczną. Pisał o tym Jerzy Szacki następująco: „W Europie Wschodniej zadziwiająco wielu ludzi przyznaje się dzisiaj do liberalizmu, i to niekiedy tak „czystego”, o jakim na Zachodzie już dawno zapomniano” (Szacki, 1994, s. 5).

Nasz neoliberalizm był nieco „poprawiany” w Polsce od 1993 roku, kiedy do władzy wróciły siły postkomunistyczne. Był praktycznie łagodzony, np. przez działania inicjowane przez Grzegorza W. Kołodko w ramach rządów postkomunistycznej lewicy. Spór o neoliberalizm trwa. Przytacza się dane empiryczne obalające tezy zbyt krytyczne wobec planu Balcerowicza, broni się np. tezy, że nie było dla niego ani w 1989 roku, ani później „modernizacyjnej alternatywy” (Gomułka, 2019, s. 12). Moja ocena jest w zasadzie podobna, a wynika ona raczej z przesłanek geopolitycznych, które ciągle dają znać o sobie. Znaleźliśmy się w orbicie Zachodu, a on ma swoje logiki wyższości strukturalnej, którym nie ulec nie mogliśmy. Czy nazywanie tego przemocą strukturalną jest pustą retoryką? Chyba nie? Czas robi jednak swoje i poważniejsze korekty pojawiają się od 2015 roku.

Odrzucanie rządów elit i prawicowy populizm

Trzecia okoliczność dotyczy tego, że liberalizm musiał się ludziom kojarzyć z rządami elit wyłanianych w ramach demokracji przedstawicielskiej. To skojarzenie powstawało tym łatwiej, że niektóre partie rządzące, jak też wielu czołowych polityków, określały siebie wprost jako liberalne. Podejmowane decyzje budziły niezadowolone społeczeństwo, czasem tak wielkie, że nie tylko w Polsce doszło do powrotu do władzy sił postkomunistycznych.

Także z biegiem wypadków utrzymywało się przekonanie, że liberalizm jest systemem, w którym w centrum uwagi jest dobro zwykłych ludzi, rozumiane praktycznie nie tyle jako bezpieczeństwo materialne w ramach dotychczasowej kultury, ile raczej jako abstrakcyjna wolność i równość jednostek na wolnym rynku. Tymczasem „rynek” wkraczał na scenę w formie terapii szokowej, wprowadzany przez nowe elity, kojarzone z liberalizmem. W związku z tym wolności i równości zaprzeczały rosnące nierówności społeczno-ekonomiczne. Wolność i równość szans (formalnych) jednostek ma w liberalizmie pozycję pierwotną wobec takich kategorii jak równość warunków życia w socjaldemokratycznym państwie opiekuńczym. Inaczej mówiąc, ludzie widzieli państwo jako narzędzie realizacji interesów silnych jednostek na wolnym rynku. Sami się nie zaliczali do takich ludzi.

W ramach liberalizmu społeczeństwo jest agregatem jednostek w ramach rządów prawa, czyli nie jest to tym samym, co wspólnota, zwana narodem, czy katolickim państwem narodu polskiego. Ludzie wyznający wartości tradycyjno-religijne zwykli myśleć inaczej. Jak pisze francuski filozof prawnicowy Alain de Benoist: „Zredefiniowana przez liberalizm demokracja nie jest ustrojem uświęcającym suwerenność narodu, lecz gwarantem przestrzegania praw człowieka. Prawa człowieka zyskują taką przewagę nad suwerennością, że ta ostatnia dopuszczalna jest tylko do takiego stopnia, w którym nie wchodzi w zwarcie z tymi pierwszymi. Demokracja zostaje obwarowana warunkami, i pierwszym z nich jest poszanowanie niezbywalnych praw, które posiada każda jednostka z samego tytułu swojego istnienia [...] Mnóżąc prawa, państwo rozcieńcza politykę [...] To zastąpienie polityki prawem oznacza wyjałowienie polityki, wyrzucie jej z treści [...] Rządy prawa zawsze stanowią rządy tych, którzy je ustalają i zastosowują normy prawne. Państwo idzie w parze z liberalnym indywidualizmem i jego czysto »negatywną« koncepcją wolności” (Benoist, 2019, s. 53).

Krytyka liberalizmu przybiera postać następującą: władza w liberalizmie niekoniecznie rządzi, ona tylko reprezentuje ludzi, a tymczasem ludzie chcieliby, aby ona rządziła wprost dla nich, jako przedłużenie ich wspólnoty, by dawała ludziom jako obywatelom w państwie narodowym to, co się obywatelowi należy. Obywatele nie myślą o sobie jako jednostkach – abstrakcjach w ra-

mach „ludzkości”, co akcentuje idea praw człowieka, ale jako o obywatelach państwa tu i teraz. Państwo ma służyć im, a nie np. imigrantom, czyli ludziom z „ludzkości”. Komentatorzy antyliberalni w takim momencie gotowi są przywołać kategorię wroga – przyjaciela z twórczości Carla Schmitta, jednego z wziętych teoretyków skrajnej prawicy niemieckiej.

Zagrożenie kulturowe Zachodu

Czwarta okoliczność dotyczy zagrożeń o charakterze kulturowym, jakie niesie ze sobą liberalizm, w takiej postaci, w jakiej jest praktykowany na Zachodzie, czyli wyrażający się zbyt wysokim poszanowaniem jednostek i mniejszości, takich m.in. jak LGBT, imigranci czy zjawisk takich jak multikulturalizm. Putin wprost powołał się na te zjawiska, odrzucając liberalizm: „Idea liberalizmu przeżyła się, kiedy społeczeństwo obróciło się przeciwko imigracji, otwartym granicom i wielokulturowości. Idea liberalna zakłada, że nic nie trzeba robić, gdy tymczasem migranci zabijają, niszczą i gwałcą bezkarnie powołując się na swoje prawo, że jako migranci muszą być chronieni” (Putin, 2019).

Tolerancja zjawisk, o których jest mowa wyżej, może stanowić zagrożenie, zwłaszcza dla tożsamości zbiorowych, a dwóch głównie: narodowej i religijnej. Jako bolesne uważa się podważanie chrześcijańskich korzeni Europy. W związku z tym pojawia się krytyka instytu-

cji, które zapewniają gwarancje prawne, finansowe i inne, prowadzące do takich rezultatów. Spotyka się ta krytyka z aprobatą znacznej części społeczeństwa. Nic to dziwnego, bo w polskim społeczeństwie, jak pisałem wcześniej, dominują wartości tradycyjno-religijne oraz materialistyczne: *to survive* (cytowani wcześniej: Inglehart i Welzel, 2005). Społeczeństwa Europy Zachodniej, choć nie USA, znajdują się w kwadrancie, w którym dominują wartości dokładnie odwrotnie (samoekspresji, liberalne), a nadto są to społeczeństwa znacznie bogatsze od polskiego.

Populizm kontra imitacja i dostosowanie

Cztery powyższe okoliczności były/są postrzegane jako elementy większego pakietu, który w kilka lat od rozpoczęcia transformacji ustrojowej zaczął być określany dwojako:

- jako model „imitacyjny”, albo „demokracji peryferii”. Pierwszy w pogłębiony sposób rozumowanie to zaprezentował w perspektywie socjopolitycznej Zdzisław Krasnodębski (Krasnodębski, 2003);
- jako model dostosowawczy (*adjustment*) w naukach ekonomicznych i zarządzania, w których powiada się, że agencjom ekonomicznym: firmom, jednostkom, państwom, regionom itd. nie pozo-

staje nic innego w krajach postkomunistycznych,
jak tylko dostosowanie się wobec silniejszych.

Czy w przyszłości, dzięki przedsiębiorczości i innowacyjności, gospodarki te staną się konkurencyjne wobec zachodnich gospodarek? Długo trudno było o bardziej subtelne analizy relacji wzajemnych między agencjami a strukturami bogactwa, władzy i prestiżu w skali globalnej czy regionalnej, gdyż w tle tkwiło przekonanie o wyższości gospodarczej i cywilizacyjnej Zachodu. Nie nadawano rozgłosu tym wypowiedziom, w których dostrzega się walory naszej „drugiej Europy”, a nawet jej wyższości nad tą niby pierwszą. Na przykład, głosowi Czesława Miłosza z mowy noblowskiej w Sztokholmie, który w Polsce jest przez prawą stronę przedstawiany jako jakiś kosmopolita. Nie dostrzega się, że tak jasno wziął w obronę nasze swojskie doświadczenia, właśnie narodowe.

Czas od 1989 roku jest okresem porzucenia marzeń i woluntaryzmu, jakich było wiele w ruchu Solidarności. Realizm zaczął się wyrażać nie tylko w „dostosowywaniu się” czy „imitacji” Zachodu, lecz także w ponownym lokowaniu ludzi i państwa jako podlegających zasadom przymusu strukturalnego czy determinizmu odgórnego, jaki obowiązuje w każdej piramidzie bogactwa, władzy i prestiżu. Klęska komunizmu w konfrontacji z Zachodem postrzegana jako wyzwolenie się z pólsatelickiej orbity Wschodu, cieszyła, ale kraje regionu szybko zaczęły uświadamiać sobie, że znalezienie się w świecie

Zachodu niesie ze sobą kolejne wyzwania, których częścią są nowe determinizmy, nowe uzależnienia, czy wspomniane dostosowania. Co prawda, piramidy bogactwa, władzy i prestiżu podlegają spłaszczeniom, ale dokonuje się to w długich procesach, słowem – bardziej widoczna jest sztywność niż zmienność.

Imiona tej sztywności są różne, ale dwa są bodaj najważniejsze: geoeconomika i geopolityka. Wejście Polski w nowy świat nastąpiło w warunkach neoliberalnej fali globalizacji, co włączało Polskę we współzależności, z których korzystanie wymaga takiej innowacyjności elit gospodarczo-politycznych i aktywności społeczeństwa, jakimi Polska, jak dotąd, nie dysponuje. Trwa proces uczenia się, jak to robić. Czy uczymy się dostatecznie szybko? Z zewnątrz widziani być musimy jako gospodarka półperyferyjna, a jej elity też jako półperyferyjne, które same dystansują się wobec Zachodu, nie odrzucając go. Nie muszą być skazane na przegraną, ale pod warunkiem, że są ambitne, inteligentne, realistyczne.

Nasza sytuacja jest pochodną „zależności od szlaku”, ale nie musi to być trwałą przeszkodą rozwoju. Nasza odziedziczona półperyferyjna pozycja kraju średniej wielkości ma obecnie spore atuty. Geopolityka nie musi być przekleństwem, jeśli potrafi się połączyć inteligentnie położenie geograficzne z aktywnym państwem i wyobraźnią społeczeństwa. Wtedy mogą zwiększyć się mocno szanse na szybsze niż wcześniej pokonywanie barier wzrostu gospodarczego i rozwoju cywilizacyj-

Wejście Polski w nowy świat nastąpiło w warunkach neoliberalnej fali globalizacji, co włączało Polskę we współzależności, z których korzystanie wymaga takiej innowacyjności elit gospodarczo-politycznych i aktywności społeczeństwa, jakimi Polska, jak dotąd, nie dysponuje. Trwa proces uczenia się, jak to robić. Czy uczymy się dostatecznie szybko? Z zewnątrz widziani być musimy jako gospodarka półperyferyjna, a jej elity też jako półperyferyjne, które same dystansują się wobec Zachodu, nie odrzucając go. Nie muszą być skazane na przegraną, ale pod warunkiem, że są ambitne, inteligentne, realistyczne.

nego. W ciągu 30 lat pokazaliśmy, że dajemy sobie z tymi zadaniami radę całkiem dobrze. Otoczenie ocenia nas czasem lepiej niż my sami siebie.

Czy liberalna demokracja jest pomocna w doganianiu Zachodu? Początkowo odpowiedź była pełna optymizmu. Na przykład, Polsce darowano część długów, jakie zaciągnęła ekipa Edwarda Gierka. Podobnie odbierano wejście do NATO i UE. Spełniliśmy wszystkie warunki Zachodu. Obecnie widać coraz więcej kolejnych warunków przyszłego sukcesu, z których władze zdają sobie sprawę. Na ich liście jest też liberalna demokracja, ale ona zdaje się spadać na dalsze miejsca w hierarchii spraw, które kraje postkomunistyczne uważają za najważniejsze. Traktowana bywa czasem jako bariera, którą należy usunąć. Konteksty takich postulatów są różnorodne. Bodaj najczęściej wskazuje się na establishment i jego elity jako przeszkody, by wola ludu mogła przybierać pożądaną kształt.

Ma to swoje lokalne kształty. Populizm staje się wtedy platformą rozważań. Populizm znaczy rzeczy różne dla różnych grup, najczęściej „we wszystkich jego wersjach pojawiają się podejrzania i wrogość wobec elit, wobec polityki środka, wobec istniejących instytucji. Populizm widzi siebie jako przemawiający w imieniu zapomnianej »zwyczajnej« osoby, a także często wyobraża siebie jako głos szczerego patriotyzmu” (Zakaria, 2016).

Demokratyzacja i de-demokratyzacja: czteroszczeblowy schemat

Nie da się polskich napięć wokół rozumienia liberalnej demokracji oddzielić od tego, co się dzieje w UE i w świecie. Fragmentacja sceny politycznej postępuje na całym Zachodzie. Wyraża się tym, że tzw. mainstream jest wszędzie coraz słabszy, a postępuje wzmocnienie sił politycznych po prawej stronie. Na Zachodzie przez 30–40 lat po II wojnie światowej umacniał się szeroki konsensus, który wyrażał się przywództwem USA w zimnej wojnie, licznych instytucjach integracji społeczno-politycznej, a przede wszystkim silnym *welfare state*, który sprzyjał budowie zadowolonych z życia klas średnich. Było czasem widoczne przechylenie w lewą stronę sceny politycznej. Ten konsensus znika od połowy lat 70. XX wieku. Pojawia się nowy konsensus elit, ale elit nawołujących do integracji przez UE, do społeczeństwa wieloetnicznego, reform neoliberalnych, sprzyjający wyłonieniu się Europy jako obszaru kosmopolitycznego i przyjaznego dla technokracji biznesowej – pisze Cas Mudde (2016).

Taki obrót spraw wywołuje sprzeciw, który stanowi podłoże dla osłabienia demokracji liberalnej. Wcześniej rosła w siłę, teraz słabnie. Te zmienne kierunki w życiu liberalnej demokracji Cas Mudde i Cristobal Rovira Kaltwasser przedstawili w postaci dwukierunkowego schematu procesów zmian instytucjonalnych: najpierw – ku demokratyzacji, a ostatnio – ku de-demokratyzacji.

Każdy z tych procesów obejmuje te same cztery etapy, ale w odwrotnej kolejności. Proces demokratyzacji wiedzie od pozytywnego wpływu populizmu na liberalizację pełnego autorytaryzmu, co doprowadza do współzawodniczącego autorytaryzmu, aby dalej, pod wpływem nacisków oddolnych (populizmu), sprzyjać pojawieniu się demokracji wyborczej, który to system znowu pod wpływem populizmu (aby pogłębić demokrację) przynosi w końcu demokrację liberalną.

Proces de-demokratyzacji jest odwrotny: zaczyna się erozją demokracji liberalnej, która przybiera postać demokracji wyborczej, a ta pod wpływem załamania się reguł demokracji, prowadzi do konkurencyjnego autorytaryzmu, a dalsze represje w ramach systemu przynoszą jego przekształcenie w pełny autorytaryzm (Mudde i Kaltwasser, 2017, s. 87).

W powyższym ujęciu demokracji jako procesu dynamicznego trafne są dwie rzeczy.

Po pierwsze, samo wyróżnienie czterech etapów, które nie jest oryginalne, ale daje jasny obraz kierunku zmian. Cokolwiek negatywnego powiedzieć o populizmie XXI wieku, to ma on mniej znamion, które przypominałyby populizmy z lat 30. XX: nazizm, faszyzm, bolszewizm.

Po drugie, wskazanie, że w obu procesach: demokratyzacji i de-demokratyzacji, działa populizm, ale mający dwa oblicza: dobre i złe. Myśliciel – konserwatysta Roger Scruton skłania się do negatywnej oceny populizmu, pisząc, że „masowe ruchy solidarności

powstają w chwilach, kiedy zawodzi rozum – uciekamy się do nich, kiedy przestajemy negocjować, przestajemy uznawać prawa współobywateli do inności, przestajemy żyć zgodnie z zasadą pokory i kompromisu. Ruchy masowe odzwierciedlają domyślnie ustawienie ludzkiej psychiki, kiedy władzę przejmują strach, resentyment albo gniew i kiedy żaden porządek społeczny nie wydaje się akceptowalny bez absolutnej jedności celów” (Scruton, 2016, s. 293).

W jakimś stopniu wszystkie ujemne cechy tak definiowanego masowego ruchu społecznego miała polska Solidarność w latach 80. XX wieku, ale była zarazem ruchem zdrowej solidarności, służącej skutecznie emancypacji jednostek i wspólnot spod systemu autorytarnego, czyli ocena ta jest jednostronna, nietrafna ani w diagnozie, ani w prognozie, ani w terapii. Łatwo jest o przechyły w ocenach emocji „ludu”, a takie są źródła populizmu. Zarazem Scruton jako konserwatysta jest uważnym obserwatorem, którego racje podzielają ludzie nawet odlegli od konserwatyizmu. Mówi reżyser Krystian Lupa: „Polscy populiści popadają w siermiężną recydywę, najgorszą odmianę patriotyzmu, jaką można sobie wyobrazić. A jak mówi Malaparte, gdy wielka skala kłamstwa rusza do pracy w mózgach ludzi i wszystko może być przeinaczone – zaczyna panować Corleone i społeczeństwo mafijne [...] ci, którzy przekroczyli moralne granice, nie będą oddawać władzy w demokratyczny sposób” (Lupa, 2019, s. A8).

W dobie cywilizacji cyfrowej populizm może mieć więcej niż czarno-białe oblicza. Ma wiele kolorów szarości. W polskiej Solidarności lat 80. XX wieku tych elementów szarości było sporo, ale nie one ukształtowały całościowy jej obraz w Polsce, w Europie i świecie. Decydowała jasność wielkiej misji. Jak widać, było to zjawisko wyjątkowe. Stąd zasłużona duma.

Gdzie praktycznie jest Polska?

Nie jest jednoznaczne, gdzie mieści się Polska na tej czteroszczebłowej mapie. Z jednej strony, jest niemal pełna zgoda, że został poważnie nadwężony system praworządności, co znajduje potwierdzenie np. w decyzjach TSUE; że postępuje proces upartyjnienia życia politycznego, a także jego centralizacji. Upoważnia to do wyrażania obaw, że pojawiły się w systemie elementy autorytaryzmu czy demokracji wyborczej. Rzuca to cień na naszą liberalną demokrację. Przede wszystkim potwierdza liczne napięcia między obu pojęciami, nie tylko teoretyczne, lecz także praktyczne.

Z drugiej strony, jakkolwiek ułomną mamy demokrację to, jak dotąd, mamy ją. Kiedykolwiek władza przegrywała jakieś wybory, to ustępowała miejsca wygranym. Ktoś powie, że to za mało, bo autokraci wygrywają wybory w wielu krajach, o których nie można powiedzieć, że są demokratyczne, jak np. Białoruś. Nam do Białorusi jest daleko, choć nierzadko spotyka się oceny, że

Jakkolwiek ułomną mamy demokrację to, jak dotąd, mamy ją. Kiedykolwiek władza przegrywała jakieś wybory, to ustępowała miejsca wygranym. Ktoś powie, że to za mało, bo autokraci wygrywają wybory w wielu krajach, o których nie można powiedzieć, że są demokratyczne, jak np. Białoruś. Nam do Białorusi jest daleko, choć nierzadko spotyka się oceny, że jesteśmy całkiem blisko. Konstatując nasilanie się rozmaitych podważań demokracji liberalnej w Polsce, nie zasługujemy na wysoce krytyczne oceny. Jest wiele badań, które świadczą o wyraźnej przewadze zwolenników demokracji liberalnej nad demokracją nieliberalną.

jestemy całkiem blisko. Konstatując nasilanie się rozmaitych podważań demokracji liberalnej w Polsce, nie zasługujemy na wysoce krytyczne oceny. Jest wiele badań, które świadczą o wyraźnej przewadze zwolenników demokracji liberalnej nad demokracją nieliberalną. Przytoczę proporcje w opiniach Polaków za badaniem Kantar, na następujące stwierdzenia:

- (1) władza może łamać reguły demokracji, jeśli wymaga tego interes narodu: 25% – tak, 72% – nie;
- (2) rządzący mają prawo pacyfikować protesty, jeśli utrudniają sprawowanie władzy: 25% – tak, 70% – nie;
- (3) gdy jest konflikt pomiędzy mniejszością a większością, władza zawsze powinna stanąć po stronie większości: 38% – tak, 52% – nie;
- (4) władza powinna być cały czas kontrolowana przez obywateli, nawet jeśli utrudnia to jej działania: 86% – tak, 12% – nie;
- (5) zapewnienie bezpieczeństwa publicznego jest zawsze ważniejsze niż prawo do prywatności: 55% – tak (prawicowy elektorat – 64%, centrowo-lewicowcy elektorat – 17%), 40% – nie;
- (6) organy władzy powinny mieć dostęp do wiadomości, filmów i zdjęć w telefonach wszystkich obywateli: 7% – tak, 92% – nie (za: Pacewicz, 2019, s. 16–17).

W Polsce w odróżnieniu od sytuacji na Węgrzech, gdzie Orban nie wstydzi się popierać oficjalnie idei

„noliberalnej demokracji”, i praktykować ją, co widać na przykładzie losów Uniwersytetu Środkowej Europy, związanego z George’em Sorošem (Foer, 2019, s. 64–72), to władze PiS nie godzą się na takie określenie. Co więcej – reklamują swoje rządy jako „rządy wolności”. Funkcjonowanie mass mediów w znacznym stopniu potwierdza, że zostały przekroczone niektóre pewne czerwone linie, co nakazywałoby nam może porzucić określenie kraju jako praktykującego pluralizm wypowiedzi. Liberalizm jest coraz bardziej poszkodowany w praktyce naszego życia politycznego, ale nie jest w żadnym razie wyeliminowany.

Wieczne kłopoty: na szczeblu teorii i w praktyce

Życie wprowadza korekty do teorii. Te, które zdobyły uznanie, czasem je tracą, czasem są modyfikowane i nadal trwają. Choć już Grecy znali niedostatki demokracji, zwłaszcza siłę demagogii, to dopiero od rewolucji francuskiej, czyli od ponad dwóch wieków, demokracja stała się emblematyczną instytucją nowoczesności. Nadal krytykowanym, a nawet zanikającym na całe dziesięciolecie systemem, jak w ustrojach totalitarnych, ale ponownie za czas jakiś witany z nadziejami tam, gdzie wydawały się one pogrzebane na zawsze. Nie zostały, historia demokracji toczy się dalej.

Podobnie jest z liberalizmem. Jego historia nie jest tak hałaśliwa jak demokracji. W czym innym tkwiły sekrety jego powodzenia? Wydawały się one mniej ambitne, bo nie tyle szło o lud, o taką czy inną wspólnotę ludu, co o pojedynczych ludzi, o jednostki, człowieka i o jego wolność i równość wobec innych. Jej początki lokować można także w myślach greckich stoików. Nie wszedł liberalizm z takim hałasem na scenę jak demokracja, on torował sobie drogę stopniowo, zdobywając uznanie powoli. Zdawało się, że trwale. Pomagała temu siła argumentów takich liberałów jak Locke, Smith, de Tocqueville, Mill, Keynes i Rawls. Decydująca o jej popularności okazała się jednak elastyczna użyteczność liberalizmu. Liberalizmów jest wiele: leseferyzm, keynesizm, neoliberalizm. Najważniejsze w historii było towarzyszenie liberalizmu w praktycznej budowie systemów, które wyznaczały zwyczajne etapy w historii Zachodu. Czy to w postaci imperialnej, czy hegemonicznej (np. Wielka Brytania czy USA).

Obecnie liberalizm jest w kryzysie. Okazuje się niemożliwe, aby można było zaspokoić wszystkie prawa człowieka w imię zasad moralności, na które zaczął się często powoływać. Argumentuje konserwatysta Roger Scruton: „koszty trybunałów praw człowieka posługują się abstrakcyjnym rachunkiem praw i przywilejów, a koszty swoich werdyktów przerzucają na ludzi, z którymi nic ich nie łączy”, co prowadzi do tego, że „zamiast ograniczać władzę państwa, rzekome prawa człowieka zaczęły tę władzę umacniać [...] Prawa człowieka, które

dla liberała są warunkiem *sine qua non* pokojowej polityki, stały się zatem wypowiedzeniem wojny większości” (Scruton, 2016, s. 146).

Tak właśnie zaczęły postrzegać działalność elit władzy coraz większe segmenty społeczeństwa. Prawa człowieka to nie tylko prawa większości, lecz także prawa rozmaitych mniejszości, jakie w ponowoczesnym społeczeństwie się na nie powołują, a szczególnie drażniące są mniejszości etniczne, imigranci. Prawica bierze je na celownik. Nie tyle stara prawica, konserwatyści, ile nowa prawica. Wbrew temu, co sama często głosi, nie jest ona etapem ewolucji dostojnej myśli konserwatywnej, ale odwrotnie – jej odrzuceniem, jak dowodzi londyński „The Economist”. Odbywa się to w imię reakcyjnego nacjonalizmu głoszonego przez Trumpa, Salvinię, partii Vox w Hiszpanii, Orbana na Węgrzech. Według starych konserwatystów jest zaprzeczeniem dbałości o religię, rodzinę i inne wspólnoty, o jakich pisali Edmund Burke w XVIII wieku czy Michael Oakeshott w XX wieku: „Być konserwatystą – to wybierać znane, a nie nieznanne, doświadczone, a nie niesprawdzone, realne, a nie tajemnicze, ograniczone, a nie coś bez granic, bliskie, a nie dalekie, coś wystarczającego, a nie coś ponadwymiarowego, wygodnego a nie perfekcyjnego, obecny śmiech, a nie utopię szczęścia” (Oakeshott, 1991).

Jak widać, demokraci i liberałowie mają od dawna wiele powodów, by uparcie szukać nowych sposobów realizacji swoich wartości: związanych najczęściej z równością (demokraci), związanych najczęściej z wolnoś-

cią (liberałowie). Źródeł tych powodów jest wiele, ale najważniejszych szukałbym w zmieniających się realiach życia. Po pierwsze, życia ekonomicznego, czyli głównie uformowania się świata globalnych rynków i potężnych korporacji, jakie na nim funkcjonują, które nie podlegają wcale lub słabo regulacji, jakie inicjuje i wprowadza państwo narodowe, czy nawet takie organizacje jak Unia Europejska. Po drugie, życia politycznego, czyli głównie uformowania się establishmentów politycznych, mających swoje silne oligarchiczne tradycje i strategie niezależnie od głoszonych ideologii, czy rządów prawa, które politycy sami ustanawiają i których starają się przestrzegać, ale nie mogą dać sobie rady sami ze sobą. Po trzecie, życia społeczno-kulturowego, którego tajemnice są co prawda rozpoznawane coraz lepiej, ale gdy przychodzi powiedzieć, jak się ludzie zachowają, to warto pamiętać o przestrodze antropologa Clifforda Geertza, że nigdy do końca nie wiemy, która z kończyn ośmiornicy, kiedy i czy zostanie uruchomiona.

Bibliografia

- Benoist, A. de (2019). Społeczeństwo nieliberalne i jego wrogowie. *Arcana*, maj–czerwiec.
- Ferguson, N. (2017). *The Square and the Tower*. Allen Lane.
- Foer, F. (2019). Liberalism's Last Stand. *The Atlantic*.
- Fukuyama, F. (1992). *The End of History and the Last Man*. New York.
- Fukuyama, F. (2001). The Limit of Liberal Democracy. W: J. Kriegel (red.), *The Oxford Companion to Politics of the World*. Oxford: Oxford University Press.

- Gomułka, S. (2019). Spór o plan Balcerowicza. Nie taki straszny, jak go malują. *Gazeta Wyborcza*, 1 lipca.
- Inglehart, R. i Welzel, Ch. (2005). *Modernization, cultural change, and democracy*. Cambridge University Press.
- Krasnodębski, Z. (2003). *Demokracja peryferii*. Gdańsk: słowo/obraz terytoria.
- North, D.C. (2014). *Zrozumieć przemiany gospodarcze*. Warszawa: Wolters Kluwer Polska.
- Mirowski, Ph. (2018). What is neoliberalism. *American Affairs*, Spring.
- Mudde, C. (2016). Europe's populist surge: a long time in the making. *Foreign Affairs*, November–December.
- Mudde, C. i Kaltwasser, C.R. (2017). *Populism*. Oxford University Press.
- Oakeshott, M. (1991). *Rationalism In Politics and Other Essays*. Liberty Fund Inc.
- Pacewicz, K. (2019). Demokracja nieoliberalna? Wolimy nie. *Gazeta Wyborcza*, 12 października.
- Putin, W. (2019). The liberal idea has become obsolete. *Financial Times*, 28 June.
- Scruton, R. (2016). *Jak być konserwatystą*. Poznań: Zysk i S-ka.
- Szacki, J. (1994). *Liberalizm po komunizmie*. Kraków: Znak.
- Zakaria, F. (2004). *The Future of Freedom. Illiberal Democracy at Home and Abroad*. New York–London: W.W. Norton & Company.
- Zakaria, F. (2016). The power of populism. *Foreign Affairs*, November–December.

[4]

Interesy i namiętności:
polskie drogi

Bo nie ma gorszej dla ludzi potęgi.
Jak pieniądz: on to i miasta rozburza,
On to wypiera ze zagród i domu,
On prawe dusze krzywi i popycha
Do szpetnych kroków i nieprawych czynów.
Zbrodni on wszelkiej ludzkości jest mistrzem
I drogowskazem we wszelkiej sromocie.
A ci, co czyn ten za pieniąż spełnili,
Wreszcie spóźnione wywołali kaźnie
(Sofokles, *Antygona*)

30 lat i 300 lat: o początkach kapitalizmu w Polsce i na Zachodzie

Celem tego rozdziału jest analiza reguł funkcjonowania interesów ekonomicznych w ciągu 30 lat, jakie upływały od 1989 roku. Kontekstem, w jaki sposób te reguły powstają, są, z jednej strony, demokratyczne państwo umacniające swoje struktury w ramach liberalnej demokracji, a z drugiej – aktywne społeczeństwo obywatelskie, także gospodarka rynkowa oczywiście. Te trzy ramiona systemu mają sprzyjać realizacji oczekiwań społeczeństwa, które w latach 80. XX wieku walnie przyczyniło się do upadku socjalizmu państwowego (komunizmu),

a także wychodzić naprzeciw wyzwaniom współzależności zewnętrznych, jak UE, NATO, globalizacja, rewolucja cyfrowa itd. Są to trudne wyzwania, gdyż gospodarka rynkowo-prywatna, kapitalistyczna, niesie ze sobą nierówności ekonomiczne i społeczne, które pomnażają konflikty społeczne, zwiększając emocje społeczne. Widać to w bataliach z okazji rozmaitych wyborów, a także w życiu codziennym. Wzrostowi emocji sprzyjają media cyfrowe.

Interesy i emocje to zjawiska stare jak świat. Intencje przyświecające społeczeństwu w jego walce o zmianę systemu w okresie od połowy lat 50. do końca lat 80. XX wieku były jasne: zapewnić ludziom takie reguły realizacji interesów, aby można było unikać wybuchów gniewu społecznego. Polska była świadkiem takich wybuchów w latach 1956, 1970 i 1980. W zamian oczekiwano tzw. normalności przez formuły wynegocjowane ze społeczeństwem. Zastanawiając się, jak poradzić sobie z analizą tych zagadnień, korzystam z inspiracji, jakie wyniosłem wiele lat temu z książki amerykańskiego ekonomisty i politologa Alberta O. Hirschmana pt. *Namiętności i interesy. U intelektualnych źródeł kapitalizmu*. Przypomniał on w niej, że w okresie od XVI do XVIII wieku, czyli zanim kapitalizm zaczął święcić triumfy, szeroko rozwijana była myśl, którą ciekawie wyraził Monteskiusz w dziele *O duchu praw*: „I szczęściem dla ludzi jest, że znajdują się w położeniu, w którym, gdy namiętności podsuwają im złe zamiary, mają wszakże interes w tym, by ich nie spełnić” (Hirschman, 1997, s. 14).

Interesy kojarzono z umacniającym się kapitalizmem, a namiętności z odchodzącym do historii feudalizmem. Świat interesów miał być synonimem przewidywalności i stałości, łagodzenia obyczajów i pokoju, a namiętności, odwrotnie – wojen, zwłaszcza wojen na tle religii, arogancji despotów czy arystokracji. Dziś wiemy, że interesy i namiętności nie są antonimami, najczęściej są synonimami, o czym Hirschman wiedział doskonale, ale mimo to przyjrzał się nadziejom gigantów myśli politycznej i ekonomicznej w okresie między XVI a XVIII wiekiem, takim jak m.in. Monteskiusz, Stuart, Ricardo, Robertson, Hume, Smith, Condorcet, Paine. To głosy ludzi z czasów Oświecenia, głównie angielskiego i francuskiego.

Sens podjęcia się podobnego zadania w odniesieniu do nowego kapitalizmu w Polsce jest ograniczony, a nawet może absurdalny z kilku powodów. Po pierwsze, jak można porównywać 30 lat naszego kapitalizmu do mniej więcej 300 lat kapitalizmu zachodniego. Po drugie, jak można sugerować, że komunizm może być postrzegany jak feudalizm, bo to on poprzedził kapitalizm na Zachodzie. Po trzecie, jak można powracać do myśli, że interesy mogą zastąpić namiętności, skoro w XX i XXI wieku interesy prowadziły do wojen światowych, słowem – namiętności były jeszcze większe niż w okresie wojen religijnych tamtych czasów. Wiedząc to wszystko, Hirschman podtrzymuje swoją kierunkową tezę o zastępowaniu namiętności interesami. Promujący interesy, a ściślej – nowe typy interesów, opowiadali się,

z jednej strony, za ograniczaniem arbitralności dotychczasowych hierarchii w postaci monarchów, arystokracji, klas wyższych, a z drugiej, służyli emancypacji sił oddolnych, interesów mieszczaństwa, burżuazji, czy jak dziś powiedzielibyśmy – klas średnich

Listę podobnych wątpliwości łatwo poszerzyć, ale na usprawiedliwienie odwołam się raz jeszcze do Hirschmana, który przyznaje, że „jak bardzo nieprzystające do siebie mogą być te wszystkie teorie, to jednak każda z nich mogła mieć swą „chwilę prawdy”, oraz swój „kraj prawdy”, jako że odnosi się ona do określonego kraju lub grupy krajów w jakimś przedziale czasu” (Hirschman, 1997, s. 140). W podobnym duchu pisze o porządku społecznym, jako czymś „pomiędzy przypadkowością a niezmiennością” (Hirschman, 1997, s. 110), który da się zaprojektować. Słowa te pozwalają mi poczuć się „w domu” w tym sensie, że prowadzenie takich paralelnych operacji spotyka się dość często. Chodzi mi głównie o inspiracje, ale nasuwają się pytania idące dalej, np. czy owo projektowanie jest współcześnie bardziej udane. Historia komunizmu dowodzi, że łatwo o klęskę, a z drugiej strony – że polskie doświadczenia z projektowaniem kapitalizmu w Polsce są raczej udane. Nasze 30-lecie określane jest powszechnie jako sukces albo zbliżony, albo nawet większy od tego, jaki odnotowała Polska w epoce jagiellońskiej (A golden opportunity, 2014; Piątkowski, 2018).

Wypowiedzi o interesach i namiętnościach przynależą do sfery ideologii, którą życie społeczne jest

wypełnione po brzegi. W oryginale podtytuł książki Hirschmana brzmi: *Polityczne argumenty na rzecz kapitalizmu przed jego triumfem*. Zapoznanie się z argumentami różnych stron publicznego dyskursu jest ważną częścią wiedzy o polskim społeczeństwie w warunkach późnej współczesności. Nasze interesy i namiętności są często inne niż te na Zachodzie, zwłaszcza te z okresu 300–600 lat wcześniej, przynoszą wszak podobne problemy do rozwiązania.

Tableau ideologique Hirschmana

Cały kompleks rozważań dotyczących myśli i nadziei, jakie dawała ekspansja handlu i rynku od XVI do XVIII wieku Hirschman redukuje do czterech teorii: *deux-commerce*, autodestrukcji, okowów feudalnych i dobrodziejstw feudalizmu. Jego schemat jest prosty (Hirschman 1997, s. 139). Ma dwie osie. Na osi pionowej znajdują się dwie możliwości: w górze – dominacja rynku, na dole – trwałość formacji przedkapitalistycznych. Na osi poziomej: skutki pozytywne i skutki negatywne. Daje to cztery kwadraty: u góry (1) teoria *deux-commerce* (dominacja rynku, skutki pozytywne) i (2) teoria autodestrukcji (dominacja rynku, skutki negatywne); u dołu (3) teoria okowów feudalnych (trwałość formacji przedkapitalistycznych, skutki negatywne) i (4) teoria dobrodziejstw feudalizmu (trwałość formacji przedkapitalistycznych, skutki pozytywne).

Jak pisze autor, teorie te rozwijały się „w całkowitej od siebie izolacji [...], ale mimo że izolowane, prowadzą do ukształtowania kompletnego obrazu, co przypomina sytuację, w której czworgu dzieciom, z których każdemu zawiązano oczy, udaje się wspólne pokolorowanie konturowych rysunków” (Hirschman, 1997, s. 140). Stało się tak, jak przewidywano: triumf kapitalizmu w czasach późniejszych niż te objęte analizą, jest faktem. Co więcej, od tamtego czasu system ten przeszedł kolejne metamorfozy. Pokonując najrozmaitsze kryzysy, wychodzi z nich zwycięsko. Jest stale krytykowany, ale żyje, mimo że wrócono mu zgon wiele razy.

Polskie warianty teorii *deux-commerce*

Przewidywalność/stałość, dobre obyczaje, ukrócenie ekscesów władzy i emancypacja społeczeństwa obywatelskiego to cztery główne oczekiwania w teorii *deux-commerce*, czyli „słodkiego handlu”. Realizację tych wartości miały społeczeństwu zapewnić handel i rynek przez promocję tego, co określano jako interesy, mając na myśli jednostkowe interesy, po prostu bogacenie się. Interesy miały zastąpić negatywnie oceniane namiętności, jakie cechowały wcześniej feudalne społeczeństwa zachodnie. Polskie odpowiedniki elementów teorii *deux-commerce* są następujące: (1) zamiast przewidywalności/stałości – normalizacja przez rynek w postaci imitacji reguł neoliberalizmu; (2) dobre obyczaje nie tyle

jako rezultat racjonalności jednostki, ile jako działania samoregulacji rynkowej, którą wspiera całymi siłami elita państwa-minimum; (3) demokracja przedstawicielska przez zamiany elit na drodze wyborów parlamentarnych, co ma służyć ukróceniu arogancji władzy; (4) emancypacja społeczeństwa obywatelskiego idąca w kierunku raczej jego aktywności w sferze inwestycyjnej i konsumenckiej niż obywatelskiej.

Przy wszystkich różnicach między tamtymi odległymi czasami, obejmującymi około 300 lat między wiekiem XVI a XVIII a ostatnimi trzydziestoma latami w Polsce, uderzające były/są podobne nadzieje. Synonimem reformy ustrojowej w gospodarce stał się tzw. plan Balcerowicza, który obiecywał powrót do „normalności” poprzez wprowadzenie gospodarki wolnorynkowej i prywatnej w miejsce gospodarki centralnego planisty. „Nienormalność”, jakiej każdy obywatel codziennie wcześniej doświadczał, polegała na tym, że system planistyczny powodował, że gospodarka była coraz mniej przewidywalna i tak mocno ją zanarchizował, że funkcjonowała jako „gospodarka niedoborów”, by przypomnieć określenie węgierskiego ekonomisty Janosa Kornai. Chroniczne braki były tak wielkie, że we wspomnieniach używa się zwrotu, iż w sklepach był tylko „ocet” i „puste haki”, co jest stwierdzeniem tyleż przesadnym, co prawdziwym. Wystarczyło jednak kilka miesięcy działania reformy, by półki się zapełniły i każdy, kto miał pieniądze, mógł kupić to, co chciał. Przestało brakować towarów, ludziom zaczęło brakować pieniędzy.

Co do drugiego oczekiwania – dobrych obyczajów – to Monteskiusz pisał: „jest to niemal powszechne prawidło, że wszędzie, gdzie istnieją łagodne obyczaje, istnieje handel; wszędzie, gdzie jest handel, panują łagodne obyczaje” (za: Hirschman, 1997, s. 112). Wyraźnie moralizatorskie tony były w planie Balcerowicza raczej rzadkie, ale mocno obecna była wiara, że samoregulacja rynkowa sprawi, że reguły rynkowe, jakie ona ustali, zapewnią efektywność ekonomiczną, sprawiedliwość dystrybucyjną i proceduralną. To znaczy, że ludzie otrzymują to, na co zasługują, a procesy dzielenia dóbr okażą się wiarygodnie, bo zapewnią wszystkim równość szans, ale niekoniecznie zawsze warunków życia. Takie były oczekiwania neoliberalnej filozofii konsensusu waszyngtońskiego. Rynek miał stać się sędzią najwyższym, miejsce, które określa, iż wszelkie odczuwane niesprawiedliwości, jeśli są, to są sprawiedliwe, a państwo nie musi się nimi zajmować, bo ogranicza swoje funkcje do minimum.

Co do trzeciego oczekiwania: jak ograniczać ekscesy władzy, kiedyś monarszej czy arystokracji, a w Polsce władzy biurokracji partyjnej – to reformy polskie realizowały to oczekiwanie połowicznie. Demokracja miała dawać realne szanse siłom rynkowym i społecznym, co znaczyło tylko wymianę elit władzy co jakiś określony czas. To był przełom w stosunku do komunizmu, ale nie musi on zadowalać wszystkich. W takiej minimalistycznej definicji demokracji, określanej często jako Schumpeteriańska, oczekiwano, że te siły, które

znajdą się w parlamencie, stanowić będą reprezentację proporcjonalną do realnych oddolnych interesów ekonomicznych. Społeczeństwo nabywało możliwość odwołania elity władzy, ale reformy pozostawały nadal dziełem elit. Te zaś zachowują się różnie. Jedne oglądają się na społeczeństwo, inne robią to rzadziej lub wcale.

Plan Balcerowicza był dziełem myślenia konstruktywistycznego, naśladowczego, odgórnego, w sumie – elitystycznego. Balcerowicz uważał, że szybkość reformy, do czego przywiązywał wielkie znaczenie – mówił o 800 dniach na jej wprowadzenie – nie uzasadnia zarzutu, iż powodowała ona terapię szokową. Uważał, że to był szok kontrolowany (Balcerowicz, 1992). Blisko 30 lat później wyjaśnia: „mam skłonności do radykalizmu tylko dlatego, że wiedzieliśmy, iż reforma musi być masowa i szybka, bo inaczej się nie uda. Stopniowe terapie po socjalizmie nie mają szans. Radykalne częściej się udają, ale nie zawsze. Nie miałem ślepej wiary, że radykalna terapia jest 100 proc. gwarancją sukcesu, ale wiedziałem, że prawdopodobieństwo wygranej jest większe” (Balcerowicz, 2019, s. A22).

Sprawa czwarta: promocja sił oddolnych. Jedno oczekiwanie oddolne z lat 80. zostało zignorowane. Chodzi o oczekiwanie na współzarządzanie miejscem pracy, jak chciała Wielka Solidarność. Reforma Balcerowicza doprowadziła do pogrzebania nadziei społeczeństwa na udział załóg we współzarządzaniu. Były one niszczone w imię gry rynkowej jako samoregulacji. Wynik znamy: spółki pracownicze jako możliwość współgosp-

podarzenia w większości padły po paru latach (Jarosz, 1996). System wolnorynkowy działał według reguł siły interesów ekonomicznych, a nie politycznej siły załóg przemysłowych. Władzę miał mieć właściciel, inwestor. Rola obywatela, o jakiej marzył pracobiorca przez lata 80., zniknęła z horyzontu. Pracownicy mieli poparcie JPII w postaci znamiennej encykliki *Laborem exercens* z jesieni 1981 roku, ale po 1989 roku po prostu zaprzestano do niej nawiązywać.

Wcześniej sam Balcerowicz i inni wypowiadali się na temat relacji kapitalizm–demokracja: „przez demokrację nie można samo przez się osiągnąć postępu gospodarczego” (Balcerowicz, 1992). Donald Tusk stwierdził natomiast: „wolę kapitalizm i wolność bez demokracji niż socjalizm z woli wyborców” (Tusk, 1994). Potwierdza to jedynie, że reformatorzy nie mieli w planie negocjowania samej tylko reformy, co jest oczywistym wymogiem demokracji. Jest skądinąd prawdą, że kapitalizm poprzedzał demokrację w świecie, ale w Polsce to wola ludu, czyli jakaś demokratycznie wyłoniona przez Solidarność elita doprowadziła do reform na rzecz kapitalizmu.

Przywoływano autorytety, u których akcent padał na rynkową spontaniczność przeciwstawianą ekscesom racjonalnego planisty, np. Hayeka. Aplikacji jego myśli do socjalizmu nikt nie kwestionował, ale do postsocjalizmu – tak, czemu dał wielokrotnie wyraz Andrzej Walicki, mówiąc, że polscy liberałowie, realizujący „te-

rapież szokową”, nie mieli nic wspólnego z liberalizmem w sensie Hayeka.

Faktem stał się przełom ekonomiczny, najszybszy w bloku państw postkomunistycznych, w postaci powrotu do systematycznego wzrostu gospodarczego. Konsument poczuł swoje znaczenie. Niemniej ludzie w ocenach reformy się podzielili i są do dziś podzieleni. Plan Balcerowicza ma entuzjastów i ma ostrych krytyków. W ocenach naszych reform gospodarczych trzeba brać pod uwagę nasz sukces na mapie Europy Wschodniej. Nie straciliśmy czasu, jak Ukraina czy Rosja, ale z drugiej strony wcale nie jesteśmy wyżej niż np. Czesi, Słowacy, Słowenci, Estończycy. Kryzys 2007/2008 jako jedyni w UE przeszliśmy jako tzw. zielona wyspa. Nadal rozwijamy się szybko.

Jest to sukces naszej modernizacji, co pozwala jej twórcom, w tym zapewne samemu Leszkowi Balcerowiczowi mieć poczucie realizacji tego, co bywa określane jako patriotyzm modernizacyjny. To jest trzeci typ patriotyzmu, po republikańskim i niepodległościowym, według typologii historyka Andrzeja Nowaka (Nowak, 2019, s. 401–406). Nie wszyscy podzielają tego typu oceny. Krytyczne czy nawet wielce krytyczne oceny kapitalizmu spotykamy w całych dziejach tego systemu, kto wie, czy to nie one sprawiają, że system ten podlega metamorfozom, nadal żyje.

Pytanie, jak się żyje ludziom, jest niezbędne, aby bliżej określić naszą modernizację. Wcześniej Włodzimierz Brus i Tadeusz Kowalik ocenili modernizację

komunistyczną jako „konserwatywną” (Brus i Kowalik, 1983), ale charakteryzowała się ona „niezaprzeczalnym postępowaniem w przewyciężeniu zacofania i jednoczesnym brakiem skłonności do zmian” (w obszarach technologii, struktury i handlu zagranicznego) (Brus i Łaski, 1992, s. 45). Myśl dotycząca modernizacji postkomunistycznej jest często krytyczna. Na przykład krytyczna jej ocena zawarta w książce Zdzisława Krasnodębskiego sprowadza się do takich przymiotników jak „peryferyjna”, „liberalna” i „imitacyjna”, co nie jest żadną jej pochwałą (Krasnodębski, 2003), jednak oceniana jest wszędzie poza Polską jako sukces, czasem jako wielki sukces. W Polsce propozycja jej oceny jako „ruiny” została chyba porzucona przez sam PiS po 2–3 latach lansowania takiej oceny. Mam wrażenie, że zaczyna dominować przekonanie, że w 1989 roku nie mieliśmy „wyraźnie lepszej alternatywy modernizacyjnej”, co dowodzi Stanisław Gomułka (Gomułka, 2019).

Polskie echa teorii autodestrukcji

Kontrapunktem dla teorii *deux-commerce* była „teoria autodestrukcji dowodzącej, że – przeciwnie – rynek, z właściwym sobie naciskiem na interes własny, rozkłada wszelkie wartości tradycyjne, łącznie z tymi, które są podstawą funkcjonowania samego rynku” (Hirschman, 1997, s. 139). Widzimy to klarownie, kiedy skierujemy analizę gospodarki wolnorynkowej na jej cykle ko-

niunkturalne, na kryzysy, którym kapitalizm coraz skuteczniej zapobiega, na bezrobocie, na nierówności ekonomiczne. Tych zjawisk nie zawsze potrafi ona eliminować. Zdawało się przed kryzysem 2007–2008, że inżynieria ekonomiczna systemu działa skutecznie od lat 30. XX wieku, czy od II wojny światowej, ale neoliberalne programy realizowane od lat 1980–1990 przyniosły znowu kryzys, którego nie oczekiwano. Polska uniknęła go szczęśliwie, ale dojście do władzy PiS w 2015 roku wskazuje, że jakimś kryzysem byliśmy też objęci, zapewne bliskim w duchu tego, jaki przedstawia Hirschman w swoich uwagach o projektach autodestrukcji, jakie się pojawiły kilka wieków wcześniej.

Myśl o autodestrukcji miała i ma różne wcielenia od siebie odległe. Rynkiem w jego funkcjach autodestrukcyjnych zajmują się właściwie wszyscy, ale każdy inaczej. Piszą o nim negatywnie konserwatyści, radykałowie, zwłaszcza marksiści, nawet liberałowie, choć oni są najbardziej mu przychylni. Konserwatystom chodziło o to, że rynek może podważać dziedzictwo. Czyli że niepoohamowane interesy własne nie tylko niszczą feudalizm, ale wraz z tym podcinają wszelką tradycję, także religię, które utrwaliły się w obyczajach społecznych. Te ostatnie, będąc zagrożone przez wybujałe interesy własne, powodują erozję współpracy, zaufania, znaczenie wspólnot poczynając od rodziny.

Według radykałów, a zwłaszcza marksistów, maksymalizacja zysku sprzyja wzrostowi nierówności ekonomiczno-społecznych, prowadząc do polaryzacji społecz-

nej, a w następstwie – do napięć klasowych i konfliktów politycznych, zwłaszcza na linii między pracą a kapitałem. Wyzysk robotników sprawi, że dla społeczeństwa kapitalistycznego jedyną skuteczną drogą emancypacji stanie się rewolucja, która utoruje drogę socjalizmowi, a następnie komunizmowi. Sam Marks myśli te formułował radykalnie, ale od przełomu wieków XIX i XX pojawia się też „ewolucyjny socjalizm” jako alternatywa dla opcji bolszewickiej. Jako remedium widzi się dostarczanie dóbr publicznych tym, których rynek krzywdzi. Oczywiście, aby te dobra dostarczyć, trzeba nakładać podatki na osoby zasobniejsze. Oznaczało to znajdowanie innych niż rewolucyjne metody, czyli nie pozbawienie kapitalistów ich własności, a jej kontrolę (podatki). Niektóre z analiz w takim duchu czynione okazywały się wartościowe, np. Karla Polanyi’ego analiza etapów umacniania się społeczeństwa rynkowego, uzupełniona pokazywaniem sił zdolnych przeciwstawić się ekscesom rynku i kapitalizmu.

Dla liberałów, zwłaszcza socjaliberałów, np. keynesistów, ważne jest zakotwiczenie jednostki, wolnej, ale narażonej na słabości rynku. Danie jej poczucia bezpieczeństwa na wypadek załamania cyklu koniunkturalnego odbywa się przez interwencję państwa w postaci zarządzania popytem. Liberałowie są różni, na ogół rynkowi zawierzają bardziej niż konserwatyści, czy radykałowie, ale potrafią patrzeć też krytycznie na rynek, jeśli tenże pozbawia ludzi pracy lub pieniędzy na życie. Mieliśmy w 30-leciu nie tylko w Polsce, ale

w całym zachodnim świecie, do czynienia głównie z neoliberalami, którzy – podobnie jak kiedyś leseferyści – gotowi byli nie tylko oddzielić rynek od państwa, lecz także nakazywać państwu umocnienie wolnego rynku oraz prywatyzację. Ta aberracja została uznana za aberrację w kryzysie 2007/2008, kiedy banki i korporacje pobięły do kasy państwowej po ratunek przed bankructwem. Pomoc okazała się skuteczna.

Doświadczenia 30 lat kapitalizmu w Polsce potwierdzają obawy jednych, drugich i trzecich. Zaczniemy od konserwatystów. Bali się oni niszczenia tradycji. Jeśli uznać, że najnowszą tradycją, jakiej dorobiło się polskie społeczeństwo w latach 80. XX wieku, była „solidarność” pisana małą literą – najpierw robotnicza, potem także pracownicza, czy w skali regionalnej, to neoliberalna reforma Balcerowicza wszystkie te solidarności kolejno podważała, a nawet niszczyła. Każdy typ tej solidarności potwierdzał funkcjonowanie wspólnotowych korzeni lub przynajmniej ich potencjałów. Przed 1989 rokiem państwo partyjne też je rozbijało, ale okazało się, że nieskutecznie. Odbudowała te wspólnoty na innej bazie, głównie robotniczej, częściowo przynajmniej – Wielka Solidarność w latach 80., a tymczasem reformatorzy ze swoim naciskiem na szybką promocję rynku praktycznie rozbijali załogi robotnicze czy pracownicze. Zlikwidowano setki zakładów pracy. Więzi zbudowane na fundamencie wspólnej pracy podlegały erozji, eliminacji, czasem wręcz egzekucji, jak np. PGR.

Jeśli chodzi o lewicowe doświadczenia, to w wydaniu radykalnym, marksistowskim, były przez Solidarność zwalczane, ale w wydaniu socjaldemokratycznym stanowiły sedno programu Wielkiej Solidarności. Choć był to ruch wielonurtowy, to socjaldemokratyczny nurt był w nim najsilniejszy. Robotnicy traktowali zakłady państwowe jako quasi-własność grupową; wobec tego domagali się praw zarządzania nimi lub przynajmniej współzarządzania. Dla takich idei mieli *explicite* wyrażone poparcie JPII w encyklice *Laborem exercens*, ogłoszonej jesienią 1981 roku. Tymczasem własność prywatna jest zasadniczo w kolizji z takimi formułami. Co gorzej, spółki skarbu państwa, które są ważne w gospodarce, tolerują związki zawodowe co najwyżej w ich funkcjach socjalnych. Nie ma mowy o pogłębianiu współzarządzania. Zmniejszanie nierówności ekonomiczno-społecznych ma wysokie miejsce we wszystkich programach lewicowych, ale okazuje się, że nie ma to większego wpływu na zmianę pogarszających się trendów w tym zakresie.

Jeśli uznać, że logika kapitalizmu polega na uznaniu potęgi rynku, to pozostaje inna możliwość: podjęcie się przez państwo produkcji dóbr publicznych. Z realizacją tego było w Polsce różnie w ciągu ostatnich 30 lat. Pierwsze socjalne potrzeby uznano *de facto* za ważne dopiero po upadku rządów postsolidarnościowych w 1993 roku, wprowadzając elementy systemu neokorporacyjnego. W 1993 roku ludzie odwołali się do tego, co im pozostawiono: kartką wyborczą odwołali rządy

Jeśli uznać, że logika kapitalizmu polega na uznaniu potęgi rynku, to pozostaje inna możliwość: podjęcie się przez państwo produkcji dóbr publicznych. Z realizacją tego było w Polsce różnie w ciągu ostatnich 30 lat. Pierwsze socjalne potrzeby uznano *de facto* za ważne dopiero po upadku rządów postsolidarnościowych w 1993 roku, wprowadzając elementy systemu neokorporacyjnego. W roku 1993 ludzie odwołali się do tego, co im pozostawiono: kartką wyborczą odwołali rządy postsolidarnościowe. Powołano rząd postkomunistyczny.

postsolidarnościowe. Powołano rząd postkomunistyczny. Grzegorz W. Kołodko zaczął wprowadzać pewne korekty do planu Balcerowicza, niektóre skutecznie (Kołodko, 1994). Cokolwiek dobrego powiedziec o tych próbach zmiany kursu, przyznać trzeba, że dopiero drugie rządy PiS (od 2015 roku) świadczą o poważnym wysiłku państwa w kierunku poprawy losu ludzi najmniej zarabiających czy biednych.

„Życie po życiu”: feudalizm w dwóch postaciach

Teoria okowów feudalizmu pokazuje, że kapitalizm nie staje się takim, jakim chce być, co zakłada teoria *deux-commerce*, przeciwnie – grozić mu nawet może upadek, gdyż zbyt „wiele elementów dawnego porządku pozostaje nienaruszonych. Elementy te określane bywają w rozmaity sposób – jako feudalne nawisy, okowy, pozostałości, resztki, obciążenia, relikty. Jak się okazuje, mają one znaczną siłę. Ponieważ społeczeństwa te krytykowane są za to, że nie zlikwidowały owych feudalnych pozostałości, to mówi się często, że nie udało się im dokonać rewolucji burżuazyjnej” (Hirschman, 1997, s. 129). Proponuję przeprowadzić podobne rozumowanie w odniesieniu do ostatnich 30 lat naszego budownictwa kapitalizmu, ale na dwóch poziomach.

Po pierwsze, uznać komunizm za system, który podobnie jak feudalizm odpowiada za brak pełnego suk-

cesu, jakiego spodziewać się można było w związku z reformą rynkową, kapitalistyczną. Jedną z przeszkód na drodze do pełnego sukcesu jest relikw, który od początku transformacji określany był jako *homo sovieticus*. W ciągu 30 lat budownictwa kapitalizmu przybyły nowe określenia o identycznej lub podobnej treści, jak np. „gorszy sort”.

Po drugie, sięgać do prawdziwego feudalizmu w Polsce jako przeszkody na drodze rozwoju kapitalizmu. Rozumiem przez to działanie relikwów typu mentalność folwarczno-pańszczyźniana, brak poszanowania państwa itd.

Najpierw o *homo sovieticus*. Określenie to stanowi tytuł książki Aleksandra Zinowjewa z 1986 roku, ale ma rodowód dłuższy, jeśli pamiętać o takim zwrocie jak np. ludzie sowieccy. W Polsce przyswoił to określenie opinii publicznej Józef Tischner, charakteryzując je filozoficznie: „Czy można płynąć przez rzekę i nie zamoczyć się? Płynęliśmy wszyscy i każdy czuje się zamoczony. Jeden mniej, drugi więcej [...] *homo sovieticus* to zniewolony przez system komunistyczny k l i e n t komunizmu – żywił się towarami, jakie komunizm mu oferował. Trzy wartości były dla niego szczególnie ważne: praca, udział we władzy, poczucie własnej godności. Zawdzięczając je komunizmowi, *homo sovieticus* uzależniał się od komunizmu; co jednak nie znaczy by w pewnym momencie nie przyczynił się do jego obalenia [...] *Homo sovieticus* to ten, którego świadomość jest określona przez byt, w przeciwieństwie do człowieka,

który stara się poddać swój byt wolnej świadomości [...] Homo sovieticus nie zna różnicy między swym własnym interesem a dobrem wspólnym. I dlatego może podpalić katedrę, byle sobie przy tym ognisku usmażyć jajecznicę” (Tischner, 1992, s. 125, 128, 129).

Tischner kierował uwagę na aspekty etyczne: komunizm jako system zły ze swojej natury wypaczał ludzkie charaktery i aczkolwiek *homo sovieticus* zdolny jest do buntu wobec systemu, który go wypaczył, to gdy znalazł się w postkomunizmie, nie wie, jak korzystać z wolności, żyje często „w pustce”. Otóż lata 90. XX wieku w niektórych krajach postkomunistycznych, takich jak Rosja, dowodziły szczególnie trwałego dziedzictwa komunizmu, którego reformy rynkowe w formie odgórznej rewolucji zlikwidować nie potrafiły, odwrotnie – sprzyjały powstawaniu oligarchicznego kapitalizmu. Anders Aslund pisał w związku z tym, że „problemem Rosji nie jest nadmiar wolnego rynku, ale korupcja spowodowana nadmiernymi regulacjami wprowadzonymi przez wielkie i wszechwładne państwo” (Aslund, 1999, s. 64; Midtun i Svidland, 1996, s. 31).

W odróżnieniu od myśli Tischnera, które miały wydźwięk polityczny, ale nie były elementem programu politycznego, takie, jak powyższe losy reformy jako rodzącej *homo sovieticus* były często wprost efektem decyzji politycznych. Niektóre partie polityczne, a wśród nich polski PiS podjęły walkę z resztkami komunizmu, uznając ją za niezbędny element budowy lepszej Polski składającej się z „lepszych Polaków”. Dekomunizacja

przez m.in. działalność IPN – to aplikacja polityczna, o której powiedzieć trzeba, że podobnie jak każda porewolucyjna terapia, a ich odmian znamy dziesiątki, poczynając od Wielkiej Rewolucji Francuskiej, ma swoje argumenty za i przeciw. Główny jest bodaj ten, który sformułował de Tocqueville o samej rewolucji: że była zbędna. Czyli jeśli dokonano się zmiany systemu, to po co dalej robić rewolucję? Może wystarczą jakieś korekty?

Stało się inaczej: antykomunizm jest paszą używaną w walkach ideologicznych czy politycznych, ale co ciekawsze – mentalność, jaka się za tym kryje, wcale nie musi się różnić od komunizmu. Jak mówi reżyser Krystian Lupa: „Powraca mentalność komunistyczna, która zachęcała nas do okradania państwa. Na samym początku przemian byli tacy ludzie jak Mazowiecki czy Kuroń – którzy pamiętali, z czym walczyli. Niestety, okazało się, że deprawacji z czasów komunizmu nie da się przewalczyć i oglądamy strasznie smutny upadek marzycieli. Zostali wymieceni przez tych, którzy okradanie innych uważają za element etosu rządu. Etosu marginesu społecznego. Nam się może wydawać, że jak ktoś z władzy zostanie przyłapany na kłamstwie, nadzarpnięte jest zaufanie do niego. Wręcz przeciwnie! Napisałem ostatnio tekst o moralności katolickiej w formie wykształconej niedawno, czyli polegającej na permanentnym okłamywaniu Pana Boga” (Lupa, 2019, s. A8).

Trzeba także mówić o żywotności okowów *sensu stricto* feudalizmu w dzisiejszej Polsce. Przesądzą one

w zauważalnym stopniu o kilku osobliwościach naszej historii ekonomicznej, a w efekcie o naszym kapitalizmie. Nasza droga do kapitalizmu jest odmienna od anglosaskiej, francuskiej, niemieckiej (tzw. pruskiej), a także od rosyjskiej czy japońskiej (Morawski, 2019). Nasz kapitalizm był spóźniony. Nasz kapitalizm był i jest w dużym stopniu dziełem sił zewnętrznych. Nasz kapitalizm był taki ze względu na utrzymywanie się systemu folwarczno-pańszczyźnianego o kilka wieków dłużej niż na Zachodzie. Aż do XIX wieku służył wąsko definiowanym interesom szlachty przez zwiększanie pańszczyzny (nieopłacanej pracy chłopów), choć trzeba dodać, że formuły, w jakich funkcjonowała pańszczyzna były bardzo różne (Mędrzecki i Janowski, 2019, s. 4–6).

Podobne zjawiska obserwowano w całej Europie Środkowej – piszą o tym F. Braudel, E. Wallerstein, czy Acemoglu i Robinson. Szlachta polska stworzyła rodzaj imperium agrarnego służącego jej własnym wąskim interesom, rzadko działała w kategoriach państwa, które sobie podporządkowała w ramach systemu elekcji królów, gdy wokoło funkcjonowały monarchie absolutne. Nie pozwalała chłopom na spieniężenie ich pracy na rzecz dworu pańskiego. Skutecznie przeszkadzała rozwojowi mieszczaństwa. Znoszenie pańszczyzny było dziełem zaborców, a nie polskiej szlachty, np. w zaborze rosyjskim nastąpiło to w 1864 roku m.in. ze względu na to, by wygrywać Polaków przeciw innym Polakom, bo wybuchło powstanie styczniowe.

Nasza droga do kapitalizmu jest odmienna od anglosaskiej, francuskiej, niemieckiej (tzw. pruskiej), a także od rosyjskiej czy japońskiej. Nasz kapitalizm był spóźniony. Nasz kapitalizm był i jest w dużym stopniu dziełem sił zewnętrznych. Nasz kapitalizm był taki ze względu na utrzymywanie się systemu folwarczno-pańszczyźnianego o kilka wieków dłużej niż na Zachodzie.

Choć emancypacja niższych warstw społecznych była mocno spóźniona, to się dokonywała, a przyspieszenie tego procesu nastąpiło – to paradoks – w ramach komunistycznego odgórnego uprzemysłowienia, które sprawiało, że masy ludzi ze wsi przeniosły się do miast i do pracy w przemyśle. Procesy inkluzji jeszcze bardziej przyspieszyły po 1989 roku. Mimo to wielu badaczy uparczywie zauważa, że liczne praktyki w życiu ekonomicznym, np. w sferze zarządzaniu, są niemal przeniesione żywcem z folwarku do fabryki czy innego typu firmy państwowej (Hryniewicz, 2004, s. 205–263).

Feudalizm jako pogromca liberalizmu: dobrodziejstwo dla kogo?

Powołując się na książkę Louisa Hartza, *The Liberal Tradition in America*, Hirschman w polemice z J.W. Goethem i A. de Tocqueville’em, pisze, że „brak różnorodności ideowej w Ameryce tłumaczy nieobecność prawdziwej tradycji konserwatywnej, leży u przyczyn często zauważonej słabości ruchów socjalistycznych, a nawet jest powodem przewlekłej jałowości samego liberalizmu politycznego. Jeszcze poważniejszym skutkiem jest to, że ów brak różnorodności prowadzi do „tyranii większości”, inspirowanej przez „irracjonalny Locke’ism” lub „niesłychany absolutyzm liberalny” (Hirschman, 1997, s. 136). Nic nie stoi na przeszkodzie, by próbować przeprowadzić podobne rozumowanie w odniesieniu

do Polski, gdzie, w całkowitym odróżnieniu od USA, feudalizm był mocno przedłużony w porównaniu z Zachodem. Dlatego sprzyjał, jak się należy spodziewać, z jednej strony rozwojowi raczej bujnej tradycji konserwatywnej, z drugiej zaś nie tak bujnej, ale żywej tradycji socjalistycznej jako niezbędnego przeciwieństwa dla konserwatyzmu.

Równocześnie za rachityczny rozwój naszej myśli liberalnej można obarczyć, jak rozumiem, ów przedłużony feudalizm. Dla całkiem sporej liczby ludzi w Polsce jest to ewidentne dobrodziejstwo, bo liberalizm nie jest w modzie, choć nowy kapitalizm ma w Polsce 30 lat. Najlepszy komentator początków liberalizmu po 1989 roku, Jerzy Szacki, pisze, że nie jest on „dojrzały”, gdyż „elementy myślenia liberalnego były tu z reguły przemieszane z elementami myślenia wspólnotowego, które wzięły ostatecznie górę w następstwie umasowienia ideału niezależności. Antypaństwowy nonkonformizm nie wykluczał w tym przypadku konformizmu społecznego, a nawet do pewnego stopnia go zakładał, zamykając drogę ewolucji w stronę liberalizmu” (Szacki, 1994, s. 145).

Zakończenie

To był rodzaj eksperymentalnego myślenia, może wątpliwy, ale mający za sobą potężną tradycję, do której się odwołałem. Zdobyłem się na ten krok w ramach poszu-

kania nowych sposobów analiz, takich, w których porównywanie staje się koniecznym elementem świata współzależności. Tym razem współzależności teoretyczno-analitycznych. Doświadczenie własne nie wystarczy. Może ono sprzyjać zaufaniu, wspólnocie, co jest zawsze cenne, ale nie wystarczy na konkurencyjne, efektywne dawanie sobie rady z wyzwaniem zewnętrznymi.

Bibliografia

- A golden opportunity. The Second Jagiellonian Age. Special Report – Poland (2014). *The Economist*, 28 June.
- Aslund, A. (1999). Russia's Collapse. *Foreign Affairs*, September–October.
- Balcerowicz, L. (1992). *800 dni. Szok kontrolowany*. Warszawa: BGW.
- Balcerowicz, L. (1992a). Demokracja nie zastąpi kapitalizmu. *Polityka*, 10 października.
- Balcerowicz, L. (2019). Tylko radykalna reforma miała szansę, rozmowa Krzysztofa Adama Kowalczyka. *Rzeczpospolita*, 12 września.
- Brus, W. i Kowalik, T. (1983). Socialism and Development. *Cambridge Journal of Economics*, 7.
- Brus, W. i Łaski, K. (1992). *Od Marksa do rynku*. Warszawa: Wydawnictwo Naukowe PWN.
- Gomułka, S. (2019). Mity i fakty polskiej transformacji. *Rzeczpospolita*, 12 września.
- Hirschman, A.O. (1997). *Namiętności i interesy. U intelektualnych źródeł kapitalizmu*. Kraków: Znak.
- Hryniewicz, J. (2004). *Polityczny i kulturowy kontekst rozwoju gospodarczego*. Warszawa: Wydawnictwo Naukowe Scholar.
- Jarosz, M. (red.) (1996). *Spółki pracownicze '95*. Warszawa: ISP PAN.

- Kołodko, G.W. (1994). *Strategia dla Polski*. Warszawa: Poltext.
- Krasnodębski, Z. (2003). *Demokracja peryferii*. Gdańsk: słowo/obraz terytoria.
- Lupa, K. (2019). Gdy zło urządzi świat. Rozmowa Jacka Cieślaka. *Rzeczpospolita*, 10 października.
- Mędrzecki, W. i Janowski, M. (2019). Burzliwe dzieje pańszczyzny, rozmowa Beaty Janowskiej. *Gazeta Wyborcza*, 15 lipca.
- Midtun, A. i Svidland, E. (1996). The Political Economy of Economic Transition. *Journal of Transforming Economies and Societies*.
- Morawski, W. (2019). Researching capitalism in Poland: economic interests as a cultural construction. *Journal of Management and Business Administration. Central Europe*, 1.
- Nowak, A. (2019). *Historia nie dla idiotów*. Kraków: Wydawnictwo Literackie.
- Piątkowski, M. (2018). *Europe's Growth Champion. Insights from the Economic Rise of Poland*. Oxford: Oxford University Press.
- Szacki, J. (1994). *Liberalizm po komunizmie*. Kraków: Znak.
- Tischner, J. (1992). *Etyka solidarności oraz Homo sovieticus*. Kraków: Znak.
- Tusk, D. (1994). Nie udawajmy obrońców ludu. Rozmowa A. Bikont i E. Milewicz. *Gazeta Wyborcza*, 12–13 listopada.

[5]

Na zewnątrz:
zmieniające się
współzależności

Znaczenie powiązań zewnętrznych rośnie

Żyjemy w świecie wszechobecných współzależności, co każe zapytać, jak Polacy wiążą się ze światami bliskimi i dalekimi? Gdzie i jak się to odbywa? Czy przesądzą o tym jakieś uniwersalne procesy, widziane jako obiektywne, zewnętrzne, jak np. globalizacja, czy raczej decydują procesy uruchamiane przez partykularne, lokalne wartości i interesy, np. kulturę narodową? Kolejne fale globalizacji zdawały się potwierdzać, że procesy uniwersalizacji są silniejsze niż procesy partykularyzacji, jednak po jakimś czasie sytuacje się odwracały, przychodziły fale deglobalizacji właśnie w imię obrony partykularnego, lokalnego. Uznajmy te pytania za kontekst dla transformacji ustrojowej w Polsce i zastanówmy się, na ile jest ona rezultatem procesów globalnych, a na ile osobliwości lokalnych.

Wydarzeniami, jakie zachodziły w Polsce 30 lat temu, wkroczyliśmy z impetem na szeroką scenę: obozu komunistycznego, Europy, a nawet świata. Przypomnijmy, że ówczesny świat był czasem globalnego pochodu neoliberalizmu rynkowego i liberalnej demokracji, zjawisk powszechnie ocenianych jako przejawy uniwersalizmu. Jednak od kryzysu 2007–2008 wyłonił się nieco inny

świat, w którym mocniej zaznacza się partykularyzm, a przejawami tego zwrotu są powrót państwa narodowego, geopolityki oraz krytyka rozwiązań multilateralnych. Oczywiście zarówno wówczas, jak i obecnie mieszały się ze sobą uniwersalizm i partykularyzm, ale wtedy optymistycznie zakładano, że wzmacniać się będzie harmonijne łączenie uniwersalizmu i partykularyzmu. To oczekiwanie od lat 2007–2008 bardzo osłabło i nadal słabnie. Harmonii widać coraz mniej. Nie znaczy to, że globalizacja jest zastopowana, ale że przyjmuje inne kształty. Państwo zaś jest, jak było, ale jego funkcje podlegają redefinicji, jak sama globalizacja. Nowe praktyki kształtują się obecnie w atmosferze populizmu pravicowego, prób budowania nieoliberalnej demokracji, odwoływania się do patriotyzmu ekonomicznego, napięć na tle migracji.

Nie cofamy się do wcześniejszego stanu rzeczy. Pojawiają się nowe spojrzenia na niemal wszystko: oprócz wspomnianego państwa narodowego, bardziej krytycznie patrzy się na liberalizm, na demokrację, a kultura jest polem nowych starć, a nawet wojen, jakich się nie spodziewano. Trump, brexit, Erdogan, Orban, Salvini, Bolsonaro, Kaczyński – te nazwiska i wydarzenia mają zwiastować nowe trendy, oceniane często krytycznie, a zarazem jako nowe skuteczne interwencje w tak różne realia. Otóż działalność tych, częściej negatywnie niż pozytywnie ocenianych bohaterów, łatwiej jest wyjaśniać partykularnymi wartościami i interesami niż implantowanymi od lat 80. XX wieku zasadami uniwersalizmu.

Nowe praktyki kształtują się obecnie w atmosferze populizmu prawicowego, prób budowania nieliberalnej demokracji, odwoływania się do patriotyzmu ekonomicznego, napięć na tle migracji. Nie cofamy się do wcześniejszego stanu rzeczy. Pojawiają się nowe spojrzenia na niemal wszystko: oprócz wspomnianego państwa narodowego, bardziej krytycznie patrzy się na liberalizm, na demokrację, a kultura jest polem nowych starć, a nawet wojen, jakich się nie spodziewano. Trump, brexit, Erdogan, Orban, Salvini, Bolsonaro, Kaczyński – te nazwiska i wydarzenia mają zwiastować nowe trendy, oceniane często krytycznie, a zarazem jako nowe skuteczne interwencje w tak różne realia.

Przykład najbardziej spektakularny to USA, w których to, co się nie udało temu krajowi w ramach neoliberalnej globalizacji Clintona, Busha i Obamy, próbuje osiągnąć Trump za pomocą rozwiązań bilateralnych. Mając potężne narzędzia w swoich rękach, często wymusza korzystniejsze dla USA zasady handlowe. Jak długo i jak korzystnie, tego do końca nie wiadomo.

Nie porzuca się całkowicie wiary w spontaniczne procesy globalizacji wolnorynkowej, czy geoeconomii, ale umacnia się przekonanie, że jest znowu wiele zimnej gry geopolitycznej, najczęściej rozumianej jako inteligentne łączenie geografii, państwa i aktywności społeczeństw. Potwierdza się to, co było wiadomo, mianowicie, że świat jest nadal piramidą bogactwa, władzy i prestiżu. Nadal ma sens mówienie o determinizmie struktur, jednak w obecnym świecie jest więcej miejsca na zmienność. Może nie na tak wielką, o jakiej marzą konstruktywiści dla swoich agencji: ludzi, firm, miast, państw, zakładający, że posiadane przez nich potencjały pozwolą konstruować świat według ich wizji. Krótko, zarówno siły tych ostatnich są ograniczone, jak i osłabione są siły determinizmu strukturalnego. Na miejsce dwóch światów, komunizmu i kapitalizmu, jak to było w latach 50.–70. XX wieku, jest ich więcej, jest „wiele światów”, a każdy z nich jest przekonany, że ma przed sobą lepszą przyszłość.

Dawanie sobie rady z tymi wyzwaniem wymaga zajęcia się wieloma czynnikami, a ja tymczasem dla uproszczenia zajmuję się tutaj dwoma czynnikami: geopolityką

i kulturą. Pierwsze pytanie brzmi: jakie są konieczności uwzględniania tego, co przychodzi z zewnątrz, czyli jak, kiedy i dlaczego korzystamy z tego, co świat zewnętrzny nam oferuje? Drugie pytanie brzmi: jak to, co wewnątrz, czyli kultura, reaguje na to, co przychodzi z zewnątrz? Zewnętrzne zmienia porządki wewnętrzne, ale to wewnętrzne ostatecznie określa, co zostaje *hic et nunc*.

Obracam słowem „zewnętrzne”, a tymczasem żyjemy w świecie, w którym to, co zewnętrzne, przeplata się mocno z tym, co wewnętrzne. Żyjemy w świecie powiązań sieciowych, a nie murami odgrodzonych hierarchii, np. państw narodowych. Paszporty mamy w domu, a w obszarze Schengen paszport jest nawet niepotrzebny. Nie tylko o paszport w domu chodzi. Działają w Polsce rozliczne korporacje globalne, które zatrudniają tysiące Polaków w systemach zarządzania nie naszego rodzimego chowu. Nasz system prawny jest w wielkim stopniu wzięty z UE. Studenci wyjeżdżają z Polski w ramach Erasmusa, a w ramach tegoż Erasmusa przybywają do nas studenci z UE. Na marginesie: w 2016 roku polscy studenci wyjeżdżali najczęściej do Hiszpanii, Niemiec, Włoch, Portugalii i Francji, a do Polski najczęściej przyjeżdżali studenci z Turcji, Hiszpanii, Francji, Portugalii i Niemiec (*Gdzie studiujemy, kto przyjeżdża do nas*, 2019, s. 11).

Celowo piszę w tytule „na zewnątrz”, bo chcę podkreślić skokowy wzrost znaczenia tych powiązań dzięki zmianie systemowej, gdy jednak dochodzę do analiz powiązań, kieruję uwagę na sieci, czyli na wszechobec-

ne współzależności ponadnarodowe, regionalne (europejskie) i globalne (Slaughter, 2017). Coraz mniej jest tego, co jest tylko zewnętrzne, zewnętrzne i wewnętrzne są coraz bardziej wymieszane.

Zajmę się kolejno: po pierwsze, jakościową ewolucją samego otoczenia, czyli geopolityką; po drugie, odmiennościami wpływów geopolityki i kultury na politykę, gospodarkę i społeczeństwo; po trzecie, identyfikacją czynników, które powinny być czymś więcej niż tylko funkcjonalnymi narzędziami w systemie dla przezwyciężania napięć i konfliktów.

Dygresja: o *doublethink* naszych czasów

Ludzie chętnie poddają się deterministycznemu memowi: „Jestem podłączony, to jestem” (determinizm technologiczny). Pytanie: czy całkowicie zapominają, że dysponują inteligencją, przecież myślą o sobie, że są lub powinni być „smart”? Wielu pamięta nadal z pewnością o powiedzeniu francuskiego filozofa-racjonalisty Kartezjusza: „Myślę, więc jestem”?

Nie zmienia to jednak faktów potwierdzanych powszechnie, że podłączenie się za pomocą komputera do sieci błyskawicznie poszerza dostęp do użytecznej informacji, a także produkuje ludzi-niewolników nowych mediów, na których działa ogłupiający blichtr, że pojawiają się alternatywne fakty, czy tzw. postprawda. Rezul-

tat – relatywizmu jest coraz więcej, a wiele prawd oznacza, że nie ma żadnej prawdy. Czytam gdzieś, że seriale Netflix mają większy wpływ na młodsze pokolenie w Polsce niż nauki księdza. Wątpię, czy jest to cała prawda, a nawet czy jest to jakakolwiek prawda? Dostrzegam, jak wszyscy wokoło, że rodzą się zjawiska opisywane już dawno, ale w dawkach nieporównanie większych. Taki jest łączny wpływ rewolucji cyfrowej, logiki rynków globalnych (widać to na przykładzie oddziaływania takich korporacji jak Google, Amazon, Apple i Facebook), dbałości o bezpieczeństwo, wyzwań społecznych, takich jak migracje, zagrożeń ekologicznych.

W efekcie nowe konsekwencje nowych uwarunkowań świata, który się wyłania, stają się nieprzewidywalne, groźne. Choć George Orwell, pisząc książkę *Rok 1984*, oparł ją na faktach z wojny domowej w Hiszpanii, w której sam brał udział, to postrzegał *doublethink* nie tyle jako prognozę, ile jako ostrzeżenie – pisze recenzent biografii Orwella pióra Doriany Lynskeya pt. *The Ministry of Truth: The Biography of George Orwell's 1984* (Packer, 2019). Obecnie produkcja takich zwrotów jak Newspeak, memory hole, unperson, thoughtcrime, Thought Police, Room 101, Big Brother i innych, które weszły do języka angielskiego, stanowi natychmiast i powszechnie rozpoznawalne znaki koszmarnej przyszłości, jaka czeka nasz świat. Pełną świadomość tego miał też polski poeta i dramaturg Tadeusz Różewicz, który naszkicował działania i oddziaływania, o jakich wyżej mowa, w wierszu pt. *Z ust do ust*:

Na zewnątrz: zmieniające się współzależności

Ideja
ma język
piękny i pokrętny
jak wąż
w rajcu

z ust filozofa
wychodzi czysta
daleka
od rzeczywistości
jak dusza od ciała

wtedy bierze ją
na język
polityk kapłan
działacz

przeżuwa
i wypluwa na głowy
obywateli

z ust polityka
wyjmuje ideję
dziennikarz
przyprawia śliną
arogancją
prowokacją
i wydała przez środki
masowego przekazu

A historia toczy się dalej

ideja rośnie w ustach
ideja sięga bruku

wychodzi na ulicę
zatacza się
jak pijana prostytutka
na prawo i na lewo

ideja przechodzi
z rąk do rąk
na oczach
oniemiałego świata
zamienia się
w narzędzie zbrodni

a co robi filozof
on milczy
nie ogląda się
za siebie

jakby nie słyszał słów:
Nie to, co wchodzi do ust,
czyni człowieka nieczystym,
ale to, co z ust wychodzi,
to go czyni nieczystym...

Geopolityka: od wrogiej do przyjaznej

Kolejne rozbiory Polski, czas niewoli, dwie kolejne wojny światowe, komunizm – ukształtowały w społeczeństwie polskim szeroko podzielane zdanie o tragizmie naszego położenia geograficznego, a w związku z tym polskie wizje geopolityki były elementami fatalizmu dziejowego, któremu podlegamy. Dlatego nasze wyzwolenie musiało z konieczności przebiegać się najpierw w formuły duchowe, zwłaszcza w czasie Romantyzmu, ale także później. Wystarczy podać nazwiska Mickiewicza i Wyspiańskiego. Kreowano też formuły praktyczne, ale ich sprawdziany wypadały najczęściej źle, a kiedy wypadały dobrze, np. po odzyskaniu niepodległości po I wojnie światowej, kiedy pobudziły naród do obrony ojczyzny w 1920 roku, to później nie potrafiły zapobiec klęsce i kolejnym zerwaniom ciągłości życia narodu.

Kiedy w 1989 roku Polacy wchodzili ponownie na drogę wolności, mieli w swoim bagażu zarówno doświadczenia braku suwerenności, jak i ograniczonej suwerenności, które mogli chwilowo doceniać, jak czas Księstwa Warszawskiego, Królestwa Kongresowego, a nawet PRL, aby następnie każdorazowo odrzucać je z odrazą. Pewne znaczenie w tym, jak odrzucano, miała jakość oferty zewnętrznej. Przypomnę Adama Mickiewicza, który tylko Chrystusowi przypisywał większe zasługi dla Polski niż Napoleonowi Bonaparte (z okazji Księstwa Warszawskiego). Tak wysokimi ocena-

mi nie może się pochwalić ani Królestwo Kongresowe, ani PRL.

Okres od jesieni 1989 do grudnia 1991 roku, kiedy ostatecznie rozpadł się ZSRR, to czas klęski całego systemu komunistycznego w rywalizacji z kapitalistycznym Zachodem. Zimna wojna kończyła się przegraną programu bolszewików, którzy zdominowali ruch komunistyczny w Rosji na przełomie XIX i XX wieku, a potem w ramach ekspansji po II wojnie światowej ustanowili podległe sobie państwa tzw. demokracji ludowej. Na Zachodzie ruch marksistowski przybrał postać socjalizmu ewolucyjnego, zwłaszcza w postaci reformizmu Eduarda Bernsteina, który głosił, że „ruch jest wszystkim, a cel niczym”, co z czasem pozwalało siłom lewicy rządzić okresami samodzielnie, choć najczęściej jako prawomocna opozycja wobec sił liberalnych i konserwatywnych.

Przegrana komunizmu z kapitalizmem musi być punktem wyjścia dla analiz transformacji ustrojowych w Polsce i Europie Wschodniej. Nie likwiduje to pytania, na ile upadek komunizmu był dziełem bezpośrednim Zachodu, a na ile był implozją systemu od wewnątrz. Jakąkolwiek damy odpowiedź, podkreślę: idee i systemy żyją życiem pośmiertnym. Zachód robił wszystko, aby osłabić Wschód, np. rozwijając ideologię „wojen gwiazdnych” w czasach Reagana, ale lepszym wyjaśnieniem przegranej systemu były fałszywe wizje ludzi i świata zrodzone w myśli marksistowskiej, a potem z uporem realizowane od 1917 roku. Epistemologia ta

skazała ontologię-system na uwiad. Jakkolwiek idee te były fałszywe, to dla całkiem wielu były one piękne, a nadto były funkcjonalne dla ZSRR jako dziedzica po imperium Rosji. ZSRR nie pozbył się, wbrew hasłom „proletariusze wszystkich krajów łączcie się”, aspiracji pozostania imperium. Wszelkie imperia zaś mają to do siebie, że wypracowują strategie i taktyki swojego trwania, jakby niezależnie od formuły ustrojowej.

ZSRR, przegrywając z Zachodem, miał pewne możliwości wpływu na bieg rzeczy w bloku zwanym Układem Warszawskim, RWPG. Co więcej – było to usankcjonowane ogólnoeuropejskimi konferencjami (zwłaszcza w Helsinkach), np. ideą Gorbaczowa „Europy –domu”, a także porozumieniami na linii ZSRR–USA. Było to zrozumiałe w epoce nuklearnej (mimo rywalizacji). Ten obiektywny stan rzeczy wpływał na przebieg „jesieni narodów” w 1989 roku. Poszczególne państwa, w tym Polska, odzyskały status państw w pełni suwerennych, mając wcześniej suwerenność ograniczoną. Według takiego rozumowania to, co się działo w Polsce i krajach ościennych, może być widziane jako skutek rewolucji odgórnjej, a ściślej – jako „niezaplanowane skutki odgórnjej rewolucji”, jak ocenia historyk Andrzej Nowak, przywołując fakty z dziejów Rosji, pokazując, że był to ciąg dalszy praktyk wyuczonych w przeszłości (Nowak, 2019, s. 504–518).

Wiele faktów w sposób niezaprzeczalny potwierdza taki kierunek myślenia, który nazwałbym strukturalnym lub historyczno-strukturalnym. Przyjęcie takiej

perspektywy ma swoje konsekwencje, z których korzystają ci, którzy nie objęli władzy w Polsce w początkach transformacji, a kwestionują czasem porozumienia Okrągłego Stołu jako znowę reformistycznie nastawionych elit komunistycznych z umiarkowaną opozycją związkową, która była skupiona wokół Wałęsy, Mazowieckiego, Geremka, Kuronia. Wedle tej narracji mieliby oni chcieć zachować jak najwięcej ze starego systemu i dlatego zbudowano instytucje typu IPN, aby zapewnić przejście do „drugiej fazy” rewolucji, czyli walczyć z postkomunistami, „gorszym sortem”, czy z „nie-prawdziwymi” Polakami. Zwiększa to podziały w społeczeństwie, gdy do celów politycznych dodaje się uzasadnienia światopoglądowe. Sprzyja to wojnie kulturowej.

Wspomniana perspektywa strukturalno-historyczna ma tę słabość, że mimo woli zdaje się pomijać rolę takiej endogenicznej agencji, jaką był 10-milionowy ruch społeczny Solidarność. Zorganizowała ona społeczeństwo polskie do walki z systemem w tak efektywny sposób, że zdobyła uznanie całego świata. Pozwala to często bohaterom tego ruchu mniemać, że to oni obalili komunizm, choć jest to przesadą. Nie zmienia to faktu, że odegrali rolę podobną do legionów Piłsudskiego, czy powstańców wielkopolskich i śląskich. Teza brzmi: wszyscy oni mogli kształtować Polskę, bo pozwoliły im na to zewnętrzne warunki w postaci klęski trzech zaborców w I wojnie światowej czy upadku komunizmu w okresie 1989–1991. ZSRR przystał na porozumienia z myślą o sobie, to prawda, bo sam się chciał reformo-

wać, a jak pisał de Tocqueville, reformowanie może tylko pogłębić chaos, przyspieszyć upadek. Może też być zbędne, jak we Francji – jak dowodził. Chiny, jak dotąd, odbiegają od standardu, bo tam nie chodzi ani o komunizm, ani o kapitalizm, ale o wiecznie wielkie Chiny, które po wiekach ponownie zdobywają pozycję mocarstwową (Allison, 2018). ZSRR rozpadł się nie tylko dlatego, że zainicjował reformę czegoś, co się nie da zreformować, ale dlatego, że nie miał dość zasobów, aby utrzymać swoje imperium. Po Afganistanie było to jaszkrawo widoczne. Na tym tle podzieliły się elity polityczne, co pozwoliło zewnętrznym partnerom zacząć wpływać na bieg rzeczy, które wcześniej pozostawały sprawą wewnętrzną imperium.

Najlepszą perspektywą, w której uwzględnia się wymiar strukturalny, geopolityczny i agencyjny, wewnętrzny, ale zarazem daje szansę na realistyczne wyjaśnienia, jest perspektywa konfiguracyjna. Sukces agencji może się powieść tylko wtedy, gdy umożliwi to struktura-geopolityka, a ta zmienia się bardzo powoli, zwykle jest bowiem dość sztywna. Ani przez cały XIX wiek (po kongresie wiedeńskim), ani w okresie „układu jałtańskiego” po II wojnie światowej, struktury-geopolityka nie stwarzały takiej możliwości agencjom, aby mogły one osiągać to, co chciały. Ich wysiłki kończyły się fiaskiem. Struktury były zbyt silne. Przechodząc do 1989 roku, trzeba powiedzieć, że zmiany w globalnej sile aktorów (struktur) dały agencjom, jak Solidarności, nowe możliwości działania. Nie wystarczyłyby sama zmowa

komunistów ZSRR i Polski, czy z udziałem władz USA. Rola agencji zwanej Solidarnością była konieczna, by konfiguracja była udana!

Okoliczności tejsze zmiany nietrafnie nazwano *annus mirabilis*, czyli „rok cudów”. To, co się stało, nie było żadnym cudem. Jest w tej przenośni myśl o przypadkowości, gdy tymczasem udane konfiguracje są dziełem inteligencji aktywnych uczestników gry, tak odgórnych, jak oddolnych. Jeśli ktoś się upiera, że przekroczenie Bramy Brandenburskiej w pamiętną noc listopadową czy wyniki wyborów do senatu w dniu 4 czerwca 1989 roku w Polsce miały znamiona „cudu”, to traktujmy to z dobrodziejstwem inwentarza. Dlatego oceniam jako trafne zastrzeżenie, jakie Andrzej Nowak zrobił do swojego wywodu historyczno-strukturalnego o „odgórnej rewolucji”, dodając niezbędny przymiotnik o „niezaplanowanych skutkach odgórnej rewolucji”. Niech mieści się w nim to, co określam jako spełnienie wymogów udanej konfiguracji.

Nie są to wszystkie wyjaśnienia upadku komunizmu, tego „najbardziej nieoczekiwanego wydarzenia w XX wieku”, jak pisze Leslie Holmes, informując, że obecnie jedynie 5 państw jakoś nawiązuje do komunizmu, a charakteryzuje wyjaśnienia upadku: czynnikiem Gorbaczowa, imperialnego przeciężenia (Paul Kennedy), upadku ekonomicznego, przegranego współzawodnicstwa z Zachodem, działalności dysydentów i opozycji, korekty marksistowskiej, rosnących oczekiwań (Crane Brinton i James Davies), sytuacji rewolucyjnej i wyniku

rewolucyjnego Charlesa Tilly'ego, kryzysu legitymizacji (Holmes, 2009, s. 119–133). Jest słowo prawdy w każdym z tych ujęć. Dorzuciłbym wyjaśnianie w kategoriach modernizacji.

Geopolityka i kultura jako klucze do zrozumienia zmian systemowych

Chodzi o dwa odmienne rodzaje sprawstwa: geopolitykę jako siłę sprawstwa głównie zewnętrznego i kulturę jako zasób sprawstwa głównie wewnętrznego. To są dwie sprężyny uruchamiające całe łańcuchy przyczynowo-skutkowe na wszystkich szczeblach porządku społecznego, powodując, że jakiegokolwiek szczeblowi się przyglądamy, to widzimy napięcia między zewnętrżnością a wewnętrżnością, ich wzajemne przenikanie się.

Zacznę od geopolityki. Nasza geopolityczna pozycja została zmieniona w okresie 1989–1991. Polska i kraje Europy Wschodniej opuściły sferę dominacji wpływów ZSRR, by znaleźć się na Zachodzie, co później potwierdziła akcesja do NATO i UE. Zachód uznaje się za nasze naturalne miejsce w świecie od chrztu Polski ponad 1000 lat temu i wskazuje na korzyści, jakie z tej przynależności mamy lub mieć możemy. Na to samo z kulturowej perspektywy spojrzeć można bardziej krytycznie, a ściślej – akceptując przynależność do Zachodu, nie odrzucać wielkiej tradycji powiązań ze Wschodem w czasach Rzeczypospolitej Obojga Narodów. Ostatecz-

nie etnicznych Polaków, czy także katolików z tej Rzeczpospolitej nie było więcej niż *circa* 40%. Oznacza to dwie rzeczy: należy wobec sąsiadów ze Wschodu wyrzec się poczucia misji przewodzenia, a wobec sąsiadów z Zachodu rozwijać podejście selektywne, tj. wybierać na Zachodzie to, co nam bliskie, odrzucać to, co się nam nie podoba, zgodnie z przekonaniem, że nasza tożsamość ma cechy „drugiej Europy”, co podkreślił Czesław Miłosz w swojej mowie noblowskiej. Andrzej Walicki wskazał na praktyczne aspekty tej sytuacji: „Jako zachodnia peryferia Wschodu byliśmy bardziej słuchani, mieliśmy większy autorytet, byliśmy bardziej szanowani niż jako wschodnia peryferia Zachodu [...] Polska była atrakcyjna na Zachodzie jako najbardziej liberalna, otwarta, część systemu wschodniego. Między Berlinem a Władawostokiem nie było kraju, w którym dało się wydać takie książki, jakie u nas się dało” (Walicki, 2019, s. 149).

Spojrzenie na kulturę przynosi jeszcze większą porcję napięć niż geopolityka. Z geopolitycznej perspektywy widać, że związanie się z Zachodem jest dla bardziej konserwatywnie nastawionych Polaków obarczone grzechem imitacji. Jest to zrozumiałe, jeśli spojrzeć na dorobek gospodarczy i demokracji na Zachodzie, ale mniej zrozumiałe lub nie do przyjęcia dla wielu ludzi w Polsce są liberalno-lewicowe sposoby definiowania i akceptacji różnorodności i tolerancji, jakie wypracował Zachód, także konserwatywny Zachód. Przykładem może być stosunek do ideologii i ludzi LGBT. Kultura

każdego społeczeństwa ma swoje moralne fundamenty, oparta jest na wartościach, które mogą być częściowo odmienne. Polacy nie chcą się godzić na pewne zmiany, jakie przychodzą do nas z Zachodu po 1989 roku, uważając ciągłość kulturową za zasób, który należy cenić wyżej.

Przejdźmy do gospodarki. Zmiana perspektywy geopolitycznej wyraziła się przyjęciem modnej na Zachodzie w latach 80.–90. XX wieku opcji neoliberalnej, najpełniej zarysowanej w tzw. konsensusie waszyngtońskim. Plan Balcerowicza w Polsce zakładał podobne skrajne rozwiązania, choć w dorobku instytucjonalnym Zachodu była także społeczna gospodarka rynkowa, praktykowana z powodzeniem w Niemczech (w Polsce zalecana deklaratorywnie w konstytucji z 1997 roku). Podobnie było z rozwiązaniami skandynawskimi, z nich też nie skorzystano. UE jest naszym głównym partnerem gospodarczym, z którym powiązania handlowe są silne (zwłaszcza z Niemcami), ale uwzględniając kulturowe sprzężenia, widać nasilenie w Polsce poszukiwań, zwłaszcza od 2015 roku, alternatyw dla neoliberalizmu, co wyraża się m.in. w: nieprzystępowaniu do strefy euro, umacnianiu państwowych spółek (skarbu państwa), ideologii ekonomicznego patriotyzmu, niskiej akceptacji postulatów w zakresie ekologii.

W sferze polityki akceptowano dość silnie w początkach transformacji idee „państwa minimum” jako pożądane odejście od wszechobjemującego państwa partyjnego oraz liberalnej demokracji z takim państwem związanej. W perspektywie kulturowej natomiast libe-

Zmiana perspektywy geopolitycznej wyraziła się przyjęciem modnej na Zachodzie w latach 80.–90. XX wieku opcji neoliberalnej, najpełniej zarysowanej w tzw. konsensusie waszyngtońskim. Plan Balcerowicza w Polsce zakładał podobne skrajne rozwiązania, choć w dorobku instytucjonalnym Zachodu była także społeczna gospodarka rynkowa, praktykowana z powodzeniem w Niemczech (w Polsce zalecana deklaratorywnie w konstytucji z 1997 roku). Podobnie było z rozwiązaniami skandynawskimi, z nich też nie skorzystano.

ralizm jest kontestowany solidaryzmem, rozumianym narodowo czy katolicko. Czasem mówi się nawet o Polsce jako katolickim państwie narodowym. Gotowość do praktykowania nieoliberalnej demokracji jest opcją, którą próbuje się realizować w PiS (łamanie trójpodziału władzy), ale sam PiS oficjalnie nie reprezentuje tej gorliwości, z jaką idea ta realizowana jest na Węgrzech. Umacnia wszak partyjność, co wielu przypomina czasy minione.

W sferze społeczeństwa zewnętrzne wzorce wyraziły się upodmiotowieniem konsumenta i inwestora kosztem obywatela, którego upodmiotowienie było czołowym hasłem Solidarności. Znikło kolektywne „my”, np. związkowe, kiedyś rozwijane w ramach instytucji współzarządzania. Oznacza to klęskę tej idei, drogą polskim robotnikom z lat 80. Od 2015 roku jest realizowany solidaryzm rozumiany jako pomoc socjalna (500+), co można uznać za akcent „walki o godność” dla tych, którym się nie wiedzie na rynku ekonomicznym. Problem w tym, że często idzie to w parze z dzieleniem społeczeństwa przez władzę, np. przez nasilenie paniki moralnej wokół migrantów czy ideologii LGBT. W tym ostatnim przypadku z pomocą niektórych biskupów Kościoła katolickiego. W kwestii biowładzy (in vitro, przemoc domowa, możliwość dokonania aborcji) zachowania władzy są raczej powściągliwe. Powód: ewentualne zaostrenie reguł nie spotkałoby się ze społeczną aprobatą.

Wprowadzenie euro, do którego nie przystąpiła część krajów UE, pokazuje, że wejście na wyższy poziom integracji, co nazywa się federalizacją, nie znajduje poparcia, przeciwnie – pobudza siły rozkładowe o charakterze nacjonalistycznym. Kłopoty Grecji dały przedsmak tego, co może czekać inne kraje. W końcu udało się zażegnać kryzys grecki, ale kiedy doszła konieczność wypracowania wspólnej polityki wobec migracji z Południa, okazało się, że państwa członkowskie UE zaczęły dzielić nie tylko kwestie ekonomiczne, ale również kwestie społeczne, kulturowe, religijne.

Siła i emocje

Skupiając się na geopolityce i kulturze, wyrażam myśl krytyczną wobec wielu nadziei, jakie wiązano z podejściem funkcjonalnym i neofunkcjonalnym (oba są *de facto* ujęciami konserwatywnymi), ale także krytyczną wobec ujęć konstruktywistycznych o charakterze liberalnym, które na przemian lub łącznie władały myślami elit Europy Zachodniej i zaowocowały praktykami w postaci kolejnych wcieleń tego, co dziś nazywa się UE. Przez długie lata postępowała integracja, ale niemal wszystko zacięło się od kryzysu ekonomicznego 2007–2008. Procesy dezintegracji przybrały postać kryzysu politycznego. Namnożyło to masę konfliktów, którymi Komisja Europejska nie jest w stanie optymalnie zarządzać. Zwłaszcza wprowadzenie euro, do którego nie przystąpiła część krajów UE, pokazuje, że wejście na wyższy poziom integracji, co nazywa się federalizacją, nie znajduje poparcia, przeciwnie – pobudza siły rozkładowe o charakterze nacjonalistycznym. Kłopoty Grecji dały przedsmak tego, co może czekać inne kraje. W końcu udało się zażegnać kryzys grecki, ale kiedy doszła konieczność wypracowania wspólnej polityki wobec migracji z Południa, okazało się, że państwa członkowskie UE zaczęły dzielić nie tylko kwestie ekonomiczne, ale również kwestie społeczne, kulturowe, religijne. Nadto rosną nierówności ekonomiczno-społeczne i bezrobocie, np. wśród młodych, co dopełnia obraz niepewności co

do przyszłości samej UE. Brexit pokazał skalę zagrożenia nie tylko dla UK, lecz także całej UE.

Teorie na temat funkcjonowania UE pokazują zmienność spojrzeń, która wcale nie pomaga przezwyciężyć powstających kłopotów (Grosse, 2018). Zagrożone są fundamenty UE. Istnieją siły praktycznie zainteresowane osłabieniem UE, jak Rosja, której prezydent Jelcyn głośno marzył, by oddano mu pod kuratelę Zachód Europy, a teraz do podobnych myśli doszedł także prezydent USA Donald Trump. Walka USA i Chin o dominację nad światem przesądzi o kształcie nowych konfiguracji w polityce wobec Europy i samej Europy.

Czy Polska i kraje Europy Wschodniej potrafią być w tej sytuacji na tyle aktywne, by mieć poczucie sprawstwa na bieg rzeczy? W odpowiedzi na to pytanie można uważać relacje z UE za pierwszy sprawdzian naszych umiejętności działania. Oto ogólna charakterystyka działań Polski wobec UE i świata:

Po pierwsze: od 2004 do 2015 roku pozycja Polski w strukturach UE rosła nieprzerwanie nie tylko dzięki sukcesom ekonomicznym kraju (Polska „zieloną wyspą” w czasie kryzysu 2007–2008), ale także dzięki demonstracyjnie realizowanej polityce zbliżania Polski do wzorców wypracowywanych na Zachodzie. Polska i Polacy znajdowali uznanie, które wyrażało się m.in. obejmowaniem kolejnych prestiżowych stanowisk m.in. przez premierów Buzka i Tuska. Ten proces został zahamowany, kiedy do władzy doszło PiS, które ma trudności z przekonaniem parlamentu i władz UE do

kandydatów, jakich proponuje na bardziej prestiżowe stanowiska (na szczęście bywa też inaczej).

Po drugie: w ramach UE toczy się dyskusja na temat pożądanego kształtu UE, w której ścierają się sprzeczne koncepcje, spośród których główną jest zasada o ciągle najważniejszej roli państwa narodowego i ewentualnych międzyrządowych uzgodnieniach między państwami-członkami. To jest perspektywa realistyczna czy neo-realistyczna, choć u nas mówi się raczej o poparciu dla starej konserwatywnej idei „Europy ojczyzn” (ojcostwa m.in. de Gaulle’a). W Polsce ma to kształt ogólnikowego postulatu, aby budować katolickie państwo narodu polskiego, który ściera się z konkurencyjną koncepcją UE jako struktury quasi-federalnej, której w zasadzie zdaje się sprzyjać Komisja Europejska, choć bez powodzenia.

Według koncepcji federalnej pojedyncze państwa narodowe nie są w stanie rozwiązywać wyzwań z natury swojej transnarodowych. Myśl, jaka temu towarzyszy, pochodzi najczęściej z liberalnej demokracji, w której liczy się oparcie decyzji na procedurach zwanych demokratycznymi zasadami rządów prawa. Metody międzyrządowej nie uważa się tu ani za demokratyczną, ani za efektywną. Polska jest przeciwna federalizacji, a od czasów objęcia rządów przez PiS – wroga tej koncepcji. Trzeba powiedzieć, że nie jest to koncepcja realistyczna i to nawet w perspektywie myśli o potrzebie dalszej integracji UE, choć niektóre potrzeby tego wymagają: kwestie unii walutowej, czy bezpieczeństwa poprzez

tworzenie własnej armii. Federalizacja jest wbrew DNA Europy, która była zawsze historycznie rozdrobniona. Poza czasami panowania Karola Wielkiego w jej zachodniej części oddalała zawsze jakiegokolwiek próby jednoczenia się w jedną całość: przez Habsburgów, papieżstwo, Francję, Niemcy, Rosję. Warto też przypomnieć, że idea Europy jako Europy wyłaniała się w walce z zewnętrznymi zagrożeniami od VII–VIII wieku. Europa pozostawała zawsze podzielona nie tylko geograficznie, lecz także politycznie. Obecnie ma około 50 jednostek politycznych (włączając małe), ale 5–6 wieków temu było ich około 500.

Niemniej II wojna światowa skłoniła ludzi z różnych obozów politycznych do szukania zbliżenia, co rozpoczęło się od wspólnie uzgadnianych reguł handlu, a dziś wyraża się czterema wolnościami rynku osób, towarów, usług, kapitałów. Zachodzi proces zbliżenia się wzajemnego. Przyjaźnie, np. Francji i Niemiec po trzech wyniszczających wojnach, stają się faktem. Polski i Niemiec – podobnie.

Po trzecie: stosunek Polaków do UE jest wielce przyjazny, o czym mówią kolejne badania opinii publicznej. Rząd PiS stara się pokazywać UE jako wzorzec liberalno-lewicowych schorzeń, a zwłaszcza odchodzenia od chrześcijańskich korzeni Europy. Przykładem takiej kulturowej wojny inicjowanej przez PiS jest walka z tzw. ideologią LGBT i małżeństwami jedнопłciowymi, które to praktyki zostały albo wprowadzone, albo uznane na

ogół przez konserwatystów na Zachodzie. W Polsce przedstawiane są jako dzieło sił liberalno-lewicowych.

Po czwarte: polskie relacje na linii Wschód–Zachód, zwłaszcza z Rosją i Niemcami, były zawsze najważniejsze i takimi nadal pozostają. Są zmienione, co umożliwił upadek komunizmu. Niemcy mogli się stać naszym sojusznikiem. Około 1/3 naszej wymiany handlowej dotyczy związków z potężną gospodarką Niemiec. Korzyści wynoszone z bliskości ekonomicznej Polski i Niemiec pokazuje niemal każda tabela na temat relacji gospodarczych Polska–UE. Trzeba oddać polskiemu Kościołowi katolickiemu dalekowzroczność i pierwszeństwo w wykuwaniu nowych relacji, zadania zdawałoby się nie do wykonania, jeżeli weźmiemy pod uwagę zadawnione wrogości.

Do polepszenia pozostają relacje z Rosją, o co nie będzie łatwo, zwłaszcza że Polska popiera Ukrainę w jej dążeniach do odcięcia się od wpływów Rosji. To jest skomplikowana sprawa, bo mamy własne rachunki krzywd na Ukrainie, ale w duchu zaleceń Giedroycia, a kiedyś prób samego Piłsudskiego, jednoznaczna. Pytania dotyczą kontekstu, a zwłaszcza tego, czy Ukraina i Rosja same ułożą dobre relacje ze sobą. Odpowiedzi ciągle brak.

Po piąte: Polska–USA to od dawna relacje pełne nadziei, m.in. ze względu na liczną diasporę polską w USA, sięgającą 10 milionów ludzi. USA mają wobec nas swoje oczekiwania ze względu na bliskość Rosji, a tym samym roli, jaką Polska może odegrać w osłabieniu jej pozycji.

Wyraża się to m.in. we wzrastającej liczbie żołnierzy USA w Polsce. Polska jest członkiem NATO, ale wygląda na to, że ważniejsza jest dla nas rola sojusznika wojskowego USA. Nie musi się to kłócić, ale śledząc wrogie wypowiedzi Trumpa wobec UE, NATO i Niemiec, trzeba stwierdzić, że obraz nie jest całkiem jednoznaczny (po obu stronach). Nie brak w Polsce ludzi, którzy rozwój bliskich związków z USA widzą nie jako uzupełnienie dobrych relacji z UE, ale jako alternatywę dla tych relacji. Na szczęście nie jest to oficjalna linia PiS.

Po szóste: Polska jako kraj prosperujący ekonomicznie staje się atrakcyjnym partnerem dla wielu państw i stara się te relacje podnosić na wyższy poziom, także na linii Północ–Południe (idea „trzech mórz”). To na razie bardziej idea niż fakty. Co innego relacje z Chinami, ale też osiągnięcia na tej linii nabierają tempa powoli, bo to, jak daleko posunie się współpraca z Chinami zależeć będzie od woli USA, naszego głównego sojusznika wojskowego.

Uwaga końcowa

Położyłem akcenty na geopolityce i kulturze. W kwestii geopolityki chcę postawić kropkę nad i. Staram się myśleć realistycznie i dlatego, widząc wiele zagrożeń dla wartości i instytucji związanych z tym, co nazywa się liberalną demokracją, uznaję wagę siły w relacjach Polski ze światem. To, że Polska znalazła się po 1989 roku

w świecie Zachodu, likwiduje uzależnienia od ZSRR/Rosji, ale z drugiej strony wprowadza uzależnienia od Zachodu, które są o niebo lepsze niż to, czego doświadczyliśmy wcześniej. Może to mieć swoje konsekwencje, np. gdyby dobre relacje z USA miały być budowane kosztem UE.

Bibliografia

- Allison, G. (2018). *Destined for War*. Houghton Mifflin Harcourt.
- Gdzie studiujemy, kto przyjeżdża do nas (2019). *Gazeta Wyborcza*, 14 września (dodatek „Nasza Europa”).
- Grosse, G.T. (2018). Unia Europejska: Siły integracji i dezintegracji. W: W. Morawski (red.), *Socjologia ekonomiczna*. Warszawa: Wydawnictwo Naukowe PWN.
- Holmes, L. (2009). *Communism. A Very Short Introduction*. Oxford University Press.
- Nowak, A. (2019). *O historii nie dla idiotów*. Kraków: Wydawnictwo Literackie.
- Packer, G. (2019). George Orwell’s Unheeded Warning. *The Atlantic*, July, 40–42.
- Slaughter, A.M. (2017). *The Chessboard and the Web. Strategies of Connection in a Networked World*. Yale University Press.
- Walicki, A. (2019). W poszukiwaniu idei, rozmowa Andrzeja Nowaka. W: *Historia nie dla idiotów*. Kraków: Wydawnictwo Literackie.



[6]

Praca, życie,
sprawiedliwość
społeczna

Od pułapki maltuzjańskiej do płacy uniwersalnej

Łączne rozpatrywanie problematyki pracy i życia, nazywane czasem równoważeniem pracy i warunków życia, jest tradycyjnym podejściem do wyzwań w obu tych sferach. Idea ta znalazła rozmaite praktyczne realizacje na Zachodzie, wśród których fordyzm jest chyba najczęściej wymieniany, gdyż przyjęto w nim założenie, że praca powinna zapewniać ludziom ją wykonującym także odpowiedni poziom konsumpcji.

Wcześniej też budowano instytucje przejawiające troskę o życie, ale należało to prawie zawsze do działalności charytatywnej, np. zakonów. Bieda i wyzysk były chronicznymi zjawiskami od tysięcy lat, co nazwano pułapką maltuzjańską, o której czytamy: „Ogromna większość ludzkich społeczeństw – od pierwszych zbieraczy i myśliwych żyjących na afrykańskiej sawannie po osiadłe społeczności rolnicze z czasów około roku 1800 – wiodła życie gospodarcze, które kształtował prosty fakt: w długiej perspektywie czasowej liczba urodzeń musiała się równać liczbie zgonów [...] w tej »naturalnej« gospodarce te same prawa ekonomiczne rządziły zachowaniem ludzi i zwierząt. Ekonomia rządząca światem ludzi i ekonomia rządząca resztą świata zwie-

rzącego rozeszły się w ostatnim dwustuleciu [...] logika gospodarki naturalnej prowadzi do wniosku, iż pod względem materialnym poziom życia przeciętnej osoby z rolniczej społeczności z roku 1800 był gorszy niż w przypadku naszych odległych przodków, jeśli w ogóle występowały jakieś różnice” (Clark, 2014, s. 31–32).

Pozytywna zmiana na lepsze na Zachodzie zaczyna się od okresu 1800–1820 i wiąże się z rewolucją przemysłową, rozpoczętą 4–5 dziesięcioleci wcześniej. Nie był to jedyny czynnik sprzyjający tej zmianie. Wówczas to działać zaczynają instytucje związane z demokracją, pojawiają się kategorie sprawiedliwości społecznej. Instytucje państwowe miały zbiorowo zabezpieczać pracę i życie ze względu na negatywne skutki mechanizmów rynku ekonomicznego, ze względu na czynniki technologiczne, społeczno-kulturowe, najogólniej – ze względu na negatywne efekty modernizacji kapitalistycznej. Działania tego typu podejmowali sami pracodawcy, jak we wspomnianym fordyzmie, ale już wcześniej, bo od lat 80. XIX wieku kanclerz Bismarck w Niemczech wprowadza rozwiązania emerytalne na szczeblu państwa. Szerzej programy budowy polityki socjalnej na szczeblu państwa pojawiają się dopiero od wielkiego kryzysu lat 30. XX wieku, a właściwie po II wojnie światowej.

Państwo dobrobytu, *welfare state*, a lepiej oddając jego istotę: państwo o orientacji socjalnej, jest realizowane w ramach trzech odmiennych filozofii społecznych:

- W modelu konserwatywnym, poczynając od Bismarcka, liczone na integrację pokrzywdzonych

w ramach wspólnoty narodowej. Rzadko jednak wówczas konserwatysta stawał się „czułym konserwatystą” czy – mówiąc inaczej – socjalkonserwatystą, choć takimi stawali się ci, którzy powołują się na społeczną naukę kościoła, np. w ramach społecznej gospodarki rynkowej.

- W modelu socjaldemokratycznym chodziło o opodatkowanie pracodawców po to, by poprzez pomoc socjalną państwa zmniejszać nierówności społeczno-ekonomiczne. Dążenie to charakteryzowało krytyków kapitalizmu nastawionych reformistycznie. W opozycji do partii komunistycznych nie parli oni do rewolucji. Miało to przynieść warunkową akceptację własności prywatnej i ogólniej – kapitalizmu. Sprzyjało budowie sojuszy z przeciwnikami politycznymi.
- W modelu socjalliberalnym, czy to ekonomicznym J.M. Keynesa, czy filozoficznym J. Rawlsa, socjalna interwencja państwa w postaci zarządzania popytem to albo niezbędny mechanizm naprawiania cyklu – koniunktury ekonomicznej, albo zapewnienie ludziom minimum życiowego.

Jakkolwiek ocenimy działania instytucji – pracodawców, państwa, organów władzy lokalnej – to każdy człowiek osobiście podejmuje decyzje o tym, jak oceniać pracę i życie, swoją i osób mu najbliższych, mając pewne wyobrażenie o pożądanym porządku społecznym. Już starożytni Grecy uważali pracę za coś, czym powinni

się zajmować tylko niewolnicy. Podobnie Rzymianie uważali, że praca jest poniżej ich godności. To się zmieniło w czasach nowożytnych. Praca to obowiązek – uważa się dziś powszechnie. Obecnie mniej niż 70% Amerykanów uważa, że chcieliby pracować nawet wtedy, gdyby mieli wystarczające pieniądze, by tego nie robić. Kiedyś ten odsetek był wyższy (Fineman, 2012).

W etyce protestantyzmu, co było przedmiotem analizy Webera w książce *Etyka protestantyzmu a duch kapitalizmu*, obowiązuje, w ślad za św. Pawłem, zasada: „Kto nie pracuje, ten nie je”. Stosunek do pracy jest częścią moralności, duchowości człowieka. Dlatego w ocenie pracy i życia wykorzystuje się zasady sprawiedliwości społecznej. Najczęściej chodzi o trzy zasady: równości szans, równości warunków życia i merytokracji. W ostatnich latach umacnia się też idea uniwersalnej płacy, czy też przychodu obywatelskiego. Na razie są to eksperymenty, bo koszty wprowadzenia w życie tej idei są bardzo wysokie.

Zadaniem moim jest skrótowe przedstawienie kilku kluczowych faktów dotyczących relacji praca–życie w kontekście 30 lat transformacji ustrojowej w Polsce. Uwzględniłam rozmaite konteksty: wewnątrzpolskie, UE, globalne. Dokonuję też kilku wypadków w czasie sprzed 1989 roku, gdyż kapitalizm zmienia cenę pracy i życia w stosunku do czasów socjalizmu państwowego (komunizmu).

Praca i życie w kontekstach: wypowiedzi eksperckie

Wraz z postępem technologicznym i neoliberalnymi programami ekonomicznymi od kilku dziesiątków lat na czoło wyzwań w sferze pracy wysunęło się samo posiadanie pracy. Jest to stare wyzwanie, jakie przyniosła rewolucja przemysłowa, bo pamiętamy luddystów w Wielkiej Brytanii jako jej pierwsze głośne ofiary na początku XIX wieku. Problem nie zniknął. Przybierał czasami wymiary kryzysowe, a potem znowu zniknął i ponownie się pojawiał, okraszany wypowiedziami katastroficznymi.

W latach 90. XX wieku wiele pisano o rosnącej niepewności w świecie pracy (Morawski, 2010, s. 374–387). Niedawno ukazała się monografia dedykowana Juliuszowi Gardawskiemu pod znamienym tytułem *Świat (bez) pracy. Od fordyzmu do czwartej rewolucji przemysłowej*. Celnie wprowadzono w tytuł ów nawias, bo obecnie, podobnie jak przez ostatnie 200 lat, jedne miejsca pracy znikają, ale pojawiają się nowe, często nawet bardziej interesujące. Oczywiście wiele prac prostych, a nawet brudnych, jest zawsze wszędzie do zagospodarowania. Tematem dnia jest robotyzacja, podejmowana często w tonie alarmistycznym, co ma znaczyć, że to zjawisko będzie sprzyjać zwiększeniu bezrobocia. Wcale tak być nie musi. Robotyzacja zwiększa zapotrzebowanie na siłę roboczą, tyle że inną niż dotąd.

Wyzwania w sferze zatrudnienia wiążą się z wieloma czynnikami, co sprawia, że cała sfera pracy jest wielkim wyzwaniem. Nikt nie wie dobrze, jak sobie poradzić z tym wyzwaniem. Jak nie z pracą dla młodych, to z wykorzystaniem ludzi starych, bo i na to czas przyszedł. Jak nie z pracą dla osób z niskimi kwalifikacjami, to z brakiem kadr o wysokich kwalifikacjach w wybranych specjalnościach, np. medycznych. Co jakiś czas „wyskakuje” nowa potrzeba i zaczyna się szukanie rozwiązań.

W USA problem zatrudnienia wydaje się aktualnie rozwiązany, ale nie jest. Rynki pracy nie są bezpieczne, gdyż całe sektory gospodarki funkcjonują w niepewności. Mimo że bezrobocie jest wyjątkowo niskie, a właściwie obecnie go nie ma, klasa średnia, główny czynnik społeczny w harmonizacji stosunków społecznych i politycznych, przestała być pewna swojej przyszłości i jest w rozsypce, gotowa oddawać swoje głosy wyborcze na takiego czy innego demagoga. Przymiotnik *precarious* i rzeczownik „prekariat” odmieniane są przez wszystkie przypadki. O wiele częściej w Europie. Źródeł obaw jest tak wiele, że cokolwiek powie się negatywnego o sferze pracy, bez trudności da się znaleźć potwierdzenie empiryczne. Zadaję w tej sytuacji pytania proste i będę szukał odpowiedzi prostych, jeśli takowe znajdę!

Pytanie pierwsze: czy polska gospodarka ma problem z bezrobociem, które przez długie lata było uważane za zbyt wysokie? Otóż bezrobocie od kilku lat nie jest już poważnym zagrożeniem, co więcej – zapotrzebowanie na siłę roboczą jest większe niż jej podaż.

Maciej Witucki, prezydent Federacji Lewiatan, mówi: „Od ręki firmy przyjęłyby aż milion osób [...] Najbardziej brakuje osób do prostych prac, których ludzie z dyplomami wykonywać nie chcą. To główny powód emigracji. Bo jeśli młodzi muszą już rezygnować z ambicji zawodowych, to wolą to robić za większe pieniądze za granicą. [...] My również nie poradzimy sobie bez imigracji. W 2017 roku już ponad 1,8 mln przedsiębiorców chciało zatrudnić obcokrajowców [...]” (Ani folwarku, ani Mordoru..., 2019, s. 41–42). Informacja dodatkowa: nasze zarobki są mniej więcej trzykrotnie niższe niż średnia w UE, ale wiele rzeczy jest u nas tańszych niż na Zachodzie. Jest tak mimo tego, że w ostatnich latach mamy wzrost wynagrodzeń minimalnych i średnich.

Druga kwestia: jakość pracy a poziom rozwoju całej gospodarki. Ludzie wybierają często emigrację dlatego, że na emigracji znajdują lepsze miejsca pracy. Najczęściej, nie zawsze. Po 1989 roku z Polski wyjechało na Zachód co najmniej 2,5 miliona osób. Sprzyjała temu przynależność do UE od 2004 roku. Przyczyn migracji szukać należy nie tylko w chęci wyższych zarobków, lecz także w kontekście sfery samej produkcji, zwłaszcza innowacyjności. Znowu oddam głos Maciejowi Wituckiemu: „W naszych fabrykach wciąż najbardziej liczy się taśma montażowa ze stosunkowo nisko wykwalifikowaną załogą [...] Działy B+R (badania i rozwój) są rzadkością, a to w nich są najlepsze miejsca pracy [...] Dziś wbrew szczytnym politycznym deklaracjom wciąż

brakuje wsparcia dla innowacyjności, której powinny się uczyć nasze dzieci praktycznie od kołyski” (Witucki, 2019, s. 42).

W Polsce jest coraz więcej wykształconych ludzi, którzy chcą pracować w Polsce, ale w miejscach pracy wyższej jakości. Zdaniem Hermanna Simona, teoretyka zarządzania z Uniwersytetu w Moguncji, takich miejsc pracy jest w Polsce stosunkowo mało, a większych szans na szybką zmianę raczej nie widzi, niemniej optymistycznie dodaje: „Polska powinna stawiać na rozwój małych i średnich firm, mocno wyspecjalizowanych firm, które mogą mieć wiodącą pozycję w swoich niszach. To się zresztą dzieje. W Polsce nie brakuje przecież np. firm informatycznych, które odnoszą ogromne sukcesy” (Simon, 2018, s. A8).

Na ile opinia powyższa jest pochodną faktu, że Polska jest krajem średniej wielkości, np. pod względem PKB zajmuje miejsca między 22. a 25. w świecie, w zależności od rankingu? Otóż nie, bo są kraje mniejsze niż nasz, a ich wkład w innowacje gospodarcze jest dużo wyższy (np. Izrael). Nasze miejsce może się poprawić, jeśli będziemy umieli to zrobić. Świat jest otwarty; pytanie, czy potrafimy z tego korzystać. Czy nie jesteśmy ciągle zbyt zamknięci? Społecznie nic na to nie wskazuje, o czym świadczą dobre oceny pracy Polaków poza granicami kraju i ich na ogół zadowolenie z decyzji o wyjeździe!

W tymże samym wywiadzie Simon przypomina zdanie Arystotelesa, że „wartość produktu nie bierze

„Przez wiele lat w Polsce dominowało przekonanie o konieczności utrzymania płac w ryzach, bo to przyciągało kapitał zagraniczny. Mówiąc wprost: bieda miała być naszym atutem. W 1997 roku pensje stanowiły 35,3 proc. polskiego PKB. 10 lat później ich udział spadł do 31 proc., a np. w Wielkiej Brytanii wynosił wówczas 42 procent. Jednocześnie kolejne ekipy rządzące, które z naszych zasobów demograficznych uczyniły niemal towar eksportowy, nie robiły nic, by zahamować spadek przyrostu naturalnego”. Sytuacja się ostatnio zmienia, ale czy wystarczająco – takie pytanie nie znika, jeśli dokonuje się porównań wynagrodzeń w Polsce z innymi krajami.

się z jego własności, ale z jego użycia”. Opinia ta daje pole do popisu dla promotorów ekonomii współdziałania. Wyjaśnia dalej: „W kategoriach narodowych dzisiaj mogą myśleć tylko politycy, którzy kompletnie nie rozumieją globalizacji. W Chinach, w jednym mieście, w Taishanie, działa dziś 300 niemieckich firm. Ponad 50 z nich to liderzy swoich rynków” (Simon, 2018, s. A8). Nawet posiadanie wielkiego działu B+R, jak w Nokii, wcale nie gwarantuje niezniszczalności firmy. Dlatego pojawiły się chińskie giganty Tencent i Alibaba.

Pytanie trzecie: wysokość płac w Polsce wynika w części z pozycji naszej gospodarki. Jesteśmy półperyferyjną gospodarką, w której grać można tanią siłą roboczą, co obserwujemy także w polityce wielu krajów. Oddam głos ekonomistce z Akademii Leona Koźmińskiego Hannie Kuzińskiej: „Przez wiele lat w Polsce dominowało przekonanie o konieczności utrzymania płac w ryzach, bo to przyciągało kapitał zagraniczny. Mówiąc wprost: bieda miała być naszym atutem. W roku 1997 pensje stanowiły 35,3 proc. polskiego PKB. 10 lat później ich udział spadł do 31 proc., a np. w Wielkiej Brytanii wynosił wówczas 42 procent. Jednocześnie kolejne ekipy rządzące, które z naszych zasobów demograficznych uczyniły niemal towar eksportowy, nie robiły nic, by zahamować spadek przyrostu naturalnego” (Kuzińska, 2019, s. 26). Sytuacja się ostatnio zmienia, ale czy wystarczająco – takie pytanie nie znika, jeśli dokonuje się porównań wynagrodzeń w Polsce z innymi krajami. Wystarczy popatrzeć, jak rosną oczeki-

wania imigrantów z Ukrainy wobec naszych pracodawców. Rodzą się obawy, że udadzą się tam, gdzie im więcej zapłacą!

Pytanie czwarte dotyczy siły nabywczej Polaka: jaka ona jest na tle innych krajów? Z badania Instytutu GfK wynika, że zbyt wysokie dysproporcje w zamożności przynoszą wiele negatywnych efektów. Siła nabywcza Polaka wynosi 7228 euro, co daje nam 29. miejsce wśród 42 krajów Europy. Ale zróżnicowanie w ramach Polski, czy nawet w samej Warszawie, jest duże. „Mieszkańcy Warszawy mogą cieszyć się większą siłą nabywczą niż przeciętny Polak. Wynosi ona 182,7 procent. Pasuje to stolicę bardzo blisko europejskiej średniej [...] przeciętna długość życia mieszkańca bogatego Wilanowa była o 10 lat dłuższa niż jego kolegi z ubogiej Pragi Północ. I tak przeciętna długość życia kobiety w Wilanowie wynosi 89 lat, mężczyzny – 81. Na Pradze jest to 79 i 71 lat” (Orzechowski, 2019, s. 12).

Na temat nierówności społecznych jest wiele wypowiedzi lokujących Polskę w środku skali wśród państw UE. Ekonomista z Wydziału Nauk Ekonomicznych UW koryguje te wyliczenia: „Realny wskaźnik Giniego jest u nas dużo wyższy (niż 30,6 z 2015 roku – WM). Wynosi trochę mniej niż w Rosji, ale trochę więcej niż w Grecji. Z kolei znacznie niższe nierówności niż w Polsce są w krajach Europy Północnej [...] U nas status społeczny i majątkowy mocno zależy od wykształcenia. Szanse, że dzieci osób z wyższym wykształceniem będą mieć wyższe, wynosi prawie 70 proc., a u rodziców z niż-

szym wykształceniem 7 proc.[...] Jeśli ktoś miał wykształconego ojca w Polsce, to zarabia o 60 proc. więcej od osoby, która miała niewykształconego” (Michał Brzeziński, *Bogacze nie chcą...*, 2018, s. 8).

Pytanie piąte: jakie miejsce zajmuje dobra praca w sukcesie życiowym Polaka? Dysponujemy znanymi badaniami panelowymi POLPAN, przeprowadzonymi w latach 1988, 1993, 1998, 2003, 2008 i 2013. Kazimierz M. Słomczyński i Krystyna Janicka tak podsumowują swoje badania: „Analiza wewnętrznej struktury badanych przekonań ujawnia dwa wymiary myślenia o szansach osiągnięcia sukcesu: (1) wymiar merytokracji uwzględniający osobiste nakłady jednostki, jej cechy wrodzone lub osiągnięte oraz (2) wymiar rodzinno-towarzyski, odwołujący się do atutów wynikających z cech przypisanych, wzbogaconych o sieć interakcji oraz czynnik losowy (szczęście) [...] W przypadku ambicji i ciężkiej pracy nastąpił wzrost ładunków czynnikowych w ostatniej dekadzie, 2003–2013. Monotoniczny wzrost wykształcenia w czynniku merytokracji następował w okresie 1988–2008; w 2013 nastąpił spadek. W okresie 2008–2013, w wymiarze rodzinno-towarzyskim wzrosła rola pochodzenia z bogatej rodziny, znajomości właściwych ludzi i wpływu politycznego” (Słomczyński i Janicka, 2016, s. 555, 556).

Zaskakują mnie trzy wyniki. Pierwszy, że ostatnio nastąpił spadek znaczenia wykształcenia, co odnotowuje się także w innych badaniach. To pośredni dowód, że wykształcenie przestaje być wysoce opłacalne lub cenne

Wynik, który uważam nie tyle za zaskakujący, ile zasmucający, to brak jakichkolwiek zmian w ciągle wysokim znaczeniu czynnika politycznego w odniesieniu sukcesu życiowego. Nic się nie zmieniło w stosunku do czasów sprzed 1989 roku. Polityzacja czy wprost upartyjnienie naszego życia społecznego trwa. Jest to ciąg dalszy praktyk znanych z komunizmu. Ma to zapewne głębsze podłoże, którego treścią była tzw. wyuczona zaradność życiowa w warunkach takiej czy innej niewoli.

ze względów prestiżowych. Wcześniej przez długie lata po 1989 roku znaczenie wykształcenia szybko rosło. Dużo więcej młodzieży niż wcześniej znalazło się na studiach, często płatnych.

Drugi wynik, który uważam nie tyle za zaskakujący, ile zasmucający, to brak jakichkolwiek zmian w ciągle wysokim znaczeniu czynnika politycznego w odniesieniu sukcesu życiowego. Nic się nie zmieniło w stosunku do czasów sprzed 1989 roku. Jako „bardzo ważną” cechę-kryterium osiągnięcia powodzenia w życiu wg opinii dorosłej ludności deklarowało „wpływ polityczny”: w 1988 – 25,7%, w 1993 – 28,1%, w 1998 – 26,4%, w 2003 – 29,6%, w 2008 – 27,4%, w 2013 – 25,7% (Słomczyński i Janicka, 2016, s. 562–564). Polityzacja czy wprost upartyjnienie naszego życia społecznego trwa. Jest to ciąg dalszy praktyk znanych z komunizmu. Ma to zapewne głębsze podłoże, którego treścią była tzw. wyuczona zaradność życiowa w warunkach takiej czy innej niewoli.

Trzeci – to szczęście, które podaje w 2013 roku jako bardzo ważną cechę-kryterium sukcesu aż 73,4% Polaków, a wcześniej ten odsetek był niewiele mniejszy. Ja osobiście przez wiele lat swojego życia nie ceniłem tego czynnika tak wysoko, choć znałem bardzo wysokie zdanie o nim Napoleona Bonaparte, ale im dłużej żyję, tym częściej konstatuje, że może to być czynnik ważny.

Pytanie szóste: jak się ma funkcjonowanie rynków pracy do krytyki neoliberalnej gospodarki? Wyraża się ona w myśli, że w ramach tej filozofii i praktyki „krajowe

gospodarki miały służyć gospodarce światowej zamiast odwrotnie” – pisze Dani Rodrik z Harvardu, który już w latach 90. XX wieku ostrzegał, że „globalizacja poszła za daleko”. Przykład amerykański: „Wiele społeczności w USA, zależnych od przemysłu przetwórczego, obserwowało, jak ich stanowiska pracy odpływały do Chin i Meksyku, co przynosiło poważne konsekwencje ekonomiczne i społeczne, poczynając od bezrobocia, a na uzależnieniach od narkotyków kończąc [...] A politycy nie mieli żadnych bodźców, aby pomagać ludziom finansowo lub ich upewniać, że będą nadal dobrze pracować” (Rodrik, 2019, s. 26, 30).

Wbrew oczekiwaniom wnioski Rodrika nie są przeciwko globalizacji, ale odwrotnie: za większą elastycznością m.in. na globalnych rynkach pracy. Jak pisał kiedyś: globalizacja – tak, ale ważne jest, jaka: „Kraje powinny się nastawić na ułatwienia większej ruchliwości ludzi pracy, np. w zakresie swobodnego przekraczania granic, wszędzie tam, gdzie te bariery są większe. Co więcej, rynki pracy są tym obszarem, który najsilniej przemawia ekonomicznie za pogłębieniem globalizacji, a programy wizowe dla pracy tymczasowej, zwłaszcza dla ludzi niskich kwalifikacji, powinny być popierane w dojrzałych gospodarkach [...] Choć obecnie ta myśl może nie być politycznie chodliwa w USA i zachodniej Europie” (Rodrik, 2019, s. 32).

Sprawiedliwość społeczna: wyniki badań empirycznych

W latach 80.–90. dużo czasu poświęciłem badaniom empirycznym nad sprawiedliwością społeczną, jednym z najbardziej skomplikowanych zjawisk społecznych, bo dotyczących ustalania reguł, które rządzić powinny w relacjach między ludźmi. Stanowią one podstawę takiego czy innego porządku społecznego. Pomijam to, że wielu konserwatystów (np. ekonomista, noblista Friedrich A. von Hayek) uważa podejmowanie takich kwestii za rodzaj atawizmu, którym nie warto się zajmować. Relacje z badań empirycznych, realizowanych wspólnie z Bogdanem Cichomskim w Instytucie Socjologii UW, czytelnik znajdzie w kilku publikacjach (np. Morawski, 2015). Tutaj ograniczę się do zawartych w tej publikacji głównych ustaleń:

Pierwsze: Polacy powszechnie odrzucają socjalistyczne zasady skrajnego egalitaryzmu, wyrażanego zasadą, aby „wszystkim dawać równo”. W 2012 roku 22,5% badanych popierało taką zasadę, co, dodam, nie odbiega specjalnie od wysokości poparcia dla tej zasady w krajach zachodnich (USA: 19,2% w 1991 roku; w Holandii – 18,3% w 1991) (Alwin i in., 1955, s. 125). Nasi badani wskazują też, że w ustalaniu zarobków tę zasadę stosuje się jednak praktycznie w Polsce rzadko: w 2012 roku twierdziło „tak” tylko 3,2% badanych, a „czasem tak, czasem nie” – 9,7% badanych. Na pytanie o opinie o „rzeczywistym zaspokajaniu potrzeb ludzi w Polsce”

pozytywnie odpowiedziało („zgadzam się, raczej się zgadzam”) w 1991 roku – 7,8%, w 1997 roku – 5,6%, w 2012 roku – 8,3%. To jest tzw. zasada potrzeb podstawowych czy minimum życiowego, określana często jako ważny element w programach partii socjaldemokratycznych.

Drugie: zasada formalnej równości szans życiowych jest realizowana w Polsce na poziomie dwa-trzy razy niższym niż na Zachodzie. Że jest realizowana, ale słabo, uważało 24,7% Polaków w 1991 roku, 20,3% w 1997 roku, 23,8% w 2012 roku. Wśród Amerykanów w 1991 odsetek odpowiedzi pozytywnych wyniósł 66,2%. Wynik w Polsce jest przygnębiający, bo świadczy o tym, że funkcjonują liczne bariery utrudniające ludziom wejście do systemu, np. zatrudnienie w takiej czy innej firmie produkcyjno-ekonomicznej, czy inaczej – wejście, start życiowy. Jest to zasada-fundament kapitalizmu wolno-rynkowego, liberalnej demokracji i społeczeństwa obywatelskiego, wyznawana tak przez konserwatystów, jak liberałów i radykałów. Tylko niektórym z nich ona wystarcza, np. libertarianom.

Trzecie: poziom realizacji zasad merytokracji jest w Polsce niski, daleko niższy niż na Zachodzie. Chodzi o proste zasady „wypłacania” ludziom przez system „proporcjonalnie” do ich „wkładu”, gdy znajdują się już wewnątrz systemu. Jest oczekiwanie, że „output” będzie proporcjonalny do „input”, rozumianego najróżniej. Na przykład, Polacy na pytanie, czy są „właściwie nagradzani za swój wysiłek”, „za inteligencję i umiejętności”,

odpowiadali pozytywnie: w 1991 roku – 16,2% i 17,0%, w 1997 roku – 19,5% i 25,4%, w 2012 roku – 7,9% i 16,6%. Na Zachodzie te odsetki mieszczą się w przedziale 48,1–75,2%.

Uderzają złe oceny „wypłat” za „wkłady” w Polsce. Zasady merytokracji są zasadami założonych nierówności, choć równości w ramach stosowanej zasady. Ludzie je na ogół aprobuja, choć prowadzą one do nierówności na tle ich własnego wysiłku, umiejętności, talentu, wykształcenia, pozycji w hierarchii. Uważają jednak, że należy je respektować, choć powiększają nierówności. Jeśli takiego typu „oczekiwane niesprawiedliwości” dokładają się do złych ocen braku oczekiwanych równości szans życiowych, a są to zasady całkiem odwrotne do siebie, bo chodzi o równość w możliwościach wejścia do systemu bez względu na kolor skóry, religii, czy płci, to całościowy ogląd wybranych zasad sprawiedliwości w świadomości Polaków wypada przygnębiająco.

Zapewne sytuacja się nieco ostatnio poprawiła, ale nie dysponuję odpowiednimi badaniami, aby to potwierdzić. Badania nad sprawiedliwością społeczną należą do wyjątkowo rzadko prowadzonych w Polsce (Domański, 2013). Nadto, merytokracja, wbrew tonacji, jaką tu wprowadziłem, też budzi wątpliwości, a nawet poważną krytykę, bo sprzyja pojawieniu się kolejnych nierówności, wyrządza też inne szkody: rozbija klasy średnie i pożera elity. Temu poświęcona jest książka Daniela Markovitsa (2019).

Uwagi o pracy i życiu w czasach niepewności

„Sytuacja ludzkości przypomina raczej sytuację robotnika dniówkowego, który musi się troszczyć o przeżycie dnia dzisiejszego”

– Leszek Kołakowski (1999, s. 416)

„Mam ogromny szacunek dla pracy. Praca jest najuczciwszym stosunkiem do rzeczywistości. Praca pojęta jako próba opowiedzenia rzeczywistości, nazywania, uporządkowania, wystąpienia przeciwko entropii świata [...] Równie dobrze praca budowlańca albo ogrodnika”

– Olga Tokarczuk (2019, s. 5)

Przedstawiłem ustalenia badaczy z życia świata pracy, a raczej z tego, co się dzieje na styku pracy i życia: ekonomiczne, społeczne, polityczne. Staram się być powściągliwy, aby się nie przyłączyć do skrajności w ocenie sytuacji wczoraj, dziś i tego, co będzie jutro. Takie skrajne oceny pojawiają się bez przerwy w badanym polu, a ze szczególną intensywnością od przeszło 200 lat, tj. od rewolucji przemysłowej, która gwałtownie przyspieszyła zmiany w sferze pracy i życia. Obecnie weszliśmy w czas tzw. czwartej rewolucji przemysłowej (Schwab, 2018).

Nowe wyzwania nie wyeliminowały pytań o pracę jako wartość, choć dla wielu ludzi to konsumpcja wy-

sunęła się przed pracę jako wartość główna. Czyżby ci, jak cytowana Olga Tokarczuk, czy wiele lat wcześniej wypowiadający się podobnie Leszek Kołakowski, należeli do mniejszości, zwanej tradycjonalistami, którzy nie rozumieją świata ich otaczającego? Nie sądzę, aby tak było! Nie sądzę, aby postmoderniści i inni bałwochwalcy konsumpcji mieli rację. Zresztą sama konsumpcja to zjawisko złożone i oddzielenie jej od pracy nie jest często możliwe. Może być wartościowana pozytywnie (Trentmann, 2017; zob. także: Morawski, 2018, s. 261–268).

Przeciwstawiać konsumpcję pracy, czy stawiać wyżej niż pracę – to powinno nasuwać wątpliwości. Te sfery należy postrzegać raczej jako twórczo dopełniające się, o co może być trudno w czasach natarczywej reklamy.

Nie do zakwestionowania jest jedno. Praca ma niejedno imię. Kiedy się dowiadujemy, jak różni są *millennials* od *baby boomers* (urodzeni 1940–1950) czy innych pokoleń, to nie mówimy nic nowego poza tym, że zmiany zachodzą coraz szybciej. Zmienność relacji praca–życie uznać trzeba za jedno z najbardziej charakterystycznych zjawisk naszych czasów. Z pewnym opóźnieniem, ale nieubłaganie docierają te problemy do nas, nad Wisłę i Odrę. Wśród zmienności wyróżniłbym wielość typów pracy, a zatem i życia. Dawne podziały na pracę niskokwalifikowaną, np. na taśmie produkcyjnej, średnio i wysokokwalifikowaną, stają się mało mówiące. Zanika też kariera rozumiana linearnie (zajmowanie kolejnych stanowisk). Ludzie często zmieniają

Nie ma żadnej „żelaznej klatki”, w której wszystko da się uregulować. Relacja praca–życie to nieustanny proces negocjacji, renegocjacji, w których postulatami racjonalności i użyteczności towarzyszą emocje i zmiany kulturowe. Zawsze tak było. Rozum i emocje w zgodnym tandemie to kierunek myślenia wart poparcia.

pracę, często muszą ją zmieniać, często chcą ją zmieniać. Kariera nie może mieć dawnych ram czy granic (Fineman, 2012).

Szeroko pojawiła się praca powiązana z wiedzą i techniką. Akcentowano to mocno w miarę, jak przyrastało publikacji o rewolucji naukowo-technicznej w latach 60.–70. ubiegłego wieku. Nie jest to nic nowego, bo mamy całe potoki rewolucji. Obecnie modna jest rewolucja AI, ale niedługo i ona się ludziom znudzi. Zauważa się z coraz mniejszym niepokojem, że może ona sprzyjać zatrudnianiu ludzi, ale innych. Wśród pracowników, którzy realizują te rewolucje, są kategorie tak od siebie odległe, że trudno je nawet porównywać: inżynierowie IT, menedżerowie, których typów nikt już nie zliczy, lekarze-naukowcy, trenerzy sportu i nie tylko, ludzie opiekujący się seniorami.

Relacje mężczyźni–kobiety w pracy to kolejna tematyka, która się nigdy nie wyczerpie, bo kobiety tak czy inaczej, ale są nadal gorzej traktowane niż mężczyźni. Podnosi to czasem emocje w środowisku pracy. Kobiety realizują swoje rewolucje, choć na ogół bez posługiwania się słowem rewolucja. Osobiście uważam umiarkowany feminizm za ruch zdrowy, pożądany, godzien poparcia.

Nie ma żadnej „żelaznej klatki”, w której wszystko da się uregulować. Relacja praca–życie to nieustanny proces negocjacji, renegocjacji, w których postulat racjonalności i użyteczności towarzyszą emocje i zmiany kulturowe. Zawsze tak było. Rozum i emocje w zgodnym tandemie to kierunek myślenia wart poparcia.

Dla socjologa szczególnie niebezpieczny jest – stwierdzam – rozpad klasy średniej, jaki obserwujemy od co najmniej 30–40 lat (Collins, 2013, s. 37–69). Liczna klasa średnia promuje umiar, jak zauważył to dawno temu grecki filozof Arystoteles. Gdy ona się rozpada, to jeszcze więcej będzie zmienności bez sensu. Zmienność – cenna rzecz, o ile nie jest jej za wiele. Gdy służy wzbogaceniu nas o wiedzę o światach wokoło, jest bezcenna.

Bibliografia

- Alwin, D.F. i in. (1995). *Comparative Referential Structures*. W: J.R. Kluegel i in., *Social Justice and Political Change. Public Opinion in Capitalist and Post-Communist States*. New York: Aldine de Gruyter.
- Ani folwarku, ani Mordoru, Maciej Witucki, rozmowa Joanny Solskiej (2019). *Polityka*, 28.08–3.09.2019.
- Clark, G. (2014). *Pożegnanie z jałmużną*. Poznań: Zysk i S-ka.
- Czarzasty, J. i Kliszko, Cz. (2018). *Świat (bez) pracy. Od fordyzmu do czwartej rewolucji przemysłowej*. Warszawa: Oficyna Wydawnicza SGH.
- Domański, H. (2013). *Sprawiedliwe nierówności zarobków w odczuciu społecznym*. Warszawa: Wydawnictwo Naukowe Scholar.
- Fineman, S. (2012). *Work*. Oxford: Oxford University Press.
- Kołakowski, L. (1999). *Moje słuszne poglądy na wszystko*. Kraków: Znak.
- Kuzińska, H. (2019). Państwo w wersji premium, rozmowa Marka Rabija. *Przegląd*, 14 lipca.
- Markovits, D. (2019). *The Meritocracy Trap: How America's Foundational Myth Feeds Inequality, Dismantles the Middle Class, and Devours the Elite*. Penquin Books.

- Michał Brzeziński, Bogacze nie chcą się chwalić, rozmowa Piotra Miączyńskiego i Leszka Kostrzewskiego (2018). *Gazeta Wyborcza. Duży Format*, 22 października.
- Morawski, W. (2010). *Konfiguracje globalne*. Warszawa: Wydawnictwo Naukowe PWN.
- Morawski, W. (2015). Usprawiedliwione oczekiwania: Polacy o zasadach sprawiedliwości społecznej i ustalania zarobków. W: K. Zagórski i in., *Postawy ekonomiczne w czasach niepewności. Ekonomiczna wyobraźnia Polaków 2012–2014*. Warszawa: Wydawnictwo Naukowe Scholar.
- Morawski, W. (2018). Konsumpcja. W: *Socjologia ekonomiczna. Przewodnik pod red. Witolda Morawskiego*. Warszawa: Wydawnictwo Naukowe PWN.
- Olga Tokarczuk. Robię porządki, Rozmowa Michała Cichego i Włodzimierza Nowaka (2019). *Gazeta Wyborcza*, 12 października.
- Orzechowski, H. (2019). Polska nierównościami stoi. *Gazeta Wyborcza*, 22 stycznia.
- Randall, C. (2013). The End of Middle Class Work: No More Escapes. W: I. Wallerstein, R. Collins, M. Mann, G. Derlu-guan i C. Calhoun (red.), *Does Capitalism Have A Future?* Oxford University Press.
- Rodrik, D. (2019). Globalization's Wrong Turn and How It Hurts America. *Foreign Affairs*, July–August.
- Schwab, K. (2018). *Czwarta rewolucja przemysłowa*. Warszawa: Wydawnictwo Studio EMKA.
- Simon, H. (2018). Niezniszczalne firmy nie istnieją, rozmowa Grzegorza Siemionczyka. *Rzeczpospolita*, 8 września.
- Słomczyński, K.M. i Janicka, K. (2016). Sukces po polsku: co ludzie myślą o szansach powodzenia w życiu? W: W. Mo-rawski (red.), *Wobec wyzwań jutra*. Warszawa: Wolters Kluwer Polska.
- Trentmann, F. (2017). *Empire of Things. How We Became a World of Consumers from the 15th century to the 21st*. Penguin Books.



[7]

Tożsamości i różnice:
uwikłania polityczne,
społeczne, kulturowe

Barbara Skarga uznaje kwestie tożsamości i różnicy za bardzo ważne. Uważa wszak, że uwikłania społeczno-kulturowe, np. w naród, w grupę, w taką czy inną cywilizację: „gubią właściwy im sens, a może nawet świadomie od niego abstrahują”. Sama koncentruje uwagę na metafizycznych wymiarach, pozostawiając nam jednak jasny przekaz. Ostrzegając, że bez poczucia tożsamości znaleźlibyśmy się wobec „świata chaosu, pojawiających się bezsensownych rzeczy i wydarzeń, zmienności absolutnej”, widzi również mocno zagrożenia, jakie przynosi „imperializm” Tego-Samego (Skarga, 1997, s. 5, 12, 14). Zajmę się tymi niefilozoficznymi uwikłaniami społeczno-kulturowymi, ponieważ angażują one mocno nie tylko pojedynczych ludzi, lecz także całe społeczeństwa.

Rosnącemu znaczeniu problematyki tożsamości sprzyjają procesy uniwersalizacji i partykularyzacji. Zasypany w przepaści między tymi procesami miała sprzyjać trzecia fala globalizacji. Dzieje się dokładnie odwrotnie. Wszelkie akcenty na umacnianie uniwersalizacji w takiej czy innej postaci (kosmopolityzmu, czy internacjonalizmu) atakowane są gromko jako aberracje liberalizmu, zbyt mocno promującego różnorodność. Z kolei akcenty na umacnianie partykularyzmu znajdują rozwinięcia w postaci prawicowego populizmu,

a nawet nawrotów nacjonalizmu. Skrajności żywią się sobą, dlatego warto przypomnieć, że kwestie tożsamości i różnicy są stare jak świat, ale przypyły i odpłyły fale globalizacji niosą nowe wyzwania dla starych źródeł tożsamości i różnicy, takich zwłaszcza jak naród, religia, płeć, rasa, geografia.

Łatwo jest się zgubić w tej problematyce. Dam przykład: oto Peter Berger, wielki znawca religii, pisze, że „żyć w nowoczesnym społeczeństwie znaczy żyć w centrum kalejdoskopu zmiennych ról” (Berger, 1995, s. 52). Brzmieć to może zgoła jak zachęta postmodernisty, aby „płynne społeczeństwo” uznać za normalne, a tymczasem jest to rzetelna ocena zatroskanego amerykańskiego myśliciela o kształtowaniu się indywidualnej tożsamości w późnej nowoczesności. Wiele nowego dzieje się także w ramach kształtowania tożsamości zbiorowej, którą chciałoby się często widzieć jako byt ustalony, obiektywny, gdy tymczasem podlega ona także zmianom. Pamiętamy słowa naszych wielkich romantyków czy Wyspiańskiego. Polska nie była dla nich tylko duchem, ale też procesem interakcji Polaków, którzy mieli wykuwać nowe pola działania zbiorowego w warunkach ograniczeń, zwanych brakiem niepodległości. Sami wyliczali tych ograniczeń wiele. Bali się, jak rozumiem, że wraz z utraconą suwerennością państwa, duch może być także osłabiony.

Zajmując się społecznymi, politycznymi i kulturowymi wymiarami tożsamości i różnicy w Polsce, uwytklam ewolucję i dynamikę w funkcjonowaniu obu

pojęć. Obszerniej przedstawiłem to w tekście pt. *Identity and Diversity: What Shaped Polish Narratives Under Communism and Capitalism* (Morawski, 2017), z którego kilka tez tutaj powtarzam. Zaczynam od geopolityki, bo inaczej nie da się pisać o Polsce ani przed 1956 rokiem, ani po 1956 roku. Uwagę kieruję także na tożsamości, zwłaszcza robotnicze, które okażą się kluczowe dla delegitymizacji socjalizmu państwowego (komunizmu), a następnie jego upadku. Uwzględniam najnowsze wyzwania tożsamościowe związane głównie z otwarciem Polski na Zachód. Na koniec poświęcę kilka uwag swoistej rekonkwiescencji tożsamości narodowo-katolickiej, wyrażając nadzieję, że nie przybierze ona kształtu pełnej wojny kulturowej. A nasze napięcia i konflikty pełnić mogą funkcje ozdrowieńcze i tak należy na nie patrzeć.

Odwoływać się będę musiał do historii, bez której fundamentów analizy sporów i emocji zawieszono są w próżni. Oto wiersz, który pokazuje nam jak podchodzić do historii:

Historia.

Stój. Nie uciekaj przed nią.

Nie prowokuj jej.

Nie wykonuj

gwałtownych ruchów.

Nie odwracaj się nagle.

Ona nie zrobi ci krzywdy

dopóki

nie odbierzesz jej

miski z jedzeniem (Lipska, 2017, s. 11)

Przed początkiem: czas Totalnej Różnicy

Różnica, podobnie jak tożsamość, jest akceptowana lub odrzucana w różnym stopniu. Różnica, a może lepiej powiedzieć, różnorodność, wkracza w nasze życie odmiennymi drogami. Witamy ją często otwartością swojego portfela i z aprobatą rozumu, np. gdy nabywamy nowy model samochodu czy nowy smartfon, kiedy decydujemy się na wczasy w Grecji, czy gdy podejmujemy pracę w nowej firmie. Bywa, że z nowym oswajamy się z oporem, np. gdy na rynku pracy pojawia się imigrant, który gotów jest podjąć się wykonania pracy za mniejsze wynagrodzenie niż moje. W końcu jednak uznają, że takie są prawa rynku pracy.

Różnica, która dotyczy Polski w okresie 1944–1956, była kompletnie inna, choć pochodziła ze świata dobrze w historii Polski zakotwiczonego. Zasluguje na miano Różnicy Totalnej, a dotyczy tego, że armie ZSRR w marszu na Berlin w okresie 1944–1945, wyzwalaając Polskę spod okupanta niemieckiego, przywiozły na swoich czołgach to, co określa się jako ograniczoną suwerenność, marksizm, wzory kultury wschodniej (te ostatnie nam obce, choć w niejednym bliskie). Byli tacy, ale bardzo w Polsce nieliczni ludzie, którzy dostrzegli w tej sytuacji szansę na realizację oczekiwań, jakie wiązali z brakiem jakiejś polskiej rewolucji, a tym samym zniamię nowoczesności. Olbrzymia większość społeczeństwa widziała to jako narzucanie narodowi siłą nowego typu

porządku społeczno-politycznego, zwanego totalitaryzmem, odległym od naszej kultury politycznej, w której było zapewne miejsce na socjalizm, ale w żadnym razie nie na komunizm.

W takich warunkach dokonała się w Polsce wielka zmiana. Realizowano narzucony z góry, znany tylko w ZSRR, typ podstawowego uprzemysłowienia, które wyciągnęło miliony ludzi ze wsi do przemysłu, do miasta, do szkół. Paradoksalnie, ale stało się to fundamentem dla budowy bardziej inkluzywnego społeczeństwa niż było nim przedwojenne społeczeństwo polskie, na ogół bardzo biedne, mocno społecznie podzielone. Staliśmy się społeczeństwem postchłopskim. Czytać należy to jako znak emancypacji, która była długo hamowana zacofaniem ekonomicznym i społecznym. Okres ten był czasem spóźnionego awansu społecznego dla tych rodzin, które następnie stworzyły największy ruch społeczny w polskiej historii: Wielką Solidarność lat 80. XX wieku, bohaterkę całego świata. Nadto w latach 1948–1956 urodziło się 5 milionów Polaków. Obecnie tylko marzyć o takim wigorze biologicznym społeczeństwa.

Historia zapisuje ten czas, i słusznie, jako czas komunistycznej „dżumy”. Pojęcie to przywołuje Marcin Piątkowski (2019), wskazując, że dżuma ta odegrała podobną funkcję do tej z okresu 1346–1350, która zmuszała do spieniężania siły roboczej, której wtedy brakowało. Demografia stała się przyczyną narodzin kapitalizmu, jak dowodzą historycy gospodarczy (np. North i Thomas, 1973). Totalna różnica narzucała: po pierw-

sze, jak budować państwo partyjne zamiast państwa narodowego; po drugie, jak budować hierarchie planistyczną i zarządzania, a likwidować poziome powiązania rynkowe; po trzecie, jak centralizować systemy podejmowania decyzji, a tym samym unieważniać społeczeństwo obywatelskie; po czwarte, jak narzucać obce wzory kulturowe, a kanony kultury narodowej spychać w cień.

Totalna różnica była rezultatem geopolityki, która podkopywała działanie sił tożsamości. Nie likwidowała ich jednak, bo lokują one człowieka-obywatela w małych i dużych wspólnotach opartych na więziach bliskości życia, pracy, narodu, moralności, religii. Te zasoby wspólnotowe były niszczone w imię takiego nowego świata, wobec którego miało nie być alternatywy. Historia uczyniła utratę suwerenności doświadczeniem narodu, ale to, co próbowano zbudować w okresie 1944–1956 przekraczało dotychczasowe doświadczenia. Była to próba zbudowania systemu totalitarnego i posłusznego mu społeczeństwa.

To się nie udało. Droga do wolności będzie długa, ale system od 1956 roku zaczyna się zmieniać. Pojawiają się siły, które same budować zaczynają praktycznie nowy początek. Miejsce totalitaryzmu zajmuje autorytaryzm, który w różnych formach będzie trwał do 1989 roku. Nowy początek zaczyna się buntem społecznym w Poznaniu i twórczymi inicjatywami robotniczymi jesienią w Warszawie. To, co się działo przed 1956 rokiem, liczy się bardzo w historii naszego społeczeństwa. Wtedy

migrowano wewnątrz kraju, np. zasiedlano Ziemię Zachodnie, pomnażano potencjał demograficzny społeczeństwa, budowano miejsca pracy w ramach odgórnej industrializacji, likwidowano analfabetyzm i rozwijano edukację powszechną. Działały też wówczas oddziały zbrojnego podziemia, liczące czasem na wybuch kolejnej wojny, angażujące się czasem w zastopowanie reformy rolnej, o nastawieniu wybitnie antykomunistycznym (tzw. żołnierze wyklęci).

Rok 1956 jest otwartym wejściem naszego społeczeństwa na scenę polityczną, wejściem, kiedy gilotynować ono zaczyna, powoli, ale uparcie, programy państwa partyjnego. Totalna różnica zaczyna się oddalać. Co prawda, z jednej strony pojawiają się pomysły naprawy systemu, z drugiej zaś – rosną moce jego podważania, a następnie obalania. One wezmą w końcu górę.

1956, 1970, 1980: cykle gniewu społecznego i tożsamości robotnicze

W czerwcu 1956 roku wybuchło powstanie w Poznaniu, którego ofiarami było 70 osób zabitych i 600 rannych. Jesienią tegoż samego roku robotnicy w FSO na Żeraniu w Warszawie powołują pierwszą radę robotniczą pod kierunkiem Lechosława Goździka, członka PZPR. Dochodzi do zmian w kierownictwie PZPR: do władzy wraca narodowy komunista Władysław Gomułka. Prymas kardynał Stefan Wyszyński zostaje zwolniony z od-

osobnienia. Z więzień wypuszczani są ludzie bezprawnie uwięzieni w czasach stalinowskich.

Podjęmowano próby naprawy systemu, zwane „socjalizmem z ludzką twarzą”. Polegały one m.in. na reformowaniu gospodarki w duchu decentralizacji, wciąganiu załóg robotniczych do współzarządzania zakładem pracy, choć pod warunkiem, że sprzyjać to będzie mobilizacji produkcyjno-ekonomicznej. Odstępowano od idei kolektywizacji rolnictwa. Widoczne były próby liberalizacji życia umysłowego w kraju: wprowadzano pewne zmiany w nauczaniu uniwersyteckim, np. przywrócono socjologię. Zelżała nieco cenzura, ułatwiono wyjazdy za granicę. Wszystkie te zmiany umożliwiło kilka okoliczności, a wśród nich: śmierć Stalina, usamodzielnienie się partii chińskiej, podziały wśród komunistów zachodnich, pojawienie się dysydentów i rewizjonistów wśród członków PZPR. Ale reformowanie systemu się nie powiodło, a wybuch gniewu społecznego na Wybrzeżu w grudniu 1970 roku pokazał ludziom, że nadzieję muszą wykuwać ofiarami z samych siebie: zginęły wtedy 44 osoby, 1200 zostały ranne. Socjalizm nie pokazywał „ludzkiej twarzy”, niestety.

Po 1970 roku nowe kierownictwo Partii i państwa zaczęło wierzyć w rozwiązania o proveniencji technokratycznej, a właściwie pseudotechnokratycznej, jako że nowa technokracja nadal podlegać miała hierarchii partyjnej. Przejawiono wszak większą dbałość o konsumpcję, infrastrukturę komunikacyjną, nieco zwiększono otwarcie na Zachód (kredyty inwestycyjne).

Budowano wielkie organizacje gospodarcze – zapamiętajmy to, bo podobne pomysły pojawiają się ponownie obecnie (spółki skarbu państwa, czyli tzw. czempiony). Technokracja partyjno-rządowa nie osiągnęła swoich celów, ale rozbudzała aspiracje, na których zaspokojenie system nie miał ani dobrego pomysłu, ani konsekwencji w działaniu. Instytucje współzarządzania, bliskie sercu załóg, sprowadzono do funkcji rytualnych. KSR jako główna instytucja samorządu załogi mogła dokonywać jedynie kosmetycznych korekt decyzji płynących z góry.

Sierpień 1980 roku to trzeci wielki wybuch gniewu społecznego. Ukształtował się tym samym cykl polityczno-ekonomiczny, nie tyle jako odpowiednik cyklu ekonomicznego, jaki znamy z zachodniego kapitalizmu, bo w Polsce wymiar polityczny okazywał się dużo ważniejszy (niż w reformistycznie nastawionych systemach zachodnich). Bunt objął prawie całą wielkoprzemysłową klasę robotniczą, która zażądała uznania swoich związków zawodowych jako „niezależnych” i „samorządnych”. Porozumienia z władzą z końca sierpnia 1980 roku to gwarantowały. Był to rezultat unikatowy w skali całego obozu komunistycznego, a także przedmiot podziwu całego świata. Do Solidarności zapisało się około 10 milionów ludzi. Nie tylko robotników pracujących w przemyśle, choć oni nadawali ton całości. Był to ton, w którym socjaldemokratyczna wizja świata była spotykana najczęściej. Na przykład, współzarządzanie zakładem pracy widzianym przez załogę jako *de facto* własność grupowa ludzi w nim zatrudnionych.

To jest przykład tożsamości ekonomicznej w wersji socjaldemokratycznej. To był nurt główny, ale cała Solidarność była ruchem wielonurtowym. Rodziły się w niej tożsamości liberalne, konserwatywne, o orientacji chrześcijańskiej i inne. Z pewnością w każdej z nich obecny był pierwiastek niepodległościowy.

Trzy kolejne wydania buntu społecznego sprzyjały umacnianiu się tożsamości robotniczej. Przyjrzyjmy się temu bliżej, bo w tym zjawisku wystąpiły niewątpliwie elementy uniwersalne. Znaleźć można je wszędzie na świecie, gdy mamy do czynienia z pracą wykonywaną wspólnie, ale w Polsce przybrały kształt podziwiany przez niemal cały świat. Wspólna praca rodzi myśl o współpracy, by powstać mogło takie dzieło. T.S. Eliot w utworze napisanym kilka dziesiątków lat wcześniej, pisze o pracy jako miejscu „budowy znaczenia” i jako „kościół dla wszystkich” (Eliot, 2007, s. 184–185). Solidarność była tego podejścia instytucjonalnym rozwinięciem.

Wzorce znaczeń, ich powstawanie i przekazywanie, to nic innego jak definicja kultury. Robotnicy wielkoprzemysłowi tworzyli nową kulturę, osadzoną na fundamentach starej. Nowe w buncie robotników Żerania w 1956 roku wyraziło się w gotowości współzarządzania mieniem państwowym. Chcieli lepszego gospodarowania w Polsce dla Polski, czyli dla siebie, ale i dla wszystkich ludzi pracy. Ten wkład miał być początkowo raczej skromny. Nie był gniew robotników tylko sprzeciwem, był głosem współgospodarza, pozytywnym wkładem

w życie społeczne. Władza tymczasem patrzyła na tę gotowość głównie przez pryzmat mobilizacji produkcyjno-ekonomicznej, czyli bunt chciała instrumentalizować. Jak każda władza. Traktowała oddolną korektę systemu jako rytualną, a z czasem uważała za zbędną. Pozostawiała w rękach swoich ludzi wszelkie ważne decyzje.

Gotowość robotników do współzarządzania poparł JP II w encyklice *Laborem exercens* z jesieni 1981 roku, uznając za część społecznej nauki Kościoła katolickiego. Lekcje tej encykliki zostaną zapomniane przez działaczy związkowej Solidarności, kiedy padnie stary system w 1989 roku. Można było walczyć przynajmniej o te kawałki współzarządzania, które obiecują reguły społecznej gospodarki rynkowej, zapisane w Konstytucji 1997 roku. Nikt o to nie zadbał.

Oczywiście, w buntach robotników polskich, a od 1989 roku – pracobiorców polskich, są znamiona swoje dla polskich warunków, takie między innymi, jak organizacja samoorganizacji w układzie lokalnym, regionalnym, w opozycji do centralizacji życia gospodarczego i politycznego. Program Solidarności miał charakter „populistyczno-socjalistyczny, a nie wolnorynkowy” – ocenia historyk idei Andrzej Walicki. Dla neoliberalą był to program anachroniczny, anarchistyczny. Miał on w sobie faktycznie wiele woluntaryzmu, naiwności, za mało realizmu. Inaczej być nie mogło. Skąd robotnicy ukształtowani w gospodarce socjalizmu państwowego mieliby znać się na realiach gospodarki wolnorynkowej?

Nie parła Solidarność – jako całość – do radykalnej konfrontacji, ale wybierała drogę zmiany stopniowej, a sprzymierzeńca znalazła w osobie prymasa kardynała Stefana Wyszyńskiego, który wzywał do powściągliwości. Mimo to władza wprowadziła stan wojenny, zamykając setki aktywistów w więzieniach. Choć badania opinii społecznej wskazują na społeczne zrozumienie tej decyzji nawet po kilku dziesiątkach lat później, oczywiście ze względu na przekonanie ludzi, że armie ZSRR i sojusznicze mogłyby wesprzeć polską władzę. Tak działa tzw. zasada „mniejszego zła”, jaka upowszechniła się w samym społeczeństwie. Obecne władze ją podważają jako błędną.

Imitować czy odrzucać: nowa geopolityka czy wolny wybór?

Zmiana systemowa w Polsce stała się możliwa dzięki przegranej komunizmu z kapitalizmem, Wschodu z Zachodem. Wydarzenia 1989 roku: Okrągły Stół, wybory 4 czerwca, powołanie pierwszego rządu niekomunistycznego w sierpniu, uchwalenie zasad reformy wolnorynkowej – uruchomiły napływ do Polski różnic nowego typu, ale już nie traktowanych jako narzucone. Były witane z radością, bo noszące stempel Zachodu. Polska, która przez wiele wieków poszerzała swoje władztwo na Wschód, uważała się cały czas za integralną część Zachodu. Ścisłej – po 1989 roku chodziło o odcięcie nie

Instytucje, jakie posiada UE, okazują się źródłem kłopotów dla niej samej. Polskie elity znalazły się w pułapce, bo implementując reguły UE, które okazują się wadliwe, narażają się same na kłopoty. Na szczęście z kryzysu 2007–2008 Polska wyszła obronną ręką w odróżnieniu od prawie wszystkich państw UE (jako tzw. zielona wyspa). Gdy UE, jako całość, zaczęła mówić, że jest w kryzysie, to w Polsce narastało przekonanie, że skoro poradzi-
liśmy sobie najlepiej ze wszystkich, to idźmy nadal swoją drogą, np. nie przyjmujemy euro.

od tego Wschodu, z którego dorobku sporo też czerpałiśmy (Kresy), ale od praktyki komunistycznej implementowanej od 1917 roku.

Po modernizacji komunistycznej przyszedł czas na kapitalistyczną w takim wydaniu, jaki reprezentował Zachód w latach 80.–90. XX wieku. Był to Zachód liberalnej demokracji, neoliberalnych rozwiązań w gospodarce, prądów liberalno-lewicowych w kulturze. Był też inny Zachód, o którym się czasem mówiło, np. Trzeciej Drogi, skandynawskiej, ale więcej w tym było retoryki niż praktycznej treści. Nasza neoficka elita polityczno-gospodarcza nie chciała czerpać inspiracji z Północy, tylko z Zachodu. Podchwytywane chciwie były te inspiracje, które dawały szansę na jakąś pomoc w krótkiej czy dłuższej perspektywie. Nie ma pomocy bez zobowiązań, jakie ona może narzucać. To elementarna zasada geopolityki.

Zmiana ustrojowa, choć miała wiele stron nieprzyjemnych, takich jak ponowne dojście do władzy postkomunistów w 1993 roku, nie wzbudzała zasadniczych obiekcji aż do czasów kryzysu 2007–2008. UE długo nie potrafiła się wydobyć z tego kryzysu, a gdy znalazła się w lepszej kondycji ekonomicznej, zaczęły się nowe kłopoty, najpierw z migracjami, potem z brexitem, z relacjami z USA, z ekologią. Instytucje, jakie posiada UE, okazują się źródłem kłopotów dla niej samej. Polskie elity znalazły się w pułapce, bo implementując reguły UE, które okazują się wadliwe, narażają się same na kłopoty. Na szczęście z kryzysu 2007–2008 Polska wyszła obronna

ręką w odróżnieniu od prawie wszystkich państw UE (jako tzw. zielona wyspa). Gdy UE, jako całość, zaczęła mówić, że jest w kryzysie, to w Polsce narastało przekonanie, że skoro poradziłyśmy sobie najlepiej ze wszystkich, to idźmy nadal swoją drogą, np. nie przyjmujemy euro.

Od 2005 roku władze znajdują coraz więcej argumentów, by porzucić drogę imitacji na rzecz tych rozwiązań, które wyznaczają potrzeby państwa narodowego, a nie wspólnej polityki UE. Podobne wnioski pojawiają się jeszcze silniej zwłaszcza na Węgrzech. O uzasadnienie odrębności jest tym łatwiej, że władze UE znajdują powody, aby krytykować władze w Polsce za naruszanie zasad praworządności, poczynając od zmian w Trybunale Konstytucyjnym czy naruszanie niezależności sądów. Prokuratura jawi się jako przedłużenie władzy wykonawczej. Władze sięgają do uzasadnień natury światopoglądowej, kulturowej, przedstawiając Zachód jako liberalno-lewicowy, czy jako wręcz antychrześcijański, propagujący libertyńskie ideologie, np. LGBT. Władza znajduje wsparcie w Kościele, który sam ma własne nierozwiązane problemy, takie jak pedofilia. Atakowany jest głównie liberalizm, niemal za wszystko: za wielokulturowość, za nadmierną tolerancję, za jałowy proceduralizm prawny. Znajduje wsparcie w administracji Trumpa, która upodobała sobie Polskę nie tyle jako wschodnią flankę NATO, ile realizatorkę interesów amerykańskich w tej części świata, o czym świadczy

rozmieszczenie coraz większej liczby żołnierzy USA w bazach w Polsce.

Rzutuje to na ujmowanie przez ludzi tożsamości i różnicy. Jeśli Zachód nie może stanowić pożądanego wzorca, to odwołać się trzeba do własnych zasobów wspólnotowych, zwłaszcza tradycji narodowo-katolickiej, uproszczonej, bo negocjować, że reprezentujemy osobliwości polskie, czy tzw. drugiej Europy, by odwołać się do sformułowania Czesława Miłosza z przemówienia noblowskiego, byłoby nierealistyczne. Z drugiej strony pojmowanie tożsamości narodowej jako niemal wiecznej czy statycznej, grozi wejściem na ścieżkę nacjonalistyczną. Craig Calhoun dowodzi: „kluczem do dyskursu nacjonalistycznego jest odrzucenie w nim jakiegokolwiek sugestii, że tożsamość jest zasadniczo płynna i zmienia się w zależności od sytuacji. Zakłada się wtedy, że tożsamość narodowa jest takim atutem, który przebija wszystkie inne” (Calhoun, 2007, s. 191). Barbara Skarga nazywa to „imperializmem Tego-Samego”.

Empiryczne pytanie brzmi, czy z taką sytuacją mamy w Polsce do czynienia, gdy przyglądamy się polityce historycznej państwa. Popiera ono inicjatywy mające na celu utrwalenie pewnych tylko znaków z przeszłości z nachalnie widoczną myślą o bezpośredniej przydatności politycznej. Takie oceny w środowisku artystycznym należą do stale spotykanych, w związku z czym to środowisko jest krytykowane przez władze. Władze realizują rekonstrukcje historyczne według swoich oczekiwań, kształtują treści wystaw w muzeach, budują

Jeśli Zachód nie może stanowić pożądanego wzorca, to odwołać się trzeba do własnych zasobów wspólnotowych, zwłaszcza tradycji narodowo-katolickiej, uproszczonej, bo negować, że reprezentujemy osobliwość polską, czy tzw. drugiej Europy, by odwołać się do sformułowania Czesława Miłosza z przemówienia noblowskiego, byłoby nierealistyczne.

pomniki nawet wbrew lokalnym społecznościom, popierają określone filmy, gdy inne zwalczają, podobnie jest ze sztukami teatralnymi czy programami telewizyjnymi. Nagradzani są twórcy bliscy władzy. W gabinetach polityków podejmowane są decyzje, które powinny zapadać z udziałem samych twórców. Władza podejmuje te kroki w imię swojej wizji historii i sztuki i nie ma się na co obrażać, dopóki nie zaczyna niszczyć alternatywnych podejść, przestaje wspierać inicjatywy wybitnych twórców czy społeczności lokalnych, nie dostrzega uznania własnych twórców za granicą.

Niepewność i utrata to dodatkowe przyczyny zmian naszych tożsamości

Maria Poprzęcka pisze: „sztuka długa, życie krótkie, okazja ulotna, doświadczenie niebezpieczne, sąd niełatwy” i dalej: „choć awangardy narzucały progresywny, agresywny i transgresywny obraz twórczości, to właśnie w sztuce XX wieku utrata i niespełnienie stały się jej niezbywalną częścią, niemal wyznaczając osie jej rozwoju” (Poprzęcka, s. 201). Nie przesądzając tego, czy można traktować życie jak sztukę, oraz kiedy i jak to robić, trzeba zgodzić się z autorką, że podobnych zjawisk można się spodziewać w życiu każdego z nas w świecie, w jakim żyjemy. Los artystów nie może chyba zbyt odchodzić od naszego? Mają oni kompetencje większe niż my w wielu sprawach, życie może nawet często

trafniej niż my definiują, ale razem z nimi podlegamy tym samym wyzwaniom niesionym przez technologie, ekonomię, politykę, społeczeństwo i jego kulturę.

Świat nie jest światem harmonii, to jest raczej świat chaosu, niepewności, kryzysów i nieudanych propozycji zarządzania nimi. Nie mamy dobrej odpowiedzi na najprostsze pytania. Przewodnicy, kiedyś ze świata religii, nie są słuchani lub rzadko. Polityków słucha się jeszcze rzadziej, choć mają w rękach instrumenty manipulacji naszymi emocjami. Ludzie zobaczą wcześniej czy później, jak zachłanni bywają politycy, aby władzę utrzymać czy ją zdobyć. Zwykli ludzie zabiegają najpierw o dobra materialne, ale logika ekonomii wprowadza bariery dostępu, jakich przestali się spodziewać, bo nierówności ekonomiczno-społeczne rosną w tempie, jakiego nie było od ponad 100 lat. Nic dziwnego, że nierówności stały się, obok klimatu, tematem głównym spotkania grupy G-7 w Biarritz (Francja).

Ludzie nie poprzestają na dbałości o dobra materialne, choć są one dla większości najważniejsze, ale nawet ta większość myśli też o swojej tożsamości i o tym, jakie różnice mogą/powinni akceptować, czy czynnie walczyć o ich realizację. Wybierają, czy poprzec taki czy inny marsz: na rzecz tolerancji i różnorodności, czy za zachowaniem dotychczasowych postaw. Nie są to łatwe decyzje dla niejednego w Polsce, gdy dowiaduje się, że prawie wszystkie partie konserwatywne na Zachodzie zaakceptowały np. małżeństwa jedнопłciowe czy abor-

cję. W Polsce nie tylko Kościół, lecz także władza uważają te propozycje za groźne.

Mnożą się publikacje na temat tożsamości i różnic. To modna problematyka dowodząca, że także ludzie nauki cenią sobie przywiązanie do pewnych wartości i instytucji, w imię których gotowi są zmieniać swoje widzenie składników tożsamości i różnorodności. Czy są jakieś granice tolerancji, która pozostaje naszym prawem, czy ich nie ma? Słyszymy jakoż o tylu możliwych załamaniach, jakie są doświadczeniem współczesnego człowieka. W tej sytuacji ludzie szukają nowych kotwic tożsamości, a nie znajdując ich, sięgają do starych, a gdy te nie zdają egzaminu, muszą się godzić na nowe niepewności w życiu osobistym i zbiorowym. Zmniejsza to poziom zadowolenia z siebie i otoczenia. Ludzie podejmują więc dramatyczne decyzje: o emigracji, o rozwodzie, o życiu w samotności, porzucają pracę.

Ile tożsamości utrzymać, ile zaakceptować różnorodności? To nie są łatwe decyzje, bo przewodników duchowych, którym ufamy, jest coraz mniej. Człowiek współczesny uczy się tego, że takich decyzji uniknąć się nie uda, że w końcu wszystkie one spadają na niego samego. Bunt przynosi zwycięstwo, ale rzadko niestety. Pojawia się konformizm. A wydawało się, że znikł bezpowrotnie?

Bibliografia

- Berger, P. (1995). *Zaproszenie do socjologii*. Warszawa: PWN.
- Calhoun, C. (2007). *Nations Matter. Culture, History, and the Cosmopolitan Dream*. London and New York: Routledge.
- Eliot, T.S. (2007). *W moim początku jest mój kres*. Warszawa: Świat Książki.
- Lipska, E. (2017). *Pamięć operacyjna*. Kraków: Wydawnictwo Literackie.
- Morawski, W. (2017). Identity and Diversity: What Shaped Polish Narratives Under Communism and Capitalism. *Journal of Management and Business Administration. Central Europe*, 25(4).
- North, D.C. i Thomas, R.P. (1973). *The Rise of the Western World: A New Economic History*. Cambridge University Press.
- Piątkowski, M. (2019). *Europejski lider wzrostu*. Warszawa: Poltext.
- Poprzęcka, M. (2018). *Impas*. Gdańsk: Fundacja Terytoria Książki.
- Skarga, B. (1997). *Tożsamość i różnica. Eseje metafizyczne*. Kraków: Znak.

[8]

Lokalne, narodowe,
globalne:
głównie o relacjach
Polski z UE

Paula Jamesa kategorie w badaniach relacji między lokalnością a globalnością

Spśród propozycji, jakie można znaleźć na temat tego, jak badać relację między tym, co lokalne, a tym, co ponadlokalne, wybieram schemat Paula Jamesa. Jest mi bliski ze względu na to, że podkreślałem wielokrotnie rosnące znaczenie osi uniwersalizm vs partykularyzm, współzależności przestrzennych, trudności związanych z budową nowych instytucji (Morawski, 2010). Nie zajmowałem się jednak bliżej historią ewolucji wydłużania się w górę poziomów współzależności: od lokalnych do globalnych, ani bezpośrednim związkiem tejże ewolucji z pojawianiem się typów odwzajemniania, które rozwijały się wraz z nowymi współzależnościami.

Propozycje analityczne Paula Jamesa są proste. Sama nazwa „linie odwzajemniania” sugeruje, że typy odwzajemniania stanowią esencję propozycji. Schemat ma dwie osie. Na pierwszej znajdują się poziomy wydłużania w nawiązywaniu wzajemnych relacji, od najniższego do najwyższego, czyli: (1) lokalny, (2) eko-regionalny, (3) narodowy, (4) polityczno-regionalny, (5) globalny. Na drugiej osi umieszczone są cztery typy odwzajemniania, różniące się między sobą stopniem integracji: (1) odwzajemnianie typu „twarzą w twarz”, (2) odwza-

jemnianie za pośrednictwem instytucji, (3) odwzajemnianie przez przedmioty: sakralne, wartości, podstawowe towary, pełniące funkcje pieniądza, towary funkcjonujące na ograniczonych rynkach, (4) odwzajemnianie bezcielesne, które określa się powszechnie jako wirtualne.

Typy odwzajemniania pojawiają się ewolucyjnie: najpierw (1), następnie (2), (3) i na koniec (4). Wcześniejsze typy nigdy nie znikają, ale ustępują kolejnym w tym sensie, że przestają być dominujące. Dlatego w schemacie umieszczone są jakby po przekątnej: najniżej, bo na poziomie lokalnym dominują odwzajemniania typu „tworzą w twarz” z dominacją etyk partykularyzacji, czyli traktowania jednostek – ludzi jako odmiennych od innych, a najwyżej na poziomie globalnym dominują odwzajemniania typu bezcielesnego, czyli wirtualnego, gdzie przeważają etyki uniwersalizacji, czyli zasady obowiązujące wszystkich.

Elementy globalności pojawiły się w czasach najdawniejszych, już w czasach wędrówki ludów z Afryki, ale następnie przez całe tysiące lat mieliśmy do czynienia z tzw. cienką globalizacją. Cały glob stał się wszystkim dostępny dopiero po wozach oceanicznych Kolumba czy Magellana. Obecnie dzięki technologiom informacyjnym i komunikacyjnym, ale nie tylko dzięki nim, jest całością bliską wszystkim, zwaną Matką-Ziemią. Nasza planeta jest kulturowo zróżnicowana – mówi się o niej, że składa się obecnie z „wielu światów”, choć pamiętamy, że po II wojnie światowej posługiwano się w ramach zimnej wojny pojęciami Wschodu, Zachodu i Trzeciego

Świata. Rośnie poczucie jedności globalnej, co obecnie najmocniej uprzytomniają ruchy ekologiczne.

Na poziomie lokalnym odwzajemnianie przybiera postać grup, wspólnot czy społeczności, w których ludzie znają się bezpośrednio. Ten typ relacji dominował w najdawniejszych społecznościach. To jest tzw. odwzajemnianie „twarzą w twarz”. Nie znika ono na wyższych poziomach, ale jego ranga się zmienia, jest ono uzupełniane odwzajemnianiem poprzez instytucje, takie m.in. jak władza, kościół, firma handlowa czy produkcyjna. Budowa instytucji wynika z potrzeb współdziałania w większych społecznościach, np. regionalnych czy narodowych. Spośród instytucji najważniejszą jest oczywiście państwo, które funkcjonowało w bardzo wielu formach. Najbardziej znaną jest państwo narodowe, które pojawia się na Zachodzie w połowie XVII wieku (po pokoju westfalskim w 1648 roku).

Poziomy ponadnarodowe to regiony polityczne, takie jak np. Unia Europejska. Rozwijają się w nich kolejne typy odwzajemniania, które autor określa jako przedmiotowe. Jakże wiele typów przedmiotów czy obiektów wchodzi w grę: obiekty sakralne, związane z cyrkulacją towarów i relacjami pieniężnymi, jakich one wymagają itd.

Poziom najwyższy, globalny charakteryzuje się współzależnościami globalnymi z nowymi typami odwzajemniania. Autor nieprzypadkowo określa je jako bezcielesne, gdyż chce podkreślić ich odmienną relacji *face to face*. Jak wiemy, relacje te określane są

powszechnie jako wirtualne, a świat, w którym one dominują, określany jest jako cywilizacja cyfrowa. Powtórzę: pojawienie się odwzajemniania wirtualnego nie likwiduje wszystkich poprzednich typów odwzajemniania, ale wirtualne staje się obecnie najpowszechniejsze.

Ten schemat świadczy o optymizmie Paula Jamesa, gdyż stale obecna jest w nim myśl etyczna o wszechobecności odwzajemniania, czyli traktowania jako potrzeby etycznie rudymenarnej, opisywanej przez wieki zasadą *do ut des* (daję, abys ty mi dał), daru, czynienia dobra drugiemu. W historii świata i naszej własnej historii jako jednostek, narodów, społeczeństw, nie wszystko rozwija się linearnie, progresywnie, jak to pokazano wyżej. Znamy ciemne strony historii człowieka i całych społeczeństw, by wspomnieć wojny domowe, wojny między państwami, wojny światowe. Dowodzi to, jak trudno jest o przyjazne odwzajemnianie mimo wezwań proroków, ludzi głęboko religijnych, pacyfistów, czy wysiłków takich czy innych polityków. Państwa, elity, masy społeczne potrafiły się cofać w stosunku do tego, co same wcześniej głosiły czy praktykowały. Nie potrafiły wytrwać w robieniu dobra.

Ten schemat to abstrakcja, ale użyteczna. Przejdę do Polski jako części większej całości, zwanej Europą, Zachodem, a praktycznie chodzić będzie o nasze relacje z Unią Europejską. To są nieusuwalne konteksty dla Polski jako państwa i Polaków jako społeczeństwa.

2004 rok a wyzwania dzisiejsze

15 lat temu, gdy przystępowaliśmy do UE, przygotowałem tekst pt. *Wiry globalizacji: wartości i instytucje* (Morawski, 2005, s. 51–74), w którym sformułowałem kilka tez, do których chciałym wrócić. Co się zmieniło, a co – nie?

1. Pisałem: „globalizacja wytwarza wiry, których kierunki i szybkość stwarzają tak wielkie i burzliwe pola niepewności, że nie udaje się ich kontrolować nawet ważnym aktorom sceny globalnej, a wśród nich Unii Europejskiej” (Morawski, 2005, s. 51). Dziś wzmocniłbym tę tezę. Sama UE przyznaje, choć niechętnie, że jest w kryzysie, a tym bardziej takie zdanie uporczywie upowszechniają ci, którzy traktują UE jako konkurenta ekonomicznego, jak USA i Chiny, czy ewentualną zdobycz polityczną, jak Rosja. UE ma wielką *soft power* (miękką siłę), ale w warunkach powrotu geopolityki liczą się siły realne, jak militarna, czy ekonomiczna, bo to jest fundament dla *soft power*. Tymczasem UE jest silna ekonomicznie, ale nie militarnie.

Takie atuty lub ich braki mają swoje konsekwencje dla państw-członków UE. Aktorzy zewnętrzni zachęcają do zwiększenia podziałów wewnątrz UE, gdyż ona sama, jak pisał Gerard Delanty, jest polem wewnętrznej rywalizacji. Obrazowo przedstawiał to tak: „piłka to Europa, gracze to projekty tożsamości, a boisko to rzeczywistość geopolityczna, w której, w tym przykładzie i w naszym wywodzie, toczy się gra [...] zawodnicy

na polu gry nigdy nie kontrolują w pełni idei europejskiej” (Delanty, 1999, s. 11). Wystarczy przypomnieć kilka faktów, jakie się wydarzyły od czasu napisania tych słów, aby potwierdzić te przewidywania. Brexit stał się zmurą nie tylko dla Brytyjczyków, ale także dla pozostałych państw-członków UE. Wspiera go prezydent USA Donald Trump, nie tylko ostentacyjnie kibicując brexitowi, a nawet do niego zachęcając propozycjami umów handlowych, które miałyby potwierdzać specjalne relacje UK–USA. Rosja wspiera finansowo te nacjonalistyczne partie polityczne w Europie Zachodniej, które są przeciwko silniejszej integracji europejskiej. Przeszkadza też chce Rosja realizacji aspiracji tych państw zachodnich Bałkanów, które chciałyby się znaleźć w UE, posługując się wszelkimi możliwymi argumentami, np. wspólną tradycją prawosławia.

2. Polska a wizje europeizacji. 15 lat temu poświęciłem wiele uwagi dwóm kwestiom: traktatowi konstytucyjnemu i poszerzeniu UE o 10 państw (w tym Polskę). Jak wiadomo, niczym skończyły się próby napisania konstytucji dla UE. Liczono, że czas przyspieszyć integrację polityczną, skoro tak wiele osiągnięto w sferze integracji ekonomicznej. Sprzeciw był duży i ostatecznie uchylono się od dyskusji nad kwestiami fundamentalnymi, które zwiększałyby szanse na porozumienia elit i społeczeństw: Francuzi i Holendrzy zagłosowali wprost przeciw konstytucji europejskiej. UE jest nadal organizacją państw narodowych, przypominającą czasem konfederację, w żadnym razie nie jest federacją, na co liczyło

Sprawa federalnej Europy nie jest uważana za pilną w Polsce, bo hołdujemy myśli o potrzebie kontynuacji umiarkowanie konserwatywnej filozofii „Europy ojczyzn”. Na Zachodzie w tej czy innej formie myśl federalizacji żyje, ale to również sprawa bardzo odległa, jeśli mogłaby być potraktowana praktycznie. W Europie nie ma genu o nazwie „Stany Zjednoczone Europy”. Chyba go nigdy nie było?

wielu kosmopolitycznie nastawionych teoretyków (np. Grande, Beck). Ani wówczas, ani tym bardziej dzisiaj sprawa federalnej Europy nie jest uważana za pilną w Polsce, bo hołdujemy myśli o potrzebie kontynuacji umiarkowanie konserwatywnej filozofii „Europy ojczyzn”. Na Zachodzie w tej czy innej formie myśl federalizacji żyje, ale to również sprawa bardzo odległa, jeśli mogłaby być potraktowana praktycznie. W Europie nie ma genu o nazwie „Stany Zjednoczone Europy”. Chyba go nigdy nie było?

Wracając do kwestii poszerzenia: mój ton sprzed 15 lat był słodko-kwaśny, zręczliwy. Narzekałem, że odsuwano w czasie nasze przyjęcie, mnożąc warunki (*acquis communautaire*), a pomoc nam zaoferowana była niższa od tej, jaką wcześniej dostawał Zachód. Przytoczyłem także zdanie wybitnego historyka-ekonomisty Ivána T. Berenda, który napisał, że w warunkach europeizacji i globalizacji kraje Europy Środkowo-Wschodniej doświadczą „objazdu z peryferii do peryferii” (Berend, 2001, s. 337–340). Że nie mają przyszłości. Było wówczas coś na rzeczy, bo większość krajów postkomunistycznych przez całe lata 90. XX wieku nie przekroczyła poziomu PKB sprzed transformacji. Tylko 5–6 krajów przekroczyło ten poziom, a Polska najwcześniej.

Jest lepiej, niż przypuszczałem. Kryzys rozpoczynający się w 2007–2008 roku Polska przeszła lepiej niż inne kraje UE (tzw. zielona wyspa), a co więcej – nadal odbiera skutecznie zaległości wobec państw Europy Zachodniej. Zbliżamy się do poziomu 70% poziomu

dochodu narodowego na głowę Zachodu, czyli zapewne najwyższego w całej naszej historii. Napawa to wielu ludzi nadzieją na dośnięcie Zachodu w okresie jednego pokolenia lub dwóch. Nie jestem tak optymistyczny, choć wiem, że bywa to możliwe (np. Irlandia prześcignęła Wielką Brytanię).

3. Formuły działania UE okazują się nieskuteczne. Choć ojcowie UE znali tragiczne efekty działania państwa narodowego w postaci dwóch wojen światowych, to nie kwestionowali przyszłości dla narodu jako fundamentu państwa. Znane są wypowiedzi o powyższej treści w pismach Richarda Coudenhove-Kalergi, Jeana Monneta, czy Alcide de Gasperiego. Mimo to jasno widzieli oni potrzebę szukania nowych rozwiązań dla Europy i znajdowali je. Co więcej – czas zdawał się pokazywać, że przedsiębrane przez nich „małe kroki”, niby to techniczne, przynoszą z czasem efekty dodatkowe, np. solidarność. Łącząli funkcjonalizm z technokratyzmem w różnych wariantach, po cichu lub głośno marząc o jakiejś federalizacji.

Wszystko do czasu, bo tamten optymizm znikł. Nawet w sferze wprowadzania euro sukces nie jest całkowity. Marzenia pozostają marzeniami. Czego nie widziałem 15 lat temu, to tego, że tamte marzenia, jak obecne, jeśli są podobne, traktowane być mogą jako zdrada elit unijnych wobec społeczeństw UE. Elity są stale oskarżane o abstrakcyjny proceduralizm czy liberalizm, który ma być korzystny dla nich samych, a nie dla tzw. zwykłych ludzi. Pojawia się określenie, że takie rządy

elit są zaprzeczeniem demokracji liberalnej. Krytyka „lud kontra demokracja” jest różnie nasiloną w różnych krajach. W Polsce krytyka ta jest silniejsza ze strony PiS, który ma tendencję do centralizacji decyzji, niż ze strony PO, ale w ramach samego PiS widać wahania, jak traktować zalecenia płynące z UE. Przez jakiś czas potępiano nawet flagę, czy hymn UE, ale zaprzestano tego. Blisko 80% Polaków dość mocno popiera UE. Nadal płynie wsparcie finansowe z UE.

Które kłopoty UE są naszymi kłopotami?

Jednym łatwo jest krytykować UE, bo skoro ją kochają, to mają prawo do szczerości. Innym trudno jest krytykować UE, bo to nasza nieusuwalna kotwica w Europie i choćby ułomna, to główna. Jedni i drudzy są właściwie sobie bliscy. Jest trzecia grupa osób, którym krytyka UE przychodzi łatwo, bo albo widzą pewne możliwości poza nią samą, albo najczęściej chcą w niej pozostawać, aby ją zmienić od wewnątrz. I znajdują podobnie myślących poza własnym krajem. Olbrzymią większość Polaków charakteryzuje silna wola przynależności do UE, choć są mocno podzieleni, jak na nią patrzeć i jak w niej funkcjonować. Zmienny jest stosunek PiS do UE. Na Węgrzech jest, jak się zdaje, podobnie. Ani Węgrzy, ani Polacy nie zamierzają jednak opuszczać UE. Włosi też nie, choć tam silna Liga Północna była/jest wielce kry-

tyczna wobec Brukseli. Brytyjczycy poszli najdalej: opuszczają UE, co potwierdza tylko stare kulturowo-polityczne odmienności znane od czasów Henryka VIII, który zerwał z Rzymem. Są od dawna odmienni. Pewnie dlatego Churchill zalecał Europie tworzenie Stanów Zjednoczonych, ale bez Wielkiej Brytanii.

Próby ocen naszej przynależności do UE czynią z perspektywy samej UE. Polskie oceny UE są w większości reaktywne, przynajmniej obecnie. Polskiego aktywnego działania w UE jest w ostatnich latach mniej, niż można byłoby się spodziewać ze względu na rangę kraju. Wygląda to czasem tak, jakbyśmy się sami powoli zamykali czy izolowali. Tymczasem przez wiele lat byliśmy w UE bardzo aktywni, co owocowało m.in. obejmowaniem ważnych stanowisk we władzach UE przez Polaków. Ostatnio nasza aktywność jakby zaczęła rosnąć, ale jakie przybierze formy, nie wiadomo. Jest wiele spraw spornych, głównie z zakresu praworządności, które wprowadziły Polskę na linię kolizji z niektórymi organami UE.

UE jako całość przeżywa kryzys, który bywa czasem uważany za śmiertelny. Zaczynam od kłopotów całej UE, by stwierdzić, na ile my się do tych kłopotów sami przyczyniamy. Czy kiedy pomagamy je przezwyciężyć, czy kiedy one nas nie dotyczą? Tych pytań uniknąć się nie da, bo UE jest naszym pierwszym układem odniesienia, choć wiele dobrego mówi się także o USA, z którymi relacje uważamy za przyjacielskie.

1. Neoliberalizm ekonomiczny jest prąźródłem kłopotów UE – to najczęstsza chyba diagnoza przyczyn

kryzysu UE. Nie jest ona dokonywana bezpośrednio, tj. w kategoriach ekonomicznych, ale raczej poprzez krytykę elit władzy UE, które umożliwiły zły bieg rzeczy. Czasem spotyka się wypowiedzi wprost. Jan Zielonka, politolog z Uniwersytetu Oksfordzkiego mówi: „Dzisiejsza dyskusja nie dotyczy murów i granic, ale interpretacji historii po 1989 roku. Zwolennicy niezależności obszczekują po prostu niewłaściwe drzewo. Nierówności powstały przez neoliberalną politykę, która oddała rynkowi władzę nad redystrybucją. Wypływają one również z przekonania, że konkurencyjność jest bardziej pożądana niż solidarność. Otwarte granice niewiele mają z tym wspólnego. [...] Rynek zrobił prawdziwą farsę z demokracji, ale stało się tak, ponieważ instytucje zajmujące się regułami rynkowymi, takie jak Komisja Europejska, chętniej słuchały lobbystów niż zwykłych ludzi (30 tys. lobbystów w Brukseli). [...] Te instytucje powinny być naprawdę ponadnarodowe i nie podlegać monopolowi państw narodowych, w większości niewielkich i źle działających” (Zielonka, 2018, s. A12).

Jeśli przyjąć to rozumowanie, a dalej przedstawiam alternatywne wyjaśnienia kłopotów UE, to Polska nie była kreatorem neoliberalizmu ekonomicznego UE. Przyjęła go z dobrodziejstwem inwentarza w 1989 roku, co więcej – mimo bardzo wielu negatywów, kurs ten przyniósł Polsce kilka znaczących sukcesów. Wyjaśnić je można m.in. księżycowymi regułami, jakie wcześniej rządziły w polskiej gospodarce i polityce. Choć ułomne, to prawdziwe jest to wyjaśnienie naszych sukcesów.

Choć pojawiają się często w PiS krytyki neoliberalizmu, to funkcjonariusze rządzący gospodarką z ramienia PiS (ministrowie czy premierzy) nie gardzą żadnymi kontaktami z korporacjami zachodnio-europejskimi, odwrotnie – sprzyjają ich inwestycjom w Polsce. Wiedzą, że są one źródłami innowacyjności, sprzyjają eksportowi, uczą nas zarządzania, dają poczucie udziału w świecie. Krytyka krytyką, ale póki co, wiele wnosimy z kontaktów z gospodarkami UE.

Przed 1989 rokiem istniał potencjał ekonomiczny, który, w ramach systemowych reform, choć szokowych, wykorzystano. Niemniej kurs ten był najpierw lekko modyfikowany w Polsce po 1993 roku, a następnie ostentacyjnie odrzucony w 2005 roku, kiedy PiS wygrał wybory z hasłem „Polski solidarnej” przeciwko „Polsce liberalnej”. Kurs ten PiS podtrzymuje po 2015 roku.

Powiązania polskiej gospodarki z państwami UE są bliskie, zwłaszcza z gospodarką Niemiec. To, że zostaliśmy członkiem UE w 2004 roku, tylko zacieśniło powiązania. Dlatego, choć pojawiają się często w PiS krytyki neoliberalizmu, to funkcjonariusze rządzący gospodarką z ramienia PiS (ministrowie czy premierzy) nie gardzą żadnymi kontaktami z korporacjami zachodnioeuropejskimi, odwrotnie – sprzyjają ich inwestycjom w Polsce. Wiedzą, że są one źródłami innowacyjności, sprzyjają eksportowi, uczą nas zarządzania, dają poczucie udziału w świecie. Krytyka krytyką, ale póki co, wiele wynosimy z kontaktów z gospodarkami UE. Nawet emigracja zarobkowa jest widziana czasem jako korzystna, choć PiS nawołuje ludzi do powrotów. Nasz rynek pracy potrzebuje nowych rąk do pracy.

2. Zachód jest tzw. miękką potęgą (*soft power*) – powiada się. Jest to prawda, ale powszechnie uważa się także na samym Zachodzie, że siła oddziaływania kulturowego Zachodu słabnie. Uwaga ta odnosi się raczej tylko do UE, bo uwzględniając łącznie obie strony Atlantyku, wysoka ocena Zachodu pozostaje niezmienną. Zachód można definiować rozmaicie, a w związku z tym

odmiennie oceniać, czy ma takie, czy inne dobre strony. W perspektywie, która dotyczy relacji Polski z UE, chodzi najczęściej o krytykę Zachodu w wydaniu liberalnym, liberalno-lewicowym, a nawet liberalno-konserwatywnym. Podobna krytyka pojawia się wewnątrz państw-członków UE, ale w największym nasileniu chyba w takich krajach Europy Środkowo-Wschodniej jak Polska i Węgry.

Oto niektóre konteksty krytyki. Zacznę od wypowiedzi Timothy'ego Garton Asha, historyka z Oxfordu, który jest zafascynowany naszą częścią Europy i posługuje się biegle językiem polskim. Wyjaśnia: „Zachód powstał w kontrze do nazistowskich Niemiec i trwał dalej jako opozycja do Związku Radzieckiego. Kiedy zniknął wspólny wróg, wszystko stało się trudniejsze [...] Zbliża się wielka antyliberalna kontrrewolucja. [...] Nie udało się nam (liberałom – WM) skraść serc ludzi. Tożsamość ludzi pozostała w dużej mierze narodowa” (Ash, 2018). Ta diagnoza jest szeroko podzielana na Zachodzie, o czym świadczą liczne publikacje książkowe, wypowiedzi ludzi kultury i polityki. Krytykowani jesteśmy za brak tolerancji dla odmienności, dla liberalizmu, za nacjonalizm, za wypowiedzi przeciw społeczności LGBT, za brak solidarności z tymi krajami UE, które przyjmowały uchodźców. Z naszej strony z kolei płyną oskarżenia Zachodu o brak dbałości o chrześcijańskie fundamenty Europy. Co ważne, podobne narzekania znalazły się w wypowiedzi papieża Franciszka kilka lat temu. Także sprawa rodziny w kontekście tolerancji na Zachodzie

dzie dla ruchów LGBT podnoszona jest u nas jako znamię naszej dojrzałości moralnej na tle niemoralnego Zachodu. Nie zauważa się, że związki partnerskie czy małżeństwa jedнопłciowe są tam prawnie dozwolone ze zgodą także partii konserwatywnych.

Erozja siły oddziaływania Zachodu jest od dawna troską samej UE. Przypomnę nawoływania do budowy nowej narracji dla Europy. Anne Applebaum przypomina apel o taką wspólną europejską narrację w wyko-naniu José Manuela Barroso, przewodniczącego Komisji Europejskiej, sformułowany w 2013 roku w okresie sprzed kryzysu uchodźczego, inwazji Rosji na Ukrainę, przed głosowaniem w Wielkiej Brytanii o opuszczenie UE, przed atakami terrorystycznymi w Europie. Taka pożądana narracja nie pojawiła się, jak dotąd, a przybyło UE wiele nowych problemów. Pisz: „Kontynent jest niszczone przez kryzysy, których nie może rozwiązać żadne pojedyncze państwo działające samo: napływ milionów imigrantów, coraz więcej międzynarodowej korupcji, nierównowagi tworzone przez jedną walutę, bezrobocie młodzieży w niektórych regionach, wyzwania rewanżystów z Rosji” (Applebaum, 2017, s. 44).

Podobnych wypowiedzi jest wiele. Zachód sam przestał sobie dawać radę ze sobą. Zachód, ale w sensie wąskim, czyli kraje na zachód od Polski. Nazwijmy go Zachodem 1, bo my – Polska przynależymy do Europy Środkowo-Wschodniej, którą Czesław Miłosz określa z dumą jako „drugą Europę”, która, mając własne tragiczne doświadczenia, jakich nie zna Zachód 1, wcale

gorsza nie jest niż Zachód 1, który może się nawet czegoś od nas nauczyć. Funkcjonuje zresztą jeszcze bardziej niż nasza odmienna Europa – Europa 3: Wschodnia na czele z Rosją. Jest tak niezależnie od tego, że wielu Rosjan widzi Rosję jako EurAzję. Każda z tych trzech Europ reprezentuje inną kulturę, a kultury raczej dzielą, niż łączą. Na początku lat 90. XX wieku zaobserwował to klarownie Samuel P. Huntington, patrząc na to, co się dzieje po rozpadzie dawnej Jugosławii.

Polska od 1989 roku demonstracyjnie mówiła, że jest taka sama jak Europa 1, ale po 30 latach transformacji klarowniej potwierdza, że jest swojska, że reprezentuje pewne osobliwości. Ostatnimi laty pokazuje to coraz bardziej otwarcie, choć nie jednolicie. Takie akcenty są dużo silniejsze po prawej stronie sceny politycznej. Czasem określa się je jako nacjonalistyczne, co jest chyba nadużyciem tego pojęcia. Jest prawdą oczywiście w przypadkach neoendeckich wypowiedzi (i czynów) z ostatnich lat. Ten rodzaj myślenia jest o wiele silniejszy w Rosji Putina, w której wojna kulturowa z Zachodem jest popierana oficjalnie przez aparat państwa. W Polsce ataki kulturowe na Zachód stały się ostatnio częstsze, a Kościół jest na ogół sprzymierzeńcem państwa w tych atakach.

3. Liberalną demokrację uważa się ostatnio za system, który nie odpowiada ludowi, który jest z niej często niezadowolony. System ten ma zapewniać tylko rządy elit, brukselskich czy innych, a one są przedmiotem krytyki, co zwiększa popularność sił antyeuropejskich w wielu

krajach EU. Jaka jest tego przyczyna? Zapytajmy najpierw, czy funkcjonuje, i jak – demos europejski. By odpowiedzieć na to pytanie, wystarczy porównać rangę, jaką ludzie przypisują wyborom do parlamentu krajowego i do parlamentu UE, aby stwierdzić, że parlament krajowy jest dla nich o wiele ważniejszy. W nim zapadają decyzje, na które obywatele państwa mają jakiś wpływ lub taki wpływ odczuwają. Krótko mówiąc – nie można stwierdzić, że funkcjonuje coś takiego jak europejski demos, choć ranga parlamentu EU powoli rośnie. Przetarasowania w nim nie zmieniają struktur decyzyjnych. Najważniejsze są w PE rodziny tzw. partii ludowych (m.in. PO), socjaldemokratycznych i liberalnych. Konserwatyści, w tym PiS, zwłaszcza po odejściu UK, znaczą mniej, niż dotąd znaczyli, a nie odgrywali w nim tak dużej roli jak wymienione wyżej partie. Ostatnio Zieloni umacniają swoją pozycję.

Wybory do PE w Polsce w 2019 roku przyciągnęły uwagę stosunkowo dużej liczby wyborców. Polscy wyborcy z dużym zainteresowaniem patrzą na UE, widząc w niej nie tylko korzystne pole działania, choć głównie ekonomicznego. Jeśli chodzi o kwestie polityczne, to widać zadziwiającą zmienność naszego stosunku do PE. Przez pierwsze 10–11 lat pobytu w UE patrzyliśmy na UE jako wzór dla budowania nadziei wszelkiego niemal rodzaju, ale po dojściu do władzy PiS ten entuzjazm opadł, gdy ze strony władz UE zaczęto mnożyć zastrzeżenia co do realizacji zasad rządów prawa w Polsce, a zwłaszcza niezależności sądów, od Trybunału

Konstytucyjnego poczynając. Próby poprawy relacji z Polską przez władze UE były raczej nieudane, czego przejawem było to, że np. prezes Jarosław Kaczyński nie chciał się spotkać z szefem KE Jean-Claudem Junckerem, a krytyka jego zastępcy Fransa Timmermansa przybrała postać rytualną, choć wcześniej był on odznaczany przez prezydentów Kaczyńskiego i Komorowskiego.

Spotyka się często komentarze, po obu stronach naszej polityki, jakoby zależało nam jedynie na otrzymaniu pieniędzy z UE, a nie uczeniu się wzorów dobrego funkcjonowania instytucji, w tym liberalnej demokracji z jej naciskiem na znaczenie praworządności. Upowszechnia się przekonanie, że rządy prawa kierować się winny nade wszystko służbą interesom własnego państwa, a niekoniecznie jakimś odległym procedurom ustalonym daleko od nas. Problem w tym, że w Polsce obowiązuje prawo europejskie, stąd biorą się napięcia na linii Warszawa–Bruksela.

Sfera polityki to nie tylko respektowanie zasad liberalnej demokracji, lecz także rozwijanie dobrych relacji politycznych z innymi państwami, a zwłaszcza z sąsiadami na tradycyjnej linii poziomej Wschód–Zachód, czyli z Rosją i Niemcami. W relacjach z Rosją jest wiele napięcia od 1989 roku, i to napięcie uparcie się utrzymuje, a nawet wzrasta. O co chodzi? Timothy Snyder wyjaśnia przyczyny: „Polska prawica przedstawia UE jako zagrożenie dla polskiej suwerenności, a Rosja bezlitośnie to wykorzystuje [...] Oni boją się państw dobrze funkcjonujących, praworządnych. Kreml do-

skonale wie, że wybór jest prosty: albo będzie miał do czynienia z UE, albo z osłabionymi i osamotnionymi państwami narodowymi. W tym drugim przypadku miałby oczywistą przewagę” (Snyder, 2018, s. 26). Dalej Snyder wyjaśnia, że wbrew temu, co się najczęściej w Polsce słyszy: „W całej historii Europy państwa narodowe są tworem rzadkim. Na tym kontynencie państwa istniały z reguły albo w ramach jakiejś unii czy federacji, albo imperium. To dotyczy również wielkich państw zachodnich: Niemiec, Francji, Wielkiej Brytanii. Dopiero w czasie brexitu Anglicy zapomnieli, że nigdy nie byli państwem narodowym” (Snyder, 2018, s. 26).

Wynikałoby z tego rozumowania, że Polska tylko w ramach UE może być suwerenna. Jeśli chce być państwem narodowym, to odpowiada to interesom Rosji, bo wtedy jest pozostawiona sama sobie, czyli może być ofiarą działań Rosji. Wniosek: ktokolwiek jest przeciw UE w Polsce, sprzyja Rosji. Ta argumentacja nie jest szeroko w Polsce znana, bo idea UE jako federacji jest odrzucana, choć istnieje poczucie, że UE jest czymś więcej niż zbiorem państw narodowych, ale czym, tego nikt dobrze nie umie zdefiniować. Ci, którzy krytykują Polskę z jej wizją państwa narodowego, krytykują ją z pozycji takiej, że UE nie działając jednolicie, sama się Rosji wystawia na odstrzał. Inni, też podtrzymując ideę państwa narodowego, szukają wsparcia w USA, ale nie rezygnują z więzi z UE.

Niemcy to kolejny przykład zmiennych napięć, ale zupełnie innych niż te z Rosją; w sumie bardzo pozy-

tywny przykład zmiany na lepsze stosunków sąsiedzkich. Zaczęło się od inicjatywy polskich biskupów, która zdenerwowała Władysława Gomułkę, a była przecież dalekowzroczna.

4. O wiele korzystniej, a właściwie dobrze, można ocenić sferę relacji społecznych typu: ludzie–ludzie, czy społeczeństwa–społeczeństwa. Zwłaszcza swoboda ruchów na rynkach pracy była/jest mocno doceniana nie tylko przez tych, którzy z Polski migrowali w poszukiwaniu pracy. Sporo zarobionych tam pieniędzy wraca, wracają coraz częściej migranci, choć nie masowo. Emigrację trzeba traktować na ogół jako stratę, ale czasem przynosi ona korzyści (Romaniszyn, 2018).

Wspomnieć należy o młodzieży studenckiej, która korzysta z systemu Erasmus i innych udogodnień, jeśli chodzi o organizację wymiany. Nadto turystyka zagraniczna stała się czymś normalnym w planowaniu urlopów. Polskie porty lotnicze pracują na pełnych obrotach.

Współzależności będą rosły

Nasza przynależność do Europy ma 1000 lat i stała się dominującym czynnikiem naszego rozwoju i budowy naszej tożsamości indywidualnej i zbiorowej. Przez chrzest Polski, a następnie przyswajanie sobie dziedzictwa kultury greckiej i rzymskiej, dorobku Renesansu i Oświecenia, Polska weszła na trwale w rdzeń kultury europejskiej. Szliśmy też na Wschód, a Wschód szedł

do nas: bilans tej relacji jest gorszy niż tej z Zachodem, ale oba te kierunki są obecnie uzupełniane ściślejszymi relacjami z Północą i Południem, zapewniając nam w sumie dobre miejsce na mapie przestrzennej Europy. Pomaga to w organizacji relacji między poziomami od lokalnego, przez regionalny, narodowy, do europejskiego i globalnego.

Bibliografia

- Ash, T.G. (2018). Wschód idzie na Zachód. *Forum*, 16.
- Berend, I. (2001). *Central and Eastern Europe 1944–1993. Detour from the periphery to the periphery*. Cambridge: Cambridge University Press.
- Delanty, G. (1999). *Odkrywanie Europy. Idea, tożsamość, rzeczywistość*. Warszawa: Wydawnictwo Naukowe PWN.
- Morawski, W. (2005). Wiry globalizacji: wartości i instytucje. W: W. Wesołowski i J. Włodarek (red.), *Kręgi integracji i rodzaje tożsamości. Polska Europa Świat*. Warszawa: Wydawnictwo Naukowe Scholar.
- Morawski, W. (2010). *Konfiguracje globalne*. Warszawa: Wydawnictwo Naukowe PWN.
- Romaniszyn, K. (2018). W: W. Morawski (red.), *Socjologia ekonomiczna*. Warszawa: Wydawnictwo Naukowe PWN.
- Snyder, T. (2018). Unią suwerenni. *Polityka*, 6 listopada.
- Zielonka, J. (2018). Falszywa obietnica suwerenności. *Rzeczpospolita*, 28 grudnia.



[9]

Doganianie Zachodu:
jak, kiedy warto,
bądźmy sobą

Trzy perspektywy

Nasze relacje z Zachodem są tak stare jak nasze państwo (chrzest za czasów Mieszka), ale nabierają znaczenia w czasie Renesansu, kiedy Polska jest u szczytu potęgi, a rumieńców ideologicznych od Oświecenia, kiedy zaczyna się poszukiwanie dróg modernizacji upadającej Polski (Jedlicki, 1988). W XIX wieku mają te relacje ciekawe barwy emigranckie, a od 1918 roku do dziś znaleźć w nich można na przemian wszystkie oblicza miłości, zdrady, ale też po prostu nadziei na przewidywalną normalność. Na każdym z tych etapów naszej historii było w tych relacjach więcej emocji niż zimnej kalkulacji, tymczasem tylko jakaś odpowiednia mieszanka tych ingrediencji, zapewne nieco zmienna w czasie, pomóc nam może w pokonywaniu kolejnych wyzwań, jakie narzucają współzależności regionalne i globalne. Zajmę się głównie okresem ostatnich 30 lat, odwołując się od czasu do czasu do historii, ale pamiętając ostrzeżenie, by za dużo od niej nie oczekiwać. Otóż filozof niemiecki G.W.F. Hegel na początku XIX wieku powiedział: „Ani ludy, ani rządy niczego się z historii nie nauczyły”.

Wyróżniam trzy perspektywy patrzenia na relacje Polski z Zachodem. Pierwszą określam jako mieszczącą

się w pytaniu: „JAK?”, za którym kryje się przekonanie o potrzebie doganiania Zachodu, czy jako miejsca lepiej praktykującego zasady gospodarki rynkowej, czy ogólniej – wzorca cywilizacyjnego, a może też miejsca lepszej jakości życia politycznego, w którym szanowane są wysoko zasady liberalnej demokracji i wyższa jest aktywność społeczeństwa obywatelskiego. W każdej z tych perspektyw dość silny jest ładunek normatywny, ideologiczny. Także w omawianej. Ładunek ten jest mieszkanką wartości wziętych najczęściej z umiarkowanych nurtów liberalizmu, konserwatyzmu i socjaldemokracji. Najczęściej swoje źródła wywodzą te nurty albo z bliskiej stosunkowo historii Europy od Oświecenia i Rewolucji Francuskiej, albo ze starszej, sięgającej związków Europy z chrześcijaństwem. Nasze zapożyczenia od Zachodu powiększamy od 1000 lat bez dłuższych przerw. Mamy prawo traktować siebie jako integralną część Zachodu, aktywnie umacniać siebie na Zachodzie, korzystać z jego dorobku dla nas stale użytecznego.

Równocześnie różnimy się w wielu sprawach od Zachodu, choć długo traktowano Zachód jako perspektywę naturalną, właściwie jedyną. Tak z pewnością było w czasach starania się Polski o przyjęcie do UE. Stało się to faktem w 2004 roku. Pięknie zarysował tę perspektywę historyk gospodarczy Jacek Kochanowicz: „Zachód – niezależnie od znaczeń, jakie pod ten termin można podkładać – był zawsze naturalnym punktem odniesienia dla Polski. Wynikało to z geograficznej bliskości, jak i z tego, że z Zachodu społeczeństwo polskie czer-

pało wzorce kulturowe i cywilizacyjne, poczynając od chrześcijaństwa we wczesnym średniowieczu, przez kolonizację na prawie niemieckim, wpływy włoskie w czasach Renesansu, czy francuskie i angielskie w epoce Oświecenia, po instytucje, technologie i wzorce kultury importowane w bezprecedensowym wymiarze w ciągu ostatnich dwudziestu lat. Naturalne było wobec tego także porównywanie stopnia i charakteru rozwoju gospodarczego z krajami Zachodu, i stopniowe uświadamianie sobie tego, co w języku dwudziestowiecznym określono mianem zacofania. Owo zacofanie ziem polskich dobrze dostrzegali przybysze z zagranicy w wieku XVI i XVII, a w wieku XVIII doszło do skonceptualizowania przez zachodnich intelektualistów, kształtowanych przez idee oświecenia, pojęcia „Europy Wschodniej”, jako obszaru egzotycznego i pod wieloma względami „barbarzyńskiego”, odmiennego od „cywilizowanego” (Kochanowicz, 2010, s. 153).

Wniosek, jaki się nasuwał na początku transformacji, był tylko jeden: należy korzystać z wzorców Zachodu, bo to jest najlepszy sposób wyjścia z zacofania, czy, jak kto woli – dawania sobie rady z wyzwaniem rozwoju społecznego. Takie myślenie nie tylko dominowało w polskim dyskursie publicznym, lecz także było wspierane przez kolejne władze aż do 2015 roku.

Druga perspektywa mieści się w pytaniu: „KIEDY WARTO”? Kryje się za tym pytaniem przekonanie, że na drodze ku lepszej przyszłości liczyć się należy głównie, czy nawet jedynie, z interesem własnym naszego pań-

stwa. Wartości i interesy państwa są zawsze bowiem punktem startu w szukaniu dróg rozwoju, ale też punktem dojścia, określającym horyzonty przyszłości. Nie kwestionuje się, że w obu tych punktach Zachód zajmuje miejsce centralne, zwłaszcza UE, ale – co ważne – powinniśmy budować z nim relacje na naszych warunkach. Jako ekonomicznie ubożsi skorzystać możemy na kontaktach handlowych czy na imporcie nowoczesnych technologii. W sferze kultury sprawa jest natomiast bardziej skomplikowana, jako że cechują Polskę pewne osobliwości, na które Zachód i my patrzymy odmiennie. Co prawda wiele zbieżności dostrzec można w sferze tego, co czasem określa się jako poziom cywilizacyjny, jak infrastruktura drogowa, system opieki zdrowotnej, wymiana studencka, dbałość o ekologię, ale nawet w tej sferze łatwo o punkty sporne. Jak np. traktować polskie bogactwo narodowe, jakim jest węgiel w dobie walki z globalnym ociepleniem? W sprawach światopoglądowych jesteśmy, jak wiele na to wskazuje, jeszcze dalej od siebie. Oczywiście, jesteśmy zróżnicowani w tych sprawach między sobą.

Ułożenie relacji na warunkach równości interesów jest trudne, kiedy różne są poziomy bogactwa, władzy i prestiżu między Polską a bogatymi państwami zachodniej Europy. Powstaje impas, bo bogatsze państwa, zwłaszcza Północy, nie przejawiają większej gotowości do łożenia na kraje uboższe, czy to Południa, czy Europy Środkowo-Wschodniej. Państwa Zachodu i Północy mają zasoby do wykorzystania przez wszystkich, ale ich

wykorzystanie wymaga kompromisów w imię projektu europejskiego, który oparty byłby na realizmie, a nie na ideologicznych wizjach, gdziekolwiek lansowanych. Projekt się chwieje.

Zachód w tej perspektywie to nadal „Europa ojczyzn”. Elementy konserwatyzmu silnie są w tej opcji. Oparta jest ona, trzeba dodać, na bogatych doświadczeniach przeszłości, charakteryzuje się zimną racjonalnością. Stosunkowo małe jest w niej nasilenie normatywności, oczywiście poza deklaracjami rytualnymi. Reprezentuje, w sumie, tradycyjne i dość słabo rozwinięte alternatywne drogi ku przyszłości, bo pozostawia najważniejsze decyzje suwerennym państwom-członkom UE. Jest to perspektywa zachowawcza, sprawdzona, ale z niewielkim potencjałem innowacyjności.

Perspektywa ta w Polsce znajduje większe uznanie niż ta pierwsza. Przedstawiam dwie wypowiedzi bliskie, jak mniemam, tej orientacji. Konrad Szymański, wice-minister spraw zagranicznych: „Wtedy, nie będąc członkiem UE, byliśmy zdani na decyzje innych. To państwa członkowskie, a nie my, decydowały o różnych parametrach naszej drogi do UE. Dziś jest inaczej [...] Rząd Mateusza Morawieckiego robi wszystko, by Polskę z takich scenariuszy (niedorozwoju lub rozwoju trwale zależnego – z tekstu wcześniej) wyrwać. Jednak ten cel jest wciąż przed nami. Dlatego Polska nie zgodzi się na nieuzasadnione cięcia w polityce spójności i polityce rolnej [...]”. „Polska [...] oferuje poparcie dla rozwiązań opartych na unijnym opodatkowaniu transakcji finan-

sowych, sektora cyfrowego, lotnictwa czy też wprowadzeniu opłaty od wspólnego rynku dla największych przedsiębiorstw, które przez efekt skali najbardziej z niego korzystają” (Szymański, 2019, s. A12).

W podobnym duchu wypowiada się Witold Waszczykowski, były minister spraw zagranicznych: „Rząd PiS odrzucił naiwne stanowisko zakładające, że Unia to altruistyczna instytucja dbająca jednakowo o interesy wszystkich członków. Odrzuciliśmy myślenie, że wystarczy tam być, płynąć biernie w głównym nurcie, i poddać się nieprecyzyjnym standardom europejskim. Musimy mieć jasno sprecyzowane interesy i determinację do ich obrony. Maksymalny program to współdecydowanie o polityce UE. Program minimum to współdecydowanie o wschodniej polityce Unii. Unia to instytucja stworzona, aby pomagać w rozwoju państwom członkowskim. A nie odwrotnie. Państwa nie mogą służyć wymagowanym celom ideologicznym” (Waszczykowski, 2019, s. A7).

W obu wypowiedziach chodzi głównie o interesy gospodarcze, ale nie tylko o nie. UE była dla nas, jak dotąd, szczodra, jeśli chodzi o pomoc finansową, ale chodzi o dalszą przychylność, w przyszłości. Polska mówi o tym bez ogródek, np. przy okazji prezentowania kandydata na komisarza ds. rolnictwa. Nie znamy kolejnych decyzji UE na najbliższe lata, ale będą one zapewne nie tak dobre jak w ostatnich rozdaniach. Nasze relacje z UE utrudniają także kwestie światopoglądowe, czy przestrzegania zasad praworządności. UE

ma całkiem liczne w tych zakresach zastrzeżenia wobec Polski. Polska demonstruje dość konsekwentnie różnice zdań w kwestii definiowania rodziny, ruchów LGBT, migracji i wielu innych. Określając państwo polskie jako instytucję stojącą na straży wartości konserwatywnych czy narodowo-katolickich, lider PiS ocenia inne postawy jako „nihilizm”. Od tej wypowiedzi zdystansował się prymas Polski.

Trzecia perspektywa mieści się w przekonaniu: „BĄDŹMY ZAWSZE SOBĄ”. Znaczy to tyle, że nie tylko jesteśmy osobliwi, czy że jesteśmy różni od Zachodu, bo co do tego wątpliwości empirycznych nie ma, ale że te osobliwości gotowi jesteśmy celebrować, skupiając się na sobie, a jeśli trzeba, to zamykając się w sobie. Walczymy ze złem, jakim jest lub bywa tzw. Zachód jako liberalno-lewicowy. Zapominamy, że zwalczane przez nas ich rozwiązania instytucjonalne są tam przyjęte przez partie konserwatywne. Czasem mówi się, że nasze odmienności instytucjonalne, do których mamy prawo, są jedynie na użytek zewnętrzny, czyli że zakładamy, że oddzielamy się od Europy Zachodniej, co jest iluzją w dobie cywilizacji cyfrowej. Utrudnia to czasem promocję naszej kultury, która była i jest dla Zachodu atrakcyjna. Pojawia się w tej sytuacji zjawisko, które zdawałoby się jest poza nami po 1989 roku, mianowicie tzw. kultura oficjalna, namaszczona rządowo.

Powodem części naszych niepowodzeń jest to, że dostrzec można w tej perspektywie wiele resentymentu, który zwykle nie daje nadziei na zdrowe ułożenie relacji.

Nasze urazy mają często swoje dobre podstawy, ale nie można zakładać, aby mogły się one stać dobrym fundamentem dojrzałych relacji z Zachodem. Konieczna jest postawa krytyki Zachodu, ale zarazem wielkoduszności, otwartości i eksperymentowania. Taki dojrzały wzór zademonstrował wobec Niemiec, wbrew Gomułce, polski Kościół katolicki. Postawa ta okazała się owocna dla obu stron. A dla przypomnienia: po obu stronach było wiele autentycznego zaskoczenia.

W efekcie faktycznie ta perspektywa jest jakby krojona na konsumpcję wewnętrzną. I staje się czasem jednostronna, ale nie chcę powiedzieć, że jest nacjonalistyczna. Nacjonalizm można zresztą definiować pozytywnie, jak Fernando Savater: „Nacjonalizm jako poczucie przynależności jest czymś normalnym, jeśli oznacza przynależność do pejzaży, zwyczajów, rytuałów życia społecznego czy politycznego, kultury, języka, upodobanie do rzeczy znajomych, wśród których rosło się i dojrzewało. Powojenna Europa stała się przestrzenią integracji, zniesionych granic, otwartą dla pracy czy poruszania się. Dzisiaj wskutek kryzysu następuje ruch w stronę ponownego zamykania się w granicach, ograniczonych celach, bo »musimy bronić tego, co nasze«” (Savater, 2019, s. 8).

Ale nacjonalizm przybierać też może formy odpychające ludzi wtedy, kiedy stawia się swoich na szczycie jako monopolistów piękna, prawdy i sprawiedliwości. Pomysłowo opisał i wyjaśnia takie formy semiotyk i antropolog kulturowy, określając je jako turbopatriotyzm

Konieczna jest postawa krytyki Zachodu, ale zarazem wielkoduszności, otwartości i eksperymentowania. Taki dojrzały wzór zademonstrował wobec Niemiec, wbrew Gomułce, polski Kościół katolicki. Postawa ta okazała się owocna dla obu stron.

(Napiórkowski, 2019). Jego przejawami mogą być celebracje rocznic klęski, budowa pomników i muzeów. Widzimy czasem, kiedy przedstawia się nas jako zwyciężkich i zasłużonych, choć byliśmy przegranymi i nie zawsze mądrymi. Zaduma nad tragicznymi losami Polaków powinna uczyć, jak działać w nowych warunkach, a nie selektywnie upraszczać prawdy o przeszłości, bo wtedy trudniej pisać trafnie o dniu dzisiejszym. Po co mnożyć błędy z premedytacją.

Nie tylko pewna część systemu władzy, ale i kleru gotowa jest taką wizję polskości i europejskości upowszechniać. Potrafi czasem zdobywać dla niej poparcie, nawet wbrew rozsądkowi. Przykład: film braci Sekielskich o pedofilii w Kościele, którego robota dokumentacyjna nie została zakwestionowana w samym Kościele, w kampanii wyborczej do sejmu 2019 roku przedstawiany był często jako atak na Kościół. Był to atak, ale tylko na grzeszny Kościół, a nie na polski Kościół jako instytucję aprobowaną przez olbrzymią większość społeczeństwa ze względu na jej zasługi nie tylko w przeszłości, lecz i obecnie. Podobnie jest z odnoszeniem się do ludzi LGBT, do tzw. ideologii LGBT. Ci ludzie bronią się, być może czasami nadużywając różnych symboli, czym drażnią tradycyjnych katolików, ale zorganizowana walka z nimi odbiega od zachodnich standardów.

Opcja ta znajduje też rozwinięcia w kilku krajach UE. Na ogół w tonacji nacjonalistycznej, czy raczej prawicowego populizmu. Obecna jest dość silnie w Niemczech, we Włoszech, ale nie tylko. Tylko jednak na Węgrzech

Świat nie jest zaprogramowaną maszyną, a organizmem pełnym niepewności, kryzysów, porażek czy klęsk.

pod rządami Viktora Orbana jest oficjalną wizją państwa, mającą poparcie większości parlamentarnej. Obrona chrześcijaństwa przez kalwina Orbana jest oficjalnym elementem polityki państwa. W innych krajach autonomia czy separacja kościoła i państwa są skrupulatnie przestrzegane. Nie ogranicza się ta perspektywa do obro-ny chrześcijaństwa, ale także innych tradycyjnie definiowanych instytucji jak rodzina, do imigracji, a także do pomocy uchodźcom.

Każda z tych orientacji ma swoich orędowników. Pierwsza wyraźnie dominowała w początkach transformacji, druga wydaje się dominować obecnie, 30 lat po rozpoczęciu transformacji, a trzecia rośnie w siłę, ale trudno oczekiwać, aby miała kiedykolwiek dominować. Przedstawiam tutaj słowa, a nie czyny, wychodząc z przekonania, że bez nich te drugie nadchodzą z opóźnieniem, bywają często błędne, wymagają napraw. Wizja i strategia dają większe szanse niż zdawanie się na „jakoś to będzie”, choć nie wyeliminują kłopotów. Świat nie jest zaprogramowaną maszyną, a organizmem pełnym niepewności, kryzysów, porażek czy klęsk.

Przyszłość jest niepewna

Polska dokonała uznanego powszechnie skoku w górę w ostatnim trzydziestoleciu, zwłaszcza jeśli mierzyć go w podstawowych danych ekonomicznych. Dostrzeżono to poza Polską w początkach lat 90., ale dopiero Polska

jako „zielona wyspa” po kryzysie rozpoczętym w 2008 roku ostatecznie to potwierdziła. Dalsze lata oceny te jeszcze wzmacniały. W 2014 roku czołowy światowy brytyjski tygodnik „The Economist” stwierdził pochwalnie, że Polska znalazła się ponownie na poziomie z epoki jagiellońskiej, czyli przeżywa, powiedzielibyśmy, rodzaj renesansu. PiS, kiedyś zazdrosny o sukcesy poprzedników, obecnie coraz rzadziej powtarza swoje narzekanie o Polsce „w ruinie”. Ciesz się ta skromna metamorfoza.

Oceny te są obecnie powszechnie podzielane, choć podziały polityczne, które się mocno nasiliły, nie pozwalają o nich mówić pełnym głosem. Istnieją przecież zagrożenia mimo tych sukcesów. Przytoczę dwa rozumowania, które uważam za zasadniczo trafne, ale wychodzące z odmiennych punktów startowych. Mówi Henryka Bochniarz, przewodnicząca Rady Głównej Konfederacji Lewiatan: „W ciągu ostatnich 30 lat Polska odniosła historyczny sukces. PKB na głowę mieszkańca niemal się potroił, jest już wyższy niż w Grecji. Wkrótce możemy dogonić Portugalię. Nasz eksport wzrósł w tym czasie niemal 20-krotnie. Poprawiła się sytuacja na rynku pracy, bezrobocie należy do najniższych w Unii Europejskiej. Wzrosła jakość życia i zamożność Polaków [...] Ale nic nie jest dane na zawsze. Nie ma gwarancji, że w kolejnych latach będzie podobnie [...] Polska, Unia, współpraca globalna – wszystko stanęło pod znakiem zapytania, a świat polityki zmarniał. Nie ma wspólnej agendy, wspólnej wizji, wspólnoty celów. To groźne” (Bochniarz, 2019, s. A25).

Stanisław Gomułka pisze natomiast: „Pozycja Polski byłaby następująca: w wariantcie III (pesymistycznym) kraj przestaje zmniejszać dystans rozwojowy do krajów bogatych już za 10–15 lat z dochodem przeciętnym na mieszkańca ok. 65 proc. dochodu mieszkańca Niemiec (bez d. NRD). W wariantach I (optymistycznym) i II (standardowym) zmniejszanie luki rozwojowej trwa do 2040 roku, kiedy przeciętny dochód w Polsce wynosiłby 70–75 proc. dochodu w Niemczech (bez d. NRD) w wariantcie II i 80–85 proc. w wariantcie I” (Gomułka, 2019, s. A25). Następne pokolenie według tego ekonomisty nie może być pewne tego, że znajdzie się na poziomie Zachodu.

Mapy drogowe do lepszej przyszłości: czyżby każdy miał rację?

Świat, w którym żyjemy, pozostaje światem niepewności, tzw. nieergodycznym, jak dowodził D.C. North. Pojawiają się pytania o warunki, jakie trzeba spełniać, aby nowym wyzwaniom umieć lepiej dawać sobie radę. Choć każdy podręcznik historii gospodarczej informuje, jak w 5–6-wiekowej przeszłości kapitalizmu przesuwało się jego epicentrum, to równocześnie mapy drogowe, które mają wieść ku lepszej przyszłości, wyglądają zasadniczo podobnie. Czynniki brane pod uwagę mogą być różne, ale wszyscy starają się polecać to, co można znaleźć u najlepszych, u liderów rankingów takich czy

innych. Są odstępstwa, ale coraz rzadsze. Gdy pojawił się keynesizm z jego receptami na zarządzanie popytem w celu poprawienia koniunktury, to niemal wszyscy w ten bęben uderzali przez 30–40 lat, a jak potem pojawił się neoliberalizm, to stadne zachowania i działania przyjęły odwrotną postać: zarządzania podażą, zwłaszcza pieniądza.

Niewielu ekonomistów podzielało zdanie Dani Rodrika, że jest „jedna ekonomia, wiele recept” (Rodrik, 2011). Życie pokazuje, że dziś, podobnie jak kiedyś, zalecane strategie jako uniwersalne gwarancje nigdy pełnego sukcesu nie zapewniają, że wskazują jedynie kierunki poszukiwania skutecznego działania, w sumie – są listą określonych prawd dnia dobrych dla określonego państwa czy regionu. Niepewności jest tak wiele, że o praktycznej efektywności decyduje tak wiele uwarunkowań, że tylko *ex post* da się wszystko ładnie uzasadnić. Realne mapy drogowe okazują się w końcu odmienne.

Zacznę dla przykładu od cytowanych wyżej dwojga polskich ekonomistów. Przy jednym stole łatwo godziliby się oni zapewne ze sobą, ale w swoich tekstach napisanych dla tej samej gazety, opublikowanych dzień po dniu, swoje wywody zaczęli od odmiennych akcentów. Także spore są różnice emocji, jeśli sądzić po słowach. Stanisław Gomułka swoje wywody rozpoczyna od uwarunkowań rozwoju gospodarczego od czynników technologiczno-ekonomicznych: „W światowej czołówce technologicznej – USA, Europie Zachodniej i Japonii – o innowacyjności decyduje globalny strumień inno-

wacji najnowszej generacji, który zależy od wielkości światowego sektora badań i rozwoju (R&D), a tylko w umiarkowanym stopniu od inwestycji w gospodarkach narodowych. W efekcie trend tempa wzrostu PKB na mieszkańca różni się w tych krajach tylko nieznacznie. Przez ostatnie dwa wieki to tempo było stabilne 1,0–1,5% rocznie” (Gomułka, 2019).

Kraje doganiające mogą korzystać z dorobku bardziej technologicznie zaawansowanych krajów. Z pewnością Polska należy do takich krajów, ale sama na badania i rozwój wyraźnie pieniędzy skąpi. To podejście jest wprawdzie standardem analiz ekonomicznych w świecie, ale widać, że autor poszukuje rozwiązań długofalowych dla Polski, a poświęca się im mało uwagi. Taka jest misja jego tekstu. Zawiera pewne akcenty dotyczące wagi jakości instytucji społeczno-politycznych. Wszystkie uwagi są prowadzone w tonacjach umiarkowanych.

Inaczej zaczyna Henryka Bochniarz: „Brak pracowników to dziś największa bariera wzrostu. Umiejętności i wiedza absolwentów szkół i uniwersytetów nie nadążają za potrzebami współczesnej gospodarki. Powstała i jest utrwalana ogromna luka kompetencyjna. Trzeba nam umiejętności społecznych, projektowych, zdolności szybkiego uczenia, znajomości świata cyfrowego, chęci pracy w zespole, innowacyjności, praktycznej nauki zawodu. Bardzo niewiele jest szkół, które tak uczą i wychowują. Mamy za to w programach trylogie, romantyków, historie powstań, bardzo niewiele gospodarki, żadnych treningów umiejętności społecznych, komunikacyjnych”

[Polska jest krajem ambitnej półperyfe-
ryjnej gospodarki rynkowej.]

(Bochniarz, 2019). To podejście jest standardem w polskiej publicystyce ekonomicznej. Autorka zaczyna jakby od dołu, bo tak można patrzeć na rynek pracy w porównaniu do wcześniejszego ujęcia technologiczno-ekonomicznego. Miliony Polaków wyjechały, do nas przybywają ludzie z Ukrainy i innych krajów. Stwarza to nowe wyzwania. Autorka pisze z perspektywy bezpośrednich decyzji podejmowanych w firmach. Tekst dotyczy spraw jakby bieżących, ale nie przeszkadza to autorce czynić uwagi o problemach-wyzwaniach, o jakich pisał S. Gomułka. Autorka posługuje się mocniejszymi sformułowaniami, zwłaszcza na temat niskiej jakości instytucji odpowiedzialnych za rozwój. Docenia konteksty naszych wyzwań, np. płynące z otoczenia międzynarodowego, których, jak dotąd, dostatecznie nie uwzględniamy, m.in. wejście do strefy euro.

Uwaga ogólna: jakiegokolwiek opracowanie weźmiemy do ręki, spotkamy różne punkty startowe w patrzeniu na to, jak najszybciej doganiać można Zachód, a dalej pojawia się zbieżność lub identyczność tez, na koniec – nadzieja, że szybciej moglibyśmy się zbliżyć do Zachodu niż obecnie, jeśli spełnimy takie to a takie warunki. Autorzy obu tekstów unikają używania pojęcia zacofania, co jest chyba słuszne, bo jakże wiele państw jest niżej niż my! Nie używają też pojęcia peryferii, choć mnie ono nie razi. Polska jest, moim zdaniem, krajem ambitnej półperyferyjnej gospodarki rynkowej. Ponieważ ostatnio swój status szybko poprawiamy, to nie ma powodu, aby nie wskazywać, jaką drogę przebyliśmy

z sukcesami, czyli jak potrafimy być ambitni realistycznie. Raport *The Global Competitiveness Report* (2019) informuje o utrzymaniu przez Polskę 37. miejsca pod względem konkurencyjności na 141 ocenianych gospodarek. W kategorii „jakość instytucji” zajęliśmy jednak dopiero 60. miejsce, a w podkategorii „niezależności sądownictwa” miejsce 118.

Ekonomiści potrafią się bardzo różnić między sobą. To normalne w nauce. Różnił się Marks od Smitha (choć wiele brał od tego ostatniego), neomarksyści od liberałów, socjalliberałów, i neoliberalów kolejnych pokoleń. Tak pozostanie. Popatrzmy na mapy drogowe Thomasa Piketty'ego, który najpierw napisał grubą książkę o nierównościach (*Kapitał w XXI wieku*), a obecnie kolejną, jeszcze grubszą, o tym, jak znosić nierówności (*Kapitał i ideologia*). Postuluje 90% podatek dla najbogatszych i *de facto* wywłaszczenia, z nadzieją, że kończyłoby to żywot tego kapitalizmu, jaki znamy, a może kapitalizmu w ogóle. Nikt nie kwestionuje, że nierówności rosną, że znowu są niemal tak wielkie, jak w 1914 roku, kiedy druga fala globalizacji kończyła się zbiorowym samobójstwem wojen światowych. Wiadomo, jak wielkie i rozliczne negatywne konsekwencje mają nierówności społeczno-ekonomiczne. Na przykład, rozkład klas średnich, które uważane są za ostoję ładu i porządku społecznego. Wniosek Piketty'ego jest tak radykalny, że nie mieści się w spektrum działania obecnie funkcjonujących na świecie systemów polityczno-ekonomicznych. Kapitalizm był wielokrotnie w przeszłości skazy-

wany na upadek, a kryzysy dotykały go niemal cyklicznie, a mimo to przetrwał. Jego metamorfozy dobrze świadczą o fundamentach, na jakich jest zbudowany, choć denerwują one radykałów, prowadzą ich do haseł utopijnych. Kapitalizm nauczył się korzystać z krytyki nawet brutalnej, bo na nią zasługuje, ale czy zasługuje na śmierć – to inne pytanie. Kolejne publikacje Piketty'ego wzbudzają w świecie polemiki, choć nie tylko on pisze interesująco o nierównościach (zob. Atkinson, Sen).

Są też inne warunki powodzenia, które w świecie są oceniane jako priorytetowe, ale w Polsce są raczej zaniedbane. Na przykład, kwestie ekologii zdobywają szturmem uznanie jako ważne. Polska w tej sferze jest spóźniona i zachowuje się tak, jakby to opóźnienie ją niewiele martwiło. Stosunek do węgla jest w Polsce odmienny niż w całej UE, jak wyżej pisałem, co oceniane jest negatywnie w UE. Nasze dylematy w tym zakresie mają swoje realne przyczyny: węgiel to nasze narodowe bogactwo. Pojawia się kwestia kalkulacji zysków i strat, jeśli przedłużać będziemy zbyt długo swój upór w korzystaniu z węgla.

Dostosowania nieuchronne, ambicje niezbędne

W ramach trzeciej fali globalizacji, która miała oblicze neoliberalne, obowiązywała zasada TINA (*There is no alternative*), która przybrała postać 10 tez konsensusu

waszyngtońskiego. Świat, do którego budowy się ona przyczyniła, oceniany jest obecnie często negatywnie lub bardzo negatywnie. Zacytujmy, co pisze się o najbardziej sławnych bohaterach tejże fali – o wielkiej czwórce, czyli firmach Amazon, Apple, Facebook i Google. Scott Galloway w swojej książce o nowej codzienności cywilizacji cyfrowej, która dotarła także do Polski, pisze następująco: „Wielka czwórka manifestuje swoją boskość, miłość, seksualność i konsumpcję, codziennie przysparzając korzyści miliardom indywidualnych istnień ludzkich. Przedsiębiorstwa te nie są jednak zainteresowane stanem naszych dusz, nie zaopiekują się nami na starość ani nie przytrzymają nikogo za rękę. Są organizacjami, które skupiły nieprawdopodobną władzę. Władza korumpuje, zwłaszcza w środowiskach skażonych tym, co papież nazywa „idolatrią pieniądza”. Firmy te unikają płacenia podatków, naruszają naszą prywatność i niszczą miejsca pracy, aby powiększyć zyski, ponieważ... mogą to robić” (Galloway, 2018, s. 321). Autor dodaje, że General Motors czy IBM dawały pracę setkom tysięcy ludzi, a ich zdobycze były „wypracowane uczciwiej, niż robi się to dzisiaj” (Galloway, 2018, s. 322).

Dlaczego przytaczam ten cytat? Otóż nasza reforma pod kierunkiem Leszka Balcerowicza odbywała się w kontekście neoliberalnej globalizacji i wpisywała się w jej paradygmaty myślenia, a także wdrażała jej instytucjonalne pomysły. W wielkim świecie Zachodu taka właśnie, jak wyżej, była ówczesna normalność. Tego zachodniego kontekstu nie przyjąć nie mogliśmy, przed

chwilą porzuciwszy skompromitowany system komunizmu.

Jesteśmy 30 lat później. Wiemy już, że nie wystarczy przyjmować perspektywę „Jak?”, że trzeba się zimno zastanawiać „Kiedy warto?”. Idąc czasem w kierunku przyjmowania perspektywy „Bądźmy sobą”, musimy jednak uważać, żeby ambicje nie zjadły rozsądku. Władze państwa w dyskursie publicznym starają się co prawda stać na gruncie realizmu, ale nasze postępowanie zraża czasem do nas ludzi i instytucje w UE. Władze mają społeczne poparcie, ale może ono się ulotnić wraz z pogorszeniem się sytuacji ekonomicznej. Dlatego pozostaje w nas zawsze nakaz uporczywego szukania pomysłów dzięki wyobraźni, jaką dysponujemy, a następnie instytucjonalne eksperymentowanie, by pomysły wprowadzić w życie.

Bibliografia

- Bochniarz, H. (2019). Kluczowe wyzwania dla polskiej polityki. *Rzeczpospolita*, 20 września.
- Galloway, S. (2018). *Wielka Czwórka. Ukryte DNA: Amazon, Apple, Facebook i Google*. Poznań: Dom Wydawniczy Rebis.
- Gomułka, S. (2019). Szanse na dogonienie Zachodu. *Rzeczpospolita*, 19 września.
- Jedlicki, J. (1988). *Jakiej cywilizacji Polacy potrzebują*. Warszawa: PWN.
- Kochanowicz, J. (2010). Polska w epoce nowoczesnego wzrostu gospodarczego. W: W. Morawski (red.), *Modernizacja Polski*. Warszawa: WAIp.

A historia toczy się dalej

- Napiórkowski, M. (2019). *Turbopatriotyzm*. Wołowiec: Wydawnictwo Czarne.
- Rodrik, D. (2011). *Jedna ekonomia, wiele recept. Globalizacja, instytucje i wzrost gospodarczy*. Warszawa: Wydawnictwo Krytyki Politycznej.
- Savater, F. (2019). Mimo wszystko jest nam lepiej. Rozmowa Macieja Stasińskiego, *Gazeta Wyborcza*, 12–13 października.
- Szymański, K. (2019). Polskie interesy są bezpieczne. *Rzeczpospolita*, 20 września.
- The Global Competitiveness Report* (2019). World Economic Forum.

[10]

Jak badać kapitalizm
w Polsce?

Interesy ekonomiczne
są zawsze konstrukcją
kulturową

Cele¹

Intencje, jakie mi przyświecają w tym artykule, są cztery:

- Po pierwsze, przybliżyć samo pojęcie kapitalizmu, które funkcjonuje w dyskursie publicznym w Polsce jakby wstydliwie, od początku transformacji ustrojowej rozpoczętej w 1989 roku – najpierw z powodu terapii szokowej w duchu neoliberalizmu, a od 2015 roku z powodu naprawiania szkód wyrządzonych społeczeństwu poprzez transfery socjalne. Mamy kapitalizm, tyle że widzimy, że jego oblicza mogą być różne.
- Po drugie, przypomnieć historię instytucjonalnego rozwoju kapitalizmu w naszym otoczeniu cywilizacyjnym, aby porównawczo wyjaśniać przyczyny naszego zapóźnienia gospodarczego i wskazać na pewne zewnętrzne czynniki sprzyjające peryferyzacji naszej gospodarki, a obecnie – paradoksalnie – sprzyjające pokonywaniu zapóźnienia.

¹ Rozdział ten ukazał się w wersji anglojęzycznej w 2019 roku: Researching Capitalism In Poland: Economic Interests As A Cultural Construction. *Journal of Management and Business Administration, Central Europe*, 27(1).

- Po trzecie, szukać przyczyn odwoływania się do kategorii kulturowych w wyjaśnianiu osobliwości naszego rozwoju. Teorie wzrostu czy rozwoju ekonomiczno-społecznego do tego nie wystarczają, trzeba odwołać się konceptu tzw. drugiej Europy, której jesteśmy ważną częścią.
- Po czwarte, wprowadzać do analiz relacji gospodarka–polityka–społeczeństwo kategorie społeczno-kulturowe. Przyjmuję zatem, że decyzje ekonomiczne są zawsze konstrukcjami społecznymi. Polskie społeczeństwo, jak każde inne, rozwija różne kultury życia społecznego. Korzystając z typologii angielskiej antropolog Mary Douglas i amerykańskiego politologa Aarona Wildavsky'ego, zajmuję się tym, jak funkcjonują cztery kultury w USA i w Polsce: hierarchicznego kolektywizmu, egalitaryzmu (równości warunków życia; solidaryzmu), indywidualizmu (liberalnej równości szans) i fatalizmu (autorytaryzmu, apatii). Kultury dzielą ludzi, ale wiemy też, że doświadczenie uczy ludzi możliwości kulturowego pluralizmu, czyli budowania koalicji kultur.

Kapitalizm: pierwsze przybliżenie pojęcia

Korzystam z pojęcia „kapitalizm”, które niesie odmienne treści dla różnych ludzi. Jedni wiążą je z wyzyskiem,

a przynajmniej z nieusprawiedliwionymi nierównościami społeczno-ekonomicznymi, drudzy – odwrotnie – z mechanizmami pomnażania bogactwa materialnego i stwarzaniem ludziom korzyści dotąd im nieznanych. Można też na to pojęcie spojrzeć w duchu skalającym. Przykładem takiej wypowiedzi jest to, co pisze Meghnad Desai: „Mimo przyrostka – »izm«, pojęcie »kapitalizm« nie odsyła nas ani do ideologii, ani do jakiegoś ruchu na jej rzecz, ale do układu instytucji ekonomicznych i prawnych, które łącznie umożliwiają produkcję rzeczy z myślą o prywatnym zysku w ramach normalnej organizacji ekonomicznej” (Desai, 2001, s. 108). Można też nadać pojęciu „kapitalizm” neutralny sens etyczny, oceniając, że kapitalizm nie jest moralny czy anty-moralny, że jest amoralny (Comte-Sponville, 2012, s. 135–141).

Najczęściej ujęcia kapitalizmu dzielą ludzi zbyt mocno, wobec czego zgłaszane są pojęcia bardziej ekumeniczne, jak np. gospodarka rynkowo-prywatna, wysoko rozwinięta gospodarka, epoka nowoczesnego wzrostu gospodarczego. Przystaje się na określenie „kapitalistyczna liberalna demokracja”, a wtedy pojawia się mocna sugestia, że świat szybko zbliża się do ery pełnej szczęśliwości, zwanej „końcem historii” (Fukuyama, 2001, s. 201–203). Takie naiwności są po jakimś czasie odrzucane i w końcu wielu autorów używa obu pojęć: „kapitalizm” i „gospodarka rynkowa”, ale z akcentem na nieco różne aspekty tego samego zjawiska. Na przykład, dla historyka gospodarczego Fernanda Braudela gospo-

darka rynkowa to gospodarka codziennej wymiany „bez niespodzianek”, w której każdy zna „z góry reguły i cele”, a kapitalizm to coś zupełnie innego, gdyż charakteryzuje się wyrafinowaną wymianą z ostro konkurencyjnymi firmami i ma „za podstawę monopole” (Braudel, 2013, s. 141–143). Rynek u tego autora jest „ukrytym życzliwym bogiem, czy »niewidzialną ręką« w sensie Adama Smitha” (Braudel, 2013, s. 57), a kapitalizm jest czymś, co przychodzi z góry i z zewnątrz i brzydko nas podporządkowuje; jest systemem licznych asymetrii i związanych z nimi niepewnością, ryzykiem i kryzysami.

Polacy dostrzegają, że kapitalizm rodzi napięcia i podziały społeczne, dlatego od 1989 roku pojęciem tym posługują się jakby wstydliwie, czy raczej wstrzemięźliwie. Jedni wiązali to z tzw. terapią szokową, czyli z implementacją neoliberalnego modelu, który jest mocno krytykowany w świecie od kryzysu 2007–2008, a w Polsce od dojścia do władzy PiS w 2015–2016. Uważają, że odwoływanie się do uniwersalnej logiki rynków ekonomicznych, działających w skali globalnej, jest często sprzeczne z interesami państwa narodowego (stąd hasła protekcjonizmu gospodarczego, patriotyzmu ekonomicznego), a nawet z demokracją, która miałaby rozciągać parasol opieki socjalnej nad tymi ludźmi, których rynek spycha na margines.

Nowa retoryka, która się pojawiła po kryzysie 2007–2008, nie może bez końca nawoływać do rezygnacji z korzystania ze współzależności regionalnych i globalnych. Osłabiałyby to realizację interesów ekonomicz-

Polacy dostrzegają, że kapitalizm rodzi napięcia i podziały społeczne, dlatego od 1989 roku pojęciem tym posługują się jakby wstydliwie, czy raczej wstrzemięźliwie. Uważają, że odwoływanie się do uniwersalnej logiki rynków ekonomicznych, działających w skali globalnej, jest często sprzeczne z interesami państwa narodowego (stąd hasła protekcjonizmu gospodarczego, patriotyzmu ekonomicznego), a nawet z demokracją, która miałaby rozciągać parasol opieki socjalnej nad tymi ludźmi, których rynek spycha na margines.

nych starych i nowych graczy na arenie rynkowej, która coraz rzadziej jest tylko lokalna czy narodowa. Nie sprzyjałoby to także realizacji tych wartości, jakie ujawniają ludzie pobudzeni politycznie, choć ich aktywność ma często oblicze populistyczne. Dlatego pojawia się wiele nowych redefinicji sytuacji. Podobnie jak w przeszłości Wielka Brytania nie mogła zapobiec pojawieniu się potęgi Niemiec, a potem USA, tak obecnie USA nie są w stanie zapobiec umacnianiu się potęgi Chin czy lekceważeniu UE i innych mniejszych graczy gospodarczo-politycznych (Kotkin, 2018).

Stare hierarchie a kapitaliści

Aby kapitalizm był kapitalizmem, potrzebuje kapitalistów. Ich liczba rosła tym szybciej, im łatwiej było o zgodę na ich włączenie w życie publiczne przez dotychczasowy porządek społeczny. Następowало to powoli od XVI wieku, kiedy to pojawia się tzw. kapitalizm handlowy. Adam Smith w swoim dziele *O bogactwie narodów*, wydanym w 1776 roku, posługiwał się pojęciem „republiki handlowej”. Pojęcie kapitalizmu pojawia się po raz pierwszy dopiero w 1854 roku u angielskiego pisarza Williama Makepeace Thackeraya, autora książki *Targowisko próżności*.

Kapitalizm handlowy rozwijał się równoległe ze starymi strukturami feudalnymi, które na ogół mu sprzyjały, choć nie wszędzie jednakowo na Zachodzie, np.

w Hiszpanii – nie sprzyjały, a w Anglii – sprzyjały. W Polsce i w krajach Europy Wschodniej procesy te były wyraźnie hamowane. Kapitalizm wymagał powoływania instytucji stanowiących zabezpieczenie dla kapitalistów. Takie instytucje funkcjonowały w całej niemal Europie Zachodniej z końcem XVIII wieku, a z pewnością w XIX wieku. Nazywamy je demokracją. Zauważmy, że kapitalizm pojawił się wcześniej niż demokracja, co pozwala ujmować te procesy w następującej sekwencji przyczynowo-skutkowej: kapitalizm to wstępny warunek demokracji, gdyż to kapitalizm potrafił „wyprodukować” tylu demokratów, że potrafili oni utrzymać demokrację. Z przerwami jednak, bo demokracje znikaly na jakiś czas, np. w latach 30. XX wieku i po II wojnie światowej.

Jak doszło do powstania kapitalizmu? Dla jednych jest on dziełem praw czy sił historii, które przedstawia się jako racjonalne czy postępowe. Na przykład Weber akcentuje rolę religii i kultury, a Marks podkreśla decydujące znaczenie interesów społeczno-materialnych. Dla innych odwrotnie – kapitalizm nie jest dziełem sił postępu, a raczej dość przypadkową konsekwencją usunięcia barier, które wcześniej przeszkadzały dbałości o pomnażanie bogactwa przez nowe warstwy, np. mieszczaństwo. Bariery te usuwano faktycznie powoli. Najważniejsze były gwarancje prawne dla nowych typów własności prywatnej. Mogły być one trwałe tylko wtedy, kiedy pojawiały się instytucje zapewniające reprezentację i uczestnictwo polityczne dla nowych warstw, czyli

parlament, niezależne sądownictwo, trójpodział władzy, wolna prasa. Ich budowa zajęła wiele czasu.

O jakie nowe warstwy społeczne chodzi? O te, które w społeczeństwach feudalnych mieszczą się między szlachtą i arystokracją a chłopstwem, czyli tzw. stare klasy średnie: kupcy, mieszczaństwo, ludzie rzemiosła, burżuazja, bogaci chłopi. Ich rodowód jest często starszy niż kapitalizm, ale ich polityczne wchodzenie na scenę zaczyna się od XVI wieku. Na Zachodzie odbywa się to o wiele szybciej niż w Europie Wschodniej, a procesy te przyspieszają wtedy, kiedy nowe sposoby pomnażania bogactwa stają się oszałamiające. Takie przypadki związane są najczęściej z działalnością kapitalistów handlowych, których przedsięwzięcia wiązały się zwykle z wielkim ryzykiem. Widać to dobrze w wyprawach kupieckich w XVII wieku organizowanych w Anglii i Holandii po rzadkie specjały kuchenne do krajów Azji Południowo-Wschodniej. Wystarczy zapoznać się z wyprawami English East India Company i Dutch East India Company (Fulcher, 2015). To były emblematyczne instytucje kapitalizmu handlowego tamtych czasów, a miały one na koncie wielkie sukcesy finansowe, a także spektakularne porażki, na przykład kiedy statki padały ofiarą napadów i przeróżnych innych okoliczności.

Stare porządki ufundowane były na względnie prostych podstawach: na górze – funkcjonowały klasy wyższe: panowie feudalni (szlachta, arystokracja, biskupi), czyli najczęściej szlachetnie urodzeni, wśród których praca czy zajmowanie się pieniędzem nie należały do

najwyżej cenionych wartości, a na dole – chłopstwo, zwykle traktowane źle, choć w niektórych krajach Europy chłopci funkcjonowali jako ludzie wolni. Powstawały rozmaite konfiguracje relacji klas wyższych ze średnimi, a z czasem nawet z niższymi. Przyspieszenie erozji starych porządków następuje wraz z uprzemysłowieniem, a faktycznie od lat 20. XIX wieku, kiedy to zaczyna się nowoczesny wzrost gospodarczy. Pojawiają się liczniejsze klasy średnie. Najważniejsi stawali się wówczas kapitaliści przemysłowi.

Nowe siły społeczne musiały znaleźć uznanie w ramach starych hierarchii własności–bogactwa, władzy–polityki i kultury–prestżu. Nie odbywało się to bez napięć i konfliktów. Na scenę często wkraczała siła. Co było atrakcyjnego w nowych siłach społecznych? Przypomnę najpierw, że dobre mniemanie o warstwie średniej miał w starożytności Arystoteles, dostrzegając w niej umiar i rozsądek. W określonych okolicznościach względy tego rodzaju miały swoje znaczenie, ale to było za mało. Wiadomo, że np. w warunkach zagrożenia demograficznego po wielkiej dżumie, która pochłonęła wiele ofiar, czasem 1/3 do 1/2 populacji (począwszy od 1346–1350), bodźce ekonomiczne (spieniężanie pracy najemnej, głównie chłopów) stawały się sposobem na sprzyjanie rozwojowi enklaw kapitalizmu (North i Thomas, 1973).

Fernand Braudel pisał o przesunięciach w ramach hierarchii następująco: „Być i nie być kapitalizmu jest uzależnione od jego konfrontacji z hierarchiami spo-

łecznymi. Każde społeczeństwo obejmuje kilka hierarchii, niejako schodów pozwalających opuścić parter, na którym wegetują masy – Gruntvolk Wernera Sombarta: obejmuje mianowicie hierarchię religijną, polityczną, militarną, różne hierarchie finansowe. Zależnie od epoki i miejsca hierarchie te są w opozycji do siebie nawzajem, zawierają kompromisy lub sojusze, niekiedy panuje zamęt” (Braudel, 2013, s. 87). Łamano zasady zastanej hierarchii na wiele odmiennych sposobów, a wśród nich na szczególną uwagę zasługują te, w których istniała możliwość łączenia hierarchii i wolności w ramach rządów prawa, to jest stopniowego poszerzania wolności dla warstw znajdujących się poniżej arystokracji i szlachty. W Anglii Magna Charta Libertatum funkcjonująca od 1215 roku gwarantowała ludziom pewne prawa, czyli elementy wolności w ramach tego, co określa się jako rządy prawa. Po Chwalebnej Rewolucji (1688) English Bill of Rights stały się częścią rozwiązania konstytucyjnego (Sandoz, 2001, s. 74–75).

Polskie drogi do kapitalizmu były inne niż te, których dopracował się Zachód. Dlatego potrzebna jest perspektywa porównawcza, która rozszerza liczbę elementów, jakie przyczyniały się do kształtowania kapitalizmu. Tych elementów jest wiele, ale na przykład, Max Weber uprzywilejował cztery przyczyny–warunki jego powstania: państwo biurokratyczne, prawa obywatelskie, przewidywalne prawo i niedualistyczną etykę ekonomiczną, czyli protestantyzm (Collins, 1986, s. 28). Skorzystać z tego ujęcia jest łatwo, ale niczego ono nie

przesądza, bo kapitalizm w Polsce jest efektem działania zarówno ogólnych okoliczności, określimy je jako „uniwersalne”, jak i partykularnych, swojskich.

Instytucjonalne wzory kapitalizmu

Pierwszy to wzór anglosaski, ale ma on dwa warianty mocno ze sobą powiązane: angielski i amerykański. We wzorze amerykańskim jest wiele zapożyczeń z rozwiązań angielskich. Charakterystyczną rysą tego całego wzoru była dość wysoka gotowość klas wyższych do nadawania praw nowym siłom społecznym, zawsze jednak pod warunkiem, iż nie będą one podważać dotychczas funkcjonującego systemu. Modyfikacje dominacji – to możliwe, ale nie ma zgody na obalenie tejże dominacji.

Feudalizm europejski był na ogół systemem władzy zdecentralizowanej, choć w Anglii feudalizm był scentralizowany (North, 1997, s. 86–108). Sprzyjało to np. rozwojowi rolnictwa rynkowego. Ważną cechą tego wzoru była rola państwa, które zapewniało pojawienie się przewidywalnych rządów prawa: w Anglii – tak, ale w Hiszpanii – nie (North, 1997, s. 86–108). Mimo wszystko rola państwa nie była tak duża w tym wzorze, jak w krajach później wchodzących na drogę kapitalizmu. Wzór ten, dziś czasem określanymi jako klasyczny, ukształtował się w Anglii wcześniej niż gdzie indziej. Przełomowym momentem okazała się Chwalebna Rewolucja w okresie 1688–1689, która polegała na zamia-

nie monarchii absolutnej na monarchię konstytucyjną w wyniku trójporozumienia między królem, parlamentem a kupcami. Wyrażało się to głównie instytucjonalnym zabezpieczeniem praw własności jako pierwszego elementu wolności jednostki.

Na zasadzie „ścieżki zależności” wzór ten przejęły Stany Zjednoczone, modyfikując go (North, 1997). W USA istniało niewolnictwo aż do drugiej połowy XIX wieku, ale nie przeszkodziło to powstaniu państwa o charakterze zasadniczo demokratycznym już w momencie uzyskiwania niepodległości. „Nowe” w obu tych wzorach, nazywane później liberalizmem, współwystępowało względnie spójnie ze „starym” konserwatyzmem, wzajemnie się dopełniając. Drogę tę określić można jako konserwatywno-liberalną, choć państwa te stały się w XIX i XX wieku twarzami liberalizmu w wersjach imperialnej i hegemonicznej.

Że sprawy nie musiały się tak potoczyć wszędzie na Zachodzie, pokazuje przypadek Francji, w której rozwój kapitalizmu oparty został na doświadczeniach rewolucyjnych. W końcu XVIII wieku mieszczaństwo weszło tam w wielki konflikt z reżimem monarchii absolutnej, zbędnie, jak dowodzi arystokrata Alexis de Tocqueville: burżuazja i różne „nowe siły” zdążyły przed rewolucją utworować sobie ścieżki rozwoju. Tenże autor pisał: „W 1789 roku Francuzi dokonali największego wysiłku, na jaki kiedykolwiek zdobył się lud, ażeby przeciąć swój los na dwoje i oddzielić przepaścią to, czym byli do tej pory, od tego, czym chcieli być od tej chwili [...]. Mimo-

W Polsce po 1989 roku zwalcza się tzw. *homo sovieticus* jako tzw. złogi komunistyczne, czy jako zbędne „ruiny” przeszłości. Zawsze tymczasem elementy „starego” pozostają wszędzie w społecznej tkance „nowego”. Zmiana społeczna przypomina operację reperatury statku na pełnym morzu, gdzie nie ma dostępu do suchego doku. I nie pozostaje nic innego, jak korzystać z zasobów zastanych (wielokrotnie przywoływana analogia). Pęta przeszłości usuwać trzeba, ale ze zrozumieniem i z dystansem, o ile dyskutantów i polityków na to stać? Ludzi ponosi często żar rewolucji lub ideologii, choć wiadomo, że opcja zero jest zawsze utopią. Przeciwiczone to tragicznie w rewolucjach francuskiej i rosyjskiej w kontraście do ewolucyjnej raczej drogi Anglii i USA.

wolnie zatrzymali z dawnego ustroju większość uczuć, przyzwyczajzeń, a nawet poglądów, z pomocą których przeprowadzili obalającą ten ustrój rewolucję, i że mimo woli posłużyli się jego gruzami przy budowie gmachu nowego społeczeństwa” (Tocqueville, 1970, s. 35).

Zapamiętajmy te uwagi na nasz użytek wewnętrzny, bo w Polsce po 1989 roku zwalczą się tzw. *homo sovieticus* jako tzw. złogi komunistyczne, czy jako zbędne „ruiny” przeszłości. Zawsze tymczasem elementy „starego” pozostają wszędzie w społecznej tkance „nowego”. Zmiana społeczna przypomina operację reperacji statku na pełnym morzu, gdzie nie ma dostępu do suchego doku. I nie pozostaje nic innego, jak korzystać z zasobów zastanych (wielokrotnie przywoływana analogia). Pęta przeszłości usuwać trzeba, ale ze zrozumieniem i z dystansem, o ile dyskutantów i polityków na to stać? Ludzi ponosi często żar rewolucji lub ideologii, choć wiadomo, że opcja zero jest zawsze utopią (Offe, 1996, s. 3–57). Przeciwczono to tragicznie w rewolucjach francuskiej i rosyjskiej w kontraście do ewolucyjnej raczej drogi Anglii i USA.

Trzeci to wzór niemiecki, czyli wzór spóźnionego budowania kapitalizmu (w stosunku do Wielkiej Brytanii czy Francji). Określany jest ten wzór jako „droga pruska”. Kształt kapitalizmowi nadawali w niej junkrzy plus burżuazja z wielkim udziałem państwa, o wiele większym niż w Anglii czy w USA. Państwo konserwatywnego kanclerza Bismarcka pełniło swoją funkcję wielo-wymiarowo, np. decydowało się zacząć budować zręby

tego, co dziś kojarzymy z *welfare state*. Bismarckowi chodziło, z jednej strony, o zasypywanie podziałów, jakie rodził kapitalizm, a które wykorzystywała rosnąca w siłę socjaldemokracja, a z drugiej – o integrację mas ludzi przybywających do miast pod hasłami narodowymi. Nie udało się to, o czym pisała Hannah Arendt (Arendt, 1993).

Czwarty wzór to Rosja, która włącza się do wyścigu jeszcze później. Francja przeżywa rewolucję w 100 lat po angielskiej Chwalebnej Rewolucji, a Niemcy później o kolejne 100 lat. Dla Rosji nawet kolejne blisko 100 lat było nadal za wcześnie. Dopiero w warunkach stworzonych przez I wojnę światową dochodzi do rewolucji i stare klasy wyższe zostają siłą odsunięte od władzy. Nazwano to rewolucją, choć wydarzenia te miały wiele znamion zamachu stanu wykonanego przez partię jako broń organizacyjną (Selznick, 1960). Zadanie uprzemysłowienia i modernizacji państwa wzięła na siebie partia bolszewicka, która realizowała to w sposób brutalny przez wielce scentralizowane planowanie centralne uzupełniane nakazowo-rozdzielczym zarządzaniem. Odbywało się to w ramach systemu władzy zwanego lewicowym totalitaryzmem. Zadanie wykonano, ale kosztami tak wielkimi, że po 74 latach system implodował, przegrywając konkurencję z kapitalizmem zachodnim. Umożliwiło to podjęcie przez nomenklaturę partyjno-państwową zadania wznowienia budowania kapitalizmu po 1991 roku. Ilustrują to nazwiska liderów transformacji postkomunistycznej: Jelcyna i Putina.

W kontekście Rosji przypomnieć warto odmienne zachowanie starej klasy wyższej w Japonii, która potrafiła się sama zdobyć na rewolucję za czasów cesarza Meiji Tenno (1868–1912), czyli w mniej więcej tym samym czasie, co Niemcy.

Osobliwości polskiej przeszłości gospodarczej

Andrzej Nowak opublikował fragment tomu IV *Dziejów Polski. Trudny złoty wiek, 1468–1572* (Nowak, 2019), w którym ostro kwestionuje ustalenia zarówno zagranicznych, jak i wielu krajowych badaczy systemu folwarczno-pańszczyźnianego w Polsce, choć niektóre stanowiska, zwłaszcza polskie, zdaje się usprawiedliwiać. Nie będę rekonstruował całości rozumowania, wybieram jedynie kilka wypowiedzi – cytatów z interesujących wywodów Autora, które jestem winien Czytelnikowi ze względu na to, że zajmowałem w ślad za niektórymi cytowanymi autorami, szczególnie zagranicznymi, odmienne stanowisko.

„Przez ostatnie dwa wieki tak też nauczyliśmy się myśleć o folwarku: może nie jako o ogrodzie, ale miejscu męki pokoleń chłopów, którzy pracowali na swoich panów: szlachtę, traktowani jak bydło. Pan, szlachcic, chłop, bydło, folwark” (s. 93).

„Często nasza wiedza o rzeczywistości społecznej wieku XVI sprowadza się do tego powtarzanego jeszcze w szkołach cytatu z Rejowej *Krótkiej rozprawy między trzema osobami, Panem, Wójtem a Plebanem*, kiedy to Wójt, w imieniu chłopów, »prostacków-nieboraków«, skarży się: »Ksiądz pana wini, pan księdza, A nam prostym zewsząd nędza«. Narzekanie to, być może, nasza specjalność, polska czy ludzka. Ale nędza w krajach Korony była na pewno mniejsza niż w większości krajów europejskich XVI wieku. Tu było jej mniej, bo tu ludzie nie doświadczali niszczących wojen – zewnętrznych ani domowych» (s. 110).

Autor przywołuje polemicznie m.in. nazwisko Immanuela Wallersteina, a następnie z wszelkimi rewerencjami, nazwiska Małowista i Kuli, by zaproponować spojrzenie odmienne od tego, które charakteryzuje następująco: „Nie interesowało ich obywatelstwo, tylko poddaństwo: nie szlachetność, lecz wyzysk; nie dumna pańskość, ale ponura pańszczyzna; nie obywatelstwo, lecz bydło. To jest oczywiście uprawnione spojrzenie na dzieje. Ale nie wystarczające, by je rozumieć.

Bez tego dziejowego fatalizmu i wpisanej weń tezy, za to bez porównania szerzej, głębiej, źródłowo i bardziej wielostronnie zbadali historię narodzin i funkcjonowania folwarku szlacheckiego w Rzeczpospolitej dwaj przywoływani już badacze: Jerzy Topolski i Andrzej Wyczański. Ten pierwszy, korzystając pierwotnie

z inspiracji marksistowskiej, rozwinął wcześniejszą koncepcję poznańskiego historyka, Jana Rutkowskiego. Silna pozycja szlachty w państwie, umożliwiająca zastrzeżenie poddaństwa chłopów, a także koniunktura na eksport zboża – to dwa podstawowe czynniki wymienione w tej koncepcji. Topolski zauważył jednak, że polska szlachta nie była jakimś monstrum na mapie ówczesnej Europy” (s. 100).

Polska droga do kapitalizmu była osobliwa, czyli ma cechy swojskie, jak właściwie każda droga. Dlaczego miała takie cechy, a nie inne – to pytanie, na które odpowiedzi szukają nie tylko historycy gospodarki, ale także przedstawiciele innych dyscyplin, bo kapitalizm rozwija się zawsze wysiłkiem całego społeczeństwa, a nie tylko wyłącznie działalności rodzimych czy zewnętrznych kapitalistów. Oto rzucające się w oczy cechy naszego kapitalizmu. Piszą o nich polscy historycy, piszą o nich badacze zewnętrzni.

1. Był spóźniony z powodu głębokich podziałów społeczno-ekonomicznych wyrosłych na gruncie feudalizmu. Nasz feudalizm był inny niż ten na zachodzie Europy, bo opóźnił o kilka wieków wprowadzanie elementów gospodarki pieniężno-kapitalistycznej. Stało się to przede wszystkim z powodu umacniania się gospodarki folwarczno-pańszczyźnianej, w której nie dochodziło do zniesienia poddaństwa chłopów, ale też do powiększania tego poddaństwa w czasie, kiedy na Zachodzie ono znikало. Odpowiadało to in-

teresom szlachty. Opóźnienie nasze można szacować w kategoriach kilku wieków. Wyrażało się to m.in. narzucaniem chłopstwu coraz większej liczby dni pańszczyzny w tygodniu.

Zjawisko to charakterystyczne było nie tylko dla Polski, jak pisze Fernand Braudel: „Obrzeże Europy Środkowej aż po Polskę i dalej jest z kolei strefą drugiego poddaństwa, tj. poddaństwa chłopów, które zanikając tam stopniowo jak na Zachodzie, zostało przywrócone w XVI wieku” (Braudel, 2013, s. 119). Opisy polskiego poddaństwa chłopów w literaturze światowej funkcjonują jako klasyczne. Daron Acemoglu i James A. Robinson piszą: „Szlachta w krajach Wschodu umacniała swoją kontrolę nad siłą roboczą, aby móc zapewnić sobie jej podaż. Nazwano to Drugim Poddaństwem (Second Serfdom), odmiennym i bardziej uciążliwym niż to ze wczesnego Średniowiecza. Szlachta powiększyła podatki swoim dzierżawcom, zabierała połowę ich zbiorów. W Polsce w miejscowości Korczyn w 1533 roku cała praca dla szlachcica mogła być jeszcze opłacona, ale już około roku 1600 prawie połowa przymusowej pracy była nieopłacana” (Acemoglu i Robinson, 2012, s. 100).

Nie dawano chłopstwu szans na prawa obywatelskie. Podobnie było z niedopuszczaniem mieszczaństwa do otwartego rynku, np. w Gdańsku oddawano handel naszym zbożem (i nie tylko) firmom holenderskim, choć można było wspierać firmy polskie. Nie było też szans na budowę instytucji rozwiązywania konfliktów w rela-

cyjach szlachty z chłopstwem i mieszczaństwem (na wzór zachodnich). Tęgo zadania podjąć się mogło jedynie państwo, a efektywnego państwa nie mieliśmy m.in. dlatego, że nie mieliśmy monarchii absolutnej. Warstwa szlachecka rozbudowywała swoje imperium agrarne, myśląc wyłącznie o własnych interesach, choć (nad) używała retoryki republikanizmu. Nie ma większej przesady w opisie tego systemu jako biopolitycznej republice zbożowej budowanej przez szlachtę od końca XVI wieku (Sowa, 2011, s. 109–205).

Z praktykowaniem republikanizmu zaczęła się nasza szlachta rozstawać w jakże pięknym dla Polski wieku XVI (Wyczański, 1999). Zapewniała sobie bez większych przeszkód realizację interesów nie tylko dlatego, że był duży popyt na polskie zboże i produkty rolne na Zachodzie. Sięgnąć trzeba do wyjaśnień instytucjonalnych, a głównie systemu władzy. Otóż od śmierci ostatniego Jagiellona nie mieliśmy ciągłości silnej władzy królewskiej, która mogłaby powściągać szlachtę w jej egoistycznym pędzie do powiększania swojego bogactwa i władztwa. Wolna elekcja była przejawem demokracji szlacheckiej, która w efekcie była praktykowana kosztem interesów Rzeczypospolitej jako całości. Wówczas to ukształtował się nasz słaby do dziś gen republikański. Państwo zostało sierotą i jest nią do dziś (Zamojski, 2009).

2. Kapitalizm był od początku systemem – światem, dziś powiedzielibyśmy – globalnym, choć byłoby to nadużycie pojęcia, bo globalizacja miała wówczas charakter załączkowy. Niemniej faktem jest,

że Zachód zaczynał zajmować od końca XV wieku pozycję coraz bardziej dominującą w świecie, co sprzyjało uzależnieniu lokalnych dróg rozwoju gospodarczego – i ewentualnie lokalnego kapitalizmu – od systemu zewnętrznego. O wpływie tego świata zewnętrznego na to, co się działo w Polsce, jedni, np. marksiści, formułują uwagi w sposób mocny, a inni łagodniej. Kierunek ocen jest zawsze ten sam: kapitalizm to system, w którym ci, co są wyżej, mają możliwość narzucania znajdującym się niżej tego, co chcą.

Zacznę znowu od wypowiedzi Fernanda Braudela: „Europejski świat gospodarczy jest w połowie XVII wieku konglomeratem, koegzystencją społeczeństw od już kapitalistycznych jak społeczeństwo holenderskie po oparte na poddaństwie i, u końca skali, na niewolnictwie [...] strefy zewnętrzne karmią środkowe, a zwłaszcza centrum. A czym jest centrum, jeśli nie punktem dominującym, kapitalistyczną nadbudową całej konstrukcji” (Braudel, 2013, s. 119). W odniesieniu do Polski i krajów obok rzecz przedstawia następująco: „Zatem zawsze Europa Zachodnia przenosi i niejako wynajduje na nowo niewolnictwo w starożytnym stylu dla Nowego Świata oraz wskutek wymogów swojej gospodarki „wprowadza” drugie poddaństwo w Europie Wschodniej” (Braudel, 2013, s. 120). Immanuel Wallerstein, post-neo-marksiasta, pisze podobnie: „Dwa były powody zmierzchu

polskiej monarchii w 16. i 17. wieku. W krajach peryferyjnych interesy kapitalistycznych właścicieli ziemi były odwrotne kierunkowo do interesów lokalnej handlowej burżuazji. Interesy tych pierwszych polegały na utrzymaniu otwartej gospodarki, aby maksymalizować zyski na światowych rynkach handlowych [...] i na eliminacji lokalnej burżuazji handlowej na rzecz zagranicznych handlowców, by nie stanowili politycznego/lokalnego zagrożenia dla nich” (Wallerstein, 2003, s. 71–72).

Być może nie ma konieczności postrzegania pozycji Polski aż tak mocno asymetrycznie, jak robią to wymienieni dwaj autorzy. Polska w XVII wieku demonstrowała jeszcze czasem oznaki potężnego kraju (Sobieski pod Wiedniem), ale z pewnością zwiększenie oddziaływania czynników zewnętrznych na to, co się działo w Polsce, widoczne jest już od końca XVI wieku. Pojęcia, których się używa dla opisu relacji na linii Polska–Zachód, są niezliczone. Najczęstsze z nich to: wpływy, zapożyczenia, fascynacje, wykorzystanie, osmoza. W sumie – jakby chodziło o pośrednie oddziaływanie Zachodu. Wypada odnotować także oddziaływania ze Wschodu, mniejsze, ale znamienne, jak choćby sarmatyzm m.in. z jego strojami tureckimi i inne, które szlachta ceniła sobie dłużej niż zachodnie.

3. Pojęcia wyżej przedstawiane nie wystarczają do analiz naszego zapóźnienia, zwłaszcza od czasu upadku I RP w 1795 roku. Zastępować trzeba pojęcia związane z pośrednim oddziaływaniem świata zewnętrznego pojęciami opisującymi bez-

pośrednie formy oddziaływania, takie jak niewola, podbój, wyzysk, podporządkowania administracyjne, narzucanie, zawłaszczanie, emigracja, branka. Treść zjawisk za pomocą tych pojęć charakteryzowanych w kontekście kapitalizmu dotyczy głównie zacofania i peryferyjności (półperyferyjności). Ziemie polskie stały się w efekcie rozbiorów polem rozgrywek sił, na które społeczeństwo nie mogło adekwatnie reagować.

Przyjdzie nam wszak odnotować pewne czasem wzrosty nadziei. Niech przykładem będzie utworzenie przez Napoleona Bonaparte Księstwa Warszawskiego, do którego przenoszono rozmaite idee i instytucje będące owocami Rewolucji Francuskiej. Społeczeństwo witało Napoleona z wielkimi nadziejami. Także Królestwo Polskie, kolejna prekonfiguracja PRL, było czasem pewnego pobudzenia kapitalistycznego. Ziemie zaboru rosyjskiego należały do tych prowincji Rosji, w których rozwój gospodarczy bywał dość zaawansowany w skali całego imperium rosyjskiego (obok okręgu moskiewskiego). Wprowadzanie elementów samorządu w Galicji przez władze austriackie bywa też odnotowywane pozytywnie. Wielu Polaków obejmowało rozmaite funkcje państwowe w Wiedniu, Petersburgu czy Berlinie przed 1918 rokiem. Nie spotykało się to zawsze z potępieniem, a bywało docenione w przypadku oceny współpracy z wrogiem, czego dowodzi m.in. przypadek Józefa Piłsudskiego.

Choć wachlarz czynników przyczyniających się do spóźnionego rozwoju naszego kapitalizmu jest szeroki, to kwestią numer 1 było niewątpliwie wyzwalenie się z gospodarki folwarczno-pańszczyźnianej. Proces ten stał się bardziej dziełem zaborców niż działań naszej szlachty czy ziemiaństwa. Zniesienie poddaństwa chłopów w 1864 roku w zaborze rosyjskim było decyzją cara Rosji, który miał na uwadze podzielenie Polaków organizujących wówczas powstanie styczniowe przy stosunkowo niewielkiej gotowości chłopów do jego poparcia. Inaczej sprawa się miała w Galicji, gdzie do pełniejszego wyzwolenia się chłopów spod jarzma szlachty dochodziło po rabacji galicyjskiej, w której szlachta była masowo mordowana przez chłopów. Jeszcze inna była sytuacja w zaborze pruskim. Wszędzie można było obwiniać szlachtę i ziemiaństwo o to, że całymi wiekami nie rozpoczynały działań zachęcających do pozytywnej gry szlachty i chłopstwa i mieszczaństwa na polu gospodarki rynkowej. To wyjaśnia, dlaczego za apelami „Kordianów” do brania udziału w powstaniach narodowych chłopcy opowiadali się rzadko.

Doświadczenia dwóch wojen światowych, a potem komunizmu, przynoszą wydarzenia często sprzeczne. Najpierw wielką mobilizację społeczeństwa Wielkopolski i Śląska w 1918 roku, a następnie całego społeczeństwa w wojnie 1920 roku. Ochotniczo uczestniczyli w niej chłopcy w większej masie niż kiedykolwiek wcześniej. Odnotujmy dwa imponujące osiągnięcia integracyjne: pierwsze – między 1918 a 1939 rokiem udało się

zintegrować politycznie trzy zabory i podjąć pewne udane przedsięwzięcia gospodarcze (hasła: COP, Grab-ski, Kwiatkowski), drugie – zagospodarowanie Ziemi Zachodnich po 1945 roku (otrzymanych w zamian za Kresy). W czasie II wojny światowej doszło do wyniszczenia narodu na skalę bez precedensu: zginęło 6 milionów obywateli kraju, a 38% majątku narodowego stracono bezpowrotnie. Holokaust Żydów wyeliminował ważną warstwę – kandydatkę do umacniania polskiego kapitalizmu. Dalej – to był narzucony zewnętrznie wzór uprzemysłowienia (radziecki), który co prawda pomógł Polsce wejść w rodzinę krajów w miarę rozwiniętych, ale przy kosztach zbyt wielkich, aby oceniać to można było jako wielki sukces ekonomiczny. Wzór radziecki był nieefektywny ekonomicznie, bo po 74 latach eksperymentowania system przegrał geopolityczną konkurencję z kapitalizmem.

Transformacja postkomunistyczna czeka ciągle na swoje oceny. Czy terapia szokowa według wzoru zachodniego była do uniknięcia? Raczej nie, moim zdaniem. Wzór krajów skandynawskich mógł być wzięty pod uwagę, ale został od razu odrzucony. Drugi wzór – społeczna gospodarka rynkowa (na wzór niemiecki) był do wzięcia, ale został praktycznie zignorowany przez nowe elity, choć samo sformułowanie „społeczna gospodarka rynkowa” znalazło się w naszej konstytucji z 1997 roku. Skala błędów była jednak nieporównanie mniejsza niż w czasie uprzemysłowienia komunistycznego. Nadto nasze uzależnienie od Zachodu jest „do-

browolne”, bo kojarzone z licznymi korzyściami, jakie wynosimy z przynależności instytucjonalnej do Zachodu i powiązań, jakie to daje. Niemniej pozostajemy nadal półperyferyjną gospodarką rynkową, choć z realnymi ambicjami na stałe przesuwanie się do przodu, z czego, jak dotąd, umiejętnie korzystamy.

„Dystans jest duszą piękna” kontra „skracać dystans” do Zachodu

Wyróżnijmy na początek dwa stanowiska, które rysują się jako skrajne, choć takimi być nie muszą. Jedno mieści się w ramach szerokiej orientacji, którą za Jackiem Kochanowiczem określam jako „wyzwania zacofania”. Tę orientację charakteryzował on następująco: „Zachód – [...] był zawsze naturalnym punktem odniesienia dla Polski. Wynikało to zarówno z geograficznej bliskości, jak i z tego, że z Zachodu społeczeństwo polskie czerpało wzorce kulturowe i instytucjonalne, poczynając od chrześcijaństwa we wczesnym średniowieczu, przez kolonizację na prawie niemieckim, wpływy włoskie w czasach Renesansu, czy francuskie i angielskie w epoce Oświecenia, po instytucje, technologie i wzorce kultury importowane w bezprecedensowym wymiarze w ciągu ostatnich dwudziestu lat. Naturalne było wobec tego także porównywanie stopnia i charakteru rozwoju gospodarczego z krajami Zachodu, i stopniowe uświadamianie sobie tego, co w języku dwudziestowiecznym

określono mianem zacofania.[...] Od wieku XVIII zatem po dzień dzisiejszy owo stawiane przez dystans wyzwanie, a zarazem porównywanie siebie z zachodem jest w polskim myśleniu czymś stałym” (Kochanowicz, 2010, s. 153, 154). Wniosek? Skracać dystans do Zachodu tak szybko, jak to jest możliwe, bo Zachód był i jest naszym naturalnym środowiskiem.

W drugim stanowisku przyjmuje się, że Polska należy do „drugiej Europy”, bo reprezentuje swojskie cechy, które drogi do przyszłości muszą uwzględnić. Taką orientację reprezentował Czesław Miłosz w swoim odczycie noblowskim. Za Simone Weil powtarzał, że „Dystans jest duszą piękna” i wcale nie musi być czymś z natury złym, i dodawał: „Bywa jednak, że jego uzyskanie jest niemal niemożliwością. Jestem »Dzieckiem Europy« [...] Niewątpliwie istnieją dwie Europy i zdarzyło się tak, że nam, mieszkańcom tej drugiej, dane było zstąpić w »jądro ciemności« XX wieku [...]. Być może jednak nie refleksja nad tymi ideami (nauki i techniki, Zachodu – WM) jest najcenniejszą naszą zdobyczą, nas, to jest tych, którzy zetknęli się z nimi w ich aż nadto dotykającym kształcie, ale szacunek i wdzięczność dla tego wszystkiego, co chroni ludzi od wewnętrznej dezintegracji i uległości wobec przemocy [...] podtrzymywane przez rodzinę, religię, sąsiedztwo, wspólne dziedzictwo, jednym słowem cała ludzkość, nieporządna, nielogiczna, tak często określana jako śmieszna w swoich prowincjonalnych przywiązaniach i lojalnościach. W wielu krajach tradycyjne więzi civitas ulegają stop-

niowej erozji i ich mieszkańcy zostają wydziedziczeni, nie zdając sobie z tego sprawy. Co innego jednak tam, gdzie nagle, w sytuacji zagrożenia, ukazuje się tych więzi chroniąca, życiodajna wartość. Tak było na ziemiach, z których pochodzę” (Miłosz, 2006, s. 197). W tej perspektywie ważne miejsce zajmują kwestie tożsamości, a ogólniej – kultury jako czynniki determinujące nasze codzienne emocje, ale też, o czym dalej – interesy ekonomiczno-polityczne. To perspektywa, w której podkreśla się odrębność, osobliwość, i nie przystaje się na określenie, że się jest gorszym od innych, np. że Polskę trzeba ucywilizować, bo jest Irokezem Europy, jak mówił król Prus Fryderyk II Wielki (po pierwszym rozbiórce).

Jak to widzieć szerzej? Otóż o ile nie nadużywa się inwektyw podobnych do zaprezentowanej w ostatnim zdaniu, o tyle przejawia się w niej partykularyzm, który jest naturalnym dopełnieniem uniwersalizmu. Zakładać więc można, że realny świat jest zawsze wymieszaniem partykularyzmu i uniwersalizmu. Miłosz i inni, których będę dalej przywoływał, upominają się o to, aby symetrie w postrzeganiu nie były zachwiane. Tymczasem bywa inaczej, bo relacje Zachodu wobec nas taki charakter czasem przyjmują, co rzutuje na to, jak patrzymy na przeszłość i na przyszłość. Dyktuje to też odmienne strategie działania w skali społeczeństwa jako całości i jego poszczególnych obywateli. Obie te perspektywy mogą się dopełniać w sposób udany wyłącznie w warunkach w miarę spokojnego rozwoju gospodarczego (kapitalizmu), stabilnej liberalnej demokracji i aktywnej

roli społeczeństwa obywatelskiego. Jeśli warunki te nie są spełnione, to w obu orientacjach łatwo pojawia się amunicja, w której obu stronom przychodzi łatwo odmawiać tytułu Polaka. Nie sprzyja to pragmatycznym relacjom na linii Polska–UE, Polska–Zachód, czy Polska–Niemcy.

W ramach perspektywy „wyzwanie zacofania”, ekonomiści i praktycy życia ekonomicznego poszli dwoma drogami. Jedni, zajmując się wzrostem gospodarczym, identyfikują czynniki, które najbardziej sprzyjają wzrostowi: kapitały finansowe, ludzkie i społeczne, inwestycje, technika i nauka. Drudzy, zajmując się rozwojem gospodarczym, zaczynają od tłumaczenia się, że gospodarka jest zawsze zależna od światowych centrów dominacji ekonomicznej, a w związku z tym zmiana ekonomiczna nie może koncentrować się wyłącznie na kwestiach techniczno-organizacyjnych i ekonomicznych, że uwzględniać musi mocno realia polityczno-ekonomiczne świata czy regionu. Jacek Kochanowicz podkreśla, że choć teorie wzrostu koncentrują się na tym, co mierzalne, a teorie rozwoju na zmianach jakościowych, to „za oboma kryje się pewna aksjologia – przeświadczenie, że lepiej mieć więcej niż mniej, że lepiej jest być »rozwinętym« niż »zacofanym«. Aksjologia ta ma swoje źródło w osiemnastowiecznej idei postępu [...]” (Kochanowicz, 2010, s. 155).

Myślenie w kategoriach wzrostu dominowało w Polsce w czasie transformacji postkomunistycznej, czemu wyraźnie sprzyjała neoliberalnie definiowana globali-

zacja. Od kryzysu ekonomicznego, w jakim się znalazł Zachód w okresie 2007–2008 postrzeganie własnej gospodarki uwzględnia w większym stopniu interesy własne i te powiązania polityczne państwa narodowego (geopolityka), które sprzyjają praktykom protekcjonizmu, czy nawet patriotyzmu ekonomicznego ze względu na nasilone nastroje populistyczne. Polska od 2015 roku dobrze wpisuje się w ten trend, który objął także wiele innych krajów, nie wyłączając USA.

W ramach drugiej perspektywy wszelkie rozważania na temat przyszłości są nie tyle pochodną zewnętrznej teorii czy zaleceń instytucjonalnych centrów dominacji ekonomiczno-politycznej (International Monetary Fund, World Bank, USA, itd.), ile możliwości praktycznych lokalnego społeczeństwa z jego wyobraźnią ekonomiczno-społeczną, a ukształtowane historycznie praktyki stanowią zasób wyjściowy dla życia codziennego społeczeństwa w każdej sferze. Charles Taylor, kanadyjski filozof katolicki, posługuje się w takiej sytuacji pojęciem imaginarium społecznego, określając je następująco: „Imaginarium społeczne to coś szerszego i głębszego niż schematy intelektualne, do których sięgają ludzie, myśląc o rzeczywistości społecznej w sposób oderwany. Chodzi mi raczej o sposoby, w jakie ludzie wyobrażają sobie swoją społeczną egzystencję, jak przystosowują się do innych, jak toczą się sprawy między nimi i bliźnimi; to także oczekiwania, które zwykle się spełniają, oraz głębsze normatywne koncepcje i obrazy, łączące u ich podstaw [...]. Imaginarium społeczne to

wspólne rozumienie spraw, umożliwiające wspólne praktyki i powstanie poczucia prawomocności podzielanego przez szerokie grupy społeczne” (Taylor, 2010, s. 37).

Jest w tym stanowisku założenie bliskie temu, choć nie tożsame, o czym mówił Miłosz, mianowicie, że decydujące znaczenie mają lokalne znaczenia, jakie ludzie przypisują swoim działaniom i ludzi bliskich. W przypadku Miłosza Polska jest „drugą Europą”, czy jak gdzie indziej pisze – „rodzinną”, podkreślając tragiczne doświadczenia historii naszej części Europy. To, że Europa uniwersalna tego nie widzi, nie martwi Miłosza, który widzi to raczej jako zubożenie Zachodu, a nie nas. Miłosz zarzucał myśli Taylora trawożerność czy myślenie idylliczne, to znaczy zbyt optymizm co do szans dla rozumu, który może łatwo pokonać ciemnogród, dlatego sam kładł akcent na dystans wobec Europy oświeceniowej, w tym zwłaszcza projektów UE (Miłosz, 2012, s. 96–97). To jest myślenie bliskie salonom PiS, których Miłosz nigdy nie był bohaterem.

Podobnie na zagadnienie spojrzeć można z innej perspektywy uniwersalnej. Mam na myśli budowę teorii naukowej. Otóż Zachód aplikuje często reszcie świata teorie, które nie uwzględniają lokalnych warunków, choć nie jest to praktyka powszechna. Oto wypowiedź Talcotta Parsonsa, która doskonale mieści się we wspólnym mianowniku z myślą Taylora czy Miłosza: „Od czasów Kanta można chyba mówić, że jest zdecydowanie dominująca opinia epistemologiczna, że wiedza nie może być interpretowana po prostu jako nachalne

narzucanie ludzkiemu umysłowi »surowych danych« pochodzących ze świata zewnętrznego, na zasadzie przyjmującej, że umysł jest jedynie rodzajem biernej płyty fotograficznej, na której zarejestrowana może być automatycznie informacja z zewnątrz. Przeciwnie, wiedza jest rezultatem kombinacji wkładu, który tradycyjnie nazywany jest »danymi zmysłowymi« (*sense data*) z elementami kulturowymi, w kategoriach kantowskich zakładającymi niewątpliwie istnienie aktywnej agencji osobowości z wiedzą» (Parsons, 1972, s. 260).

Odsyła to nas do wiedzy i emocji lokalnych w kwestiach także teoretycznych. Rozwiązania teoretyczne uwzględniać muszą lokalne realia, co jest w zgodzie z Taylorem i Miłozhem. Praktyczny wniosek to naprawa zła, które ostatnio wyrządził głównie neoliberalizm, choć sprawa jest szersza, bo dotyczy głównego korpusu myśli ekonomicznej. Wymaga nowego zdefiniowania „my”, aby było ono bliskie kulturom lokalnym. Nie podważa to idei globalizacji, rozumianej jako korzystanie ze współzależności globalnych ufundowanych na wzajemnym wpływananiu na siebie procesów uniwersalizacji i partykularyzacji. Ale inaczej niż dotąd. Nie podważa też logiki kapitalistycznego dążenia do zysku, ale zakłada, że realizacje tego dążenia zawsze mają barwy kulturowo-polityczne.

W kierunku kulturowej teorii kapitalizmu

Kapitalizm jest najczęściej definiowany w kategoriach interesów ekonomicznych, które wspiera władza polityczna. Takie podejście nazywa się ekonomią polityczną. Przymiotnik „polityczny” zaczął być porzucany pod koniec drugiej połowy XIX wieku, a nawet był wyśmiewany przez neoliberalów (w zamian pojawiła się *economics*). Ta operacja teoretyczno-metodologiczna miała nobilitować nauki ekonomiczne. Wszelako problematyka polityczna nigdy nie znikła ani w działalności gospodarczej, ani w dyskursie naukowym. Kryzys ekonomiczny lat 30. ubiegłego wieku, a w jego następstwie popularność keynesizmu, przez dość długi czas to potwierdzała. Od kryzysu 2007–2008 problematyka polityczna w sferze teorii i praktyki gospodarczej jest znowu wszechobecna, choć bez wyraźnego kierunku co do pożądaných zmian na przyszłość. Okazuje się, że zarówno rynek, jak i państwo mają swoje defekty (Kaletsky, 2010). Silne ideologiczne spory toczą się obecnie na tle geopolityki, protekcjonizmu państwowego, populizmu, a wraz z tymi zjawiskami ponownie wróciło na scenę państwo narodowe, choć miało być zepchnięte na margines w czasie ostatniej fali globalizacji. Rynek też nie daje za wygraną, czyli obie instytucje są sobie potrzebne.

Chciałbym wyjść poza ten tradycyjny schemat państwo – rynek i włączyć w analizę trzecie ogniwo, to jest, społeczeństwo i jego kulturę. Przyczyna jest oczywista

w Polsce, w której od 1956 roku aktywność społeczeństwa była głównym motorem zmian, jakie zachodziły w kraju. Szczególnie wpływ Solidarności przesądził o doprowadzeniu do zmiany systemowej w 1989 roku, choć prawdą jest, że swój sukces mogła odnieść Solidarność tylko w warunkach globalnej przegranej komunizmu z kapitalistycznym Zachodem. Jak włączyć kulturę w analizę w ramach trójkąta gospodarka, państwo i społeczeństwo? Czy zaczynać od interesów ekonomicznych, widzianych jako coś obiektywnego i realnego, i sięgania po pomoc państwa, kiedy gospodarka/rynek same nie przynoszą zadowalających rozwiązań? Czy uwzględnić także to, co nazywamy potrzebami, preferencjami, motywami, które są ze swojej natury subiektywne? Lub iść jeszcze dalej, w sferę kultury?

Najpierw przedstawię dwie uwagi Davida Landesa, który w historii gospodarczej świata pt. *Bogactwo i nędza narodów* pisze: „Jeśli historia rozwoju czegoś nas uczy, to tego, że o wszystkim przesądza kultura. Tutaj Max Weber miał rację. Przyjrzyjmy się, jak przedsiębiorcze potrafią być imigranckie mniejszości etniczne – Chińczycy w Azji Wschodniej i Południowo-Wschodniej, Hindusi w Afryce Wschodniej, Libańczycy w Zachodniej, Żydzi i kalwiniści w wielu krajach Europy i tak dalej. Jednakże kultura, rozumiana jako wewnętrzny system wartości i postaw kierujących działaniami ludzi, budzi w uczonej przerażenie. Wionie od niej siarczany odór rasy i dziedzictwa, za bardzo pachnie tu niezmiennością” (Landes, 2000, s. 577). Pośrednio także o Euro-

pie Wschodniej pisze: „Gradient rozwoju w Europie przebiegał z zachodu na wschód i z północy na południe, od społeczeństw wykształconych do analfabetów, od instytucji przedstawicielskich po despotyczne, od równości do hierarchii i tak dalej. To nie zasoby ani nie pieniądze przesądziły o różnicy, a też nie krzywda doznana ze strony obcych. Zasadniczą rolę odegrały czynniki wewnętrzne: kultura, system wartości, inicjatywa. Ludy, o których mowa, uzyskały dość wolności. Nie wiedziały tylko, co z nią zrobić” (Landes, 2000, s. 289).

Pójdę tym tropem. Aaron Wildavsky, podobnie jak Landes, szuka źródeł preferencji nie tyle w interesach, ile w sferze współżycia ludzi z ludźmi, pisząc, że „poparcie dla lub sprzeciw wobec odmiennych sposobów życia, podzielanych wartości uzasadniających relacje społeczne, zwane tutaj kulturami, są źródłami odmiennych preferencji”, czyli, że „kultura jest konstrukcją potężniejszą niż tacy rywale konceptualni jak ideologie, heurystyki, schematy” (Wildavsky, 1987, s. 3). Nie decydują zewnętrzne interesy (bodźce), czy to definiowane jako motywy, cele, czy preferencje, bo są to jedynie „analityczne ogony, decydujące jest to, kto określa (*constructs*) to, co jest interesem, z kim to robi i w jakich okolicznościach, a następnie – w jaki sposób interesy te są wzmacniane w społeczeństwie” (Wildavsky, 1998, s. 249). Słowem – wewnętrzne preferencje ludzi decydują o ich wyborach praktyk życiowych, słowem – kultura decyduje.

Wildavsky buduje kulturową teorię formowania się preferencji nie tylko w życiu społeczno-politycznym

i w życiu ekonomicznym. Jest to operacja kierunkowo zgodna z postulatami formułowanymi przez poetę Czesława Miłosza, filozofa Charlesa Taylora czy socjologa Talcotta Parsonsa, ale analizy Wildavsky'ego są mocno osadzone w sferze ekonomicznej, dalekiej raczej od zainteresowań powyższych myślicieli. Zajmuje się kulturowym wyjaśnieniem decyzji dotyczących rozróżnienia dóbr publicznych i prywatnych, ryzykiem, altruizmem, efektami zewnętrznymi (negatywnymi i pozytywnymi). W różnych kulturach różnie definiowane są te zjawiska. Wyróżnia cztery kultury: hierarchiczną, indywidualistyczną, egalitarną i fatalistyczną, ale podkreśla, że w każdym społeczeństwie funkcjonują koalicje tych kultur. Teorię swoją opiera w decydującym stopniu na dorobku brytyjskiej antropolog Mary Douglas.

Przy takim podejściu nie wystarczy mówić jedynie o „skróceniu dystansu”, aby upodobnić polski kapitalizm do wariantów zewnętrznych uformowanych przez ostatnie 5–6 wieków na Zachodzie, ale przyjrzeć się trzeba, jakie wartości i interesy wyrastają w warunkach *hic et nunc*. Oczywiście warunki własne kształtują się w kontekstach szerszych, zwłaszcza w dobie globalizacji, ale najważniejsze jest to, co samo społeczeństwo myśli o swoich interesach i wartościach. Kiedy i co robić, jak, dlaczego i po co – to pytania, na które szukam odpowiedzi. Gwoli ścisłości, warianty działalności przyjmowane w Polsce nie muszą być oryginalne, ale spełnić powinny warunek minimum: twórczej imitacji. Nie zapominajmy, że społeczeństwo polskie i jego kultura,

a podobnie było w całym systemie komunistycznym, stanowiło główne źródło odrzucenia komunizmu, jak podkreśla to D.C. North (North, 2014, s. 153–174).

Aaron Wildavsky pokazuje, że o przynależności do każdej z kultur decydują odpowiedzi na cztery pytania o życiu: „Odpowiedzi na pierwsze dwa pytania: „Kim jestem?” i „Co powinienem robić?” – dają jednostkom tożsamość i wskazówki do działania. Albo będą należeć do silnej grupy, w której decyzje mocno wiążą członków-jednostki, kiedy działają sami i dla siebie. A kiedy stwierdzą, z kim powinny razem działać, wtedy ludzie wiedzieć chcą, jak mają działać z innymi, według jakich reguł czy recept, w efekcie tworzy się wzór/siatka życia społecznego” (Wildavsky, 1998, s. 240). Chodzi o „internalizację przez ludzi dwóch wymiarów życia społecznego: prawowitości zewnętrznych reguł (*grid*), jak też siły afiliacji z innymi (grupą)” (Wildavsky, 1998, s.171). W efekcie wyłaniają się cztery kultury. Ze wzrostem siły regulacji, ale pozostając w ramach małej siły grupy – przesuwamy się od indywidualizmu do fatalizmu, a pozostając w ramach dużej siły grupy – przesuwamy się od egalitaryzmu do hierarchii (Wildavsky, 1998, s. 171). Oto cztery kultury:

- (1) fatalizmu (apatii, autorytaryzmu),
- (2) indywidualizmu (współzawodnictwa, równości szans),
- (3) hierarchiczności (kolektywizmu),
- (4) egalitaryzmu (równości warunków życia, solidaryzmu).

W każdym społeczeństwie znajdujemy ludzi przynależnych do każdej z tych kultur, ale w różnych proporcjach, np. w społeczeństwie amerykańskim silna jest kultura indywidualizmu, choć przewagę nad nią zdobyła ostatnio kultura egalitaryzmu. Przewidział to w XIX wieku Alexis de Tocqueville, pisząc: „Stopniowy rozwój równości jest dziełem opatrnościowym. Jest powszechny, trwały i nieustannie wymyka się ludzkiej władzy. Służą mu wszystkie wydarzenia i wszyscy ludzie. [...] Sądzić, że demokracja obaliwszy feudalizm i zwyciężywszy królów, ugnie się przed mieszczanami i bogaczami? Zatrzyma się teraz, gdy stała się tak silna, a jej przeciwnicy tak słabi?” (Tocqueville, 1976, s. 25). Każda z czterech kultur pojawia się w każdym społeczeństwie, ale w innych proporcjach w Polsce i w USA, stale zresztą zmieniając się w czasie tu i tu – o czym dalej.

Popatrzymy przykładowo na zastosowanie koncepcji Wildavsky'ego do dóbr publicznych i prywatnych. Obiegowa mądrość ekonomiczna zakłada, że kiedy chodzi o edukację, drogi publiczne czy opiekę policyjną, to natychmiast pojawia się argument, że te dobra publiczne muszą/powinny być dostarczane przez państwo, gdyż rynek nie potrafi alokować ich efektywnie. Autor kwestionuje to założenie, argumentując, że rozróżnienie na dobra publiczne i prywatne jest konstruowane społecznie, że „dobra publiczne nie mają cech, które wykluczają alokację prywatną, a jeśli są publiczne, to tylko dlatego, że społeczeństwo dobra te lokuje w sektorze publicznym a nie prywatnym” (Wildavsky, 1998, s. 31). Wkracza

tutaj kultura: egalitaryści, chcący zmniejszenia różnic społecznych, będą za dostarczaniem tych dóbr na drodze publicznej (przez państwo), bo państwo zapewnia każdemu aktywne uczestnictwo, a nadto pozwala uniknąć przymusu, który jest związany z dobrami prywatnymi. Z dobrami prywatnymi – uważają egalitaryści, idzie w parze ukryta hierarchia, co jest dla nich nieakceptowalne (Wildavsky, 1987, s. 43).

W podobny sposób pisze o negatywnych i pozytywnych efektach zewnętrznych. Są one źródłem/produktem konfliktów społecznych na tle tego, kogo winić za ewentualne szkody, jakie wyrządzają środowisku zewnętrznemu i kto ma pokrywać związane z tym koszty? W różnych kulturach wygląda to różnie. W kulturze hierarchii ludzie postrzegają społeczeństwo jako uwarstwione, a każda warstwa ma swoje obowiązki do zrealizowania, czyli jeśli dzieje się coś złego, to wina spada na dewiantów, którzy nie przestrzegają reguł. Według nich ekspert wie najlepiej, co zrobić. Fataliści, nie wierząc, że ich własne działania mogą naprawić sytuację, rozwijają strategię wycofania się. Według nich nie można zmienić świata. Odwrotnie – indywidualiści, uważający, że sami są panami własnego przeznaczenia, gotowi są zrzucić winę na własne słabości. *De facto* nie widzą oni efektów ubocznych, a jeśli już, to jako mało znaczące. Egalitaryści, dla których równość warunków życia jest normą społeczną, przerzucają winę na system jako źródło nierówności i atakują rynki. Widzą negatywne

efekty zewnętrzne, a nie widzą korzyści (Wildavsky, 1987, s. 68–69).

Odmienne kultury: USA, Polska (tylko hipotezy)

Kapitalizm jest systemem wykazującym się, jak pokazuje historia, wysoką innowacyjnością. Przegrana komunizmu z kapitalizmem na przełomie lat 80. i 90. XX wieku dowodzi, że instytucje budujące komunizm nie były na tyle innowacyjne, by uniknąć klęski. Instytucje systemu były oparte na fałszywych założeniach, a przede wszystkim na założeniach dotyczących możliwości zbudowania „nowego” człowieka i jego relacji z innymi. Nie potrafiły stawić czoła wyzwaniom czasu. Posługując się rozumowaniem Jona Elstera z książki *Cement społeczeństwa*, możemy postawić pytanie: kiedy ludzie rozwijają innowacje, a kiedy organizują bunt? Sięgam do tej książki, bo w Polsce dochodziło do buntu cyklicznie, poczynając od 1956 roku. Diagnoza Elstera była/jest prosta: „Kiedy ludziom źle się wiedzie, mają motywację, ale brakuje im możliwości, kiedy natomiast dobrze się im powodzi, mają możliwości, ale brakuje im motywacji. Jeśli pragnienia i możliwości biegną w odmiennych kierunkach, to nie można *a priori* rozstrzygnąć, czy ciężkie czasy, czy dobre czasy – faworyzują innowacje czy rewoltę. Sugeruje to, że preferencje dla innowacji są równo obecne w populacji” – tak Wildavsky streszcza rozumo-

wanie Elstera, ale skierowuję uwagę na Europę Wschodnią, aby poddać to rozumowanie w wątpliwość. Słusznie, moim zdaniem. Pisze: „Ostatnie wydarzenia we Wschodniej Europie sugerują coś innego (niż to, co pisze Elster). Rzucają światło na ewidentną anomalie, mianowicie, że strach przed przegraną hamuje innowacje, które są dokonywane o wiele częściej w krajach kapitalistycznych niż w krajach komunistycznych, gdzie decydenci nie muszą ryzykować utraty kapitału, ponieważ oni osobiście nie inwestują. Ponieważ menedżerowie w komunizmie nie mogą przegrać, argumentuję – dlatego są skazani na brak sukcesu. Nie przegrywają, bo zawsze lepiej wychodziło im lobbowanie niż produkcja, a korzyści z innowacji były ograniczane praktykami ekskluzywnej hierarchii, w której otrzymuje się nagrody za zmiany. Jeśli brakowało im kapitałów, to nie byli zdolni używać zasobów zdobytych na drodze innowacji (aby dalej inwestować). Sytuacja ta była podobna to tej z czasów sprzed kapitalizmu, kiedy to, co akumulowano, było redystrybuowane wśród licznych kuzynów i znajomych [...] Indywidualistyczna kultura jest inna niż kultura hierarchii, która charakteryzuje gospodarkę typu sowieckiego, ponieważ bardziej ułatwia transakcje rynkowe i zwiększa pragnienie innowacji. Bez uwzględnienia kontekstu kultury, w którym instytucje tworzą i wzmacniają preferencje, innowacja i rewolta i inne rzeczy – nie dadzą się wyjaśnić” (Wildavsky, 1998, s. 265).

Zajmuje się tym, co się dzieje w USA na długiej przestrzeni czasu, bo od lat 60. XIX wieku, czyli od wojny

domowej Północy z Południem. Przedstawia to rysunek na temat Narodowego Udziału Trzech Aktywnych Kultur (Wildavsky, 1998, s. 305). Widać na nim, że kultura egalitaryzmu (na rzecz równości warunków życia i solidaryzmu) szybko zwiększała poparcie, które wynosi obecnie około 50%, wyprzedzając nieco nawet kulturę indywidualizmu. Kultura indywidualistyczno-konkurencyjna jest jednak nadal silna w USA, choć obecnie plasuje się nieco poniżej kultury egalitaryzmu. Co do kultury hierarchicznej, to jej ranga stopniowo maleje. Rysunek sugeruje, że z poparcia na poziomie około jednej czwartej ogółu spadła na pozycję, jaką zajmowali egalitaryści w latach 60. XIX wieku. Oczywiście sytuacja wygląda odmiennie w różnych grupach wyborców w różnych okresach historii USA. Autora martwi nie tyle sam egalitaryzm, ile jego radykalne warianty, bo pisze, że „wzrost egalitaryzmu pozwala wyjaśniać zarówno cykliczną naturę polityki partyjnej, jak i gwałtowne przesunięcia, które są widoczne między cyklami” (Wildavsky, 1998, s. 313).

Jak jest w Polsce? Nie mamy podobnie robionych szacunków, ale obserwacje zdają się potwierdzać następujące zjawiska. Dlatego to, co dalej przedstawiam, traktuję jako hipotezę:

Po pierwsze, cały czas wzrasta siła orientacji egalitarnej (na rzecz równości warunków życia), ale odbywa się to w rytmach nierównych od czasu zniesienia pańszczyzny w Polsce w latach 60. XIX wieku; demokratycznej konstytucji w początkach II RP (z powszechnym

prawem wyborczym m.in. dla kobiet); reformy rolnej i masowego awansu robotników w toku podstawowego uprzemysłowienia w PRL; transformacji ustrojowej; objęcia rządów przez PiS w okresie 2015–2016 (z silnym akcentem na program socjalny). Oczekiwania na poprawę warunków życia są stale wysokie lub bardzo wysokie, bo żyjemy w społeczeństwie niezbyt zamożnym, a równocześnie w kulturze społeczeństwa konsumpcyjnego. Kluczowe pytanie brzmi: jakie sposoby poprawy warunków życia są ludziom najbliższe? Otóż liczne badania empiryczne pokazują, że ludzie w Polsce bardzo często liczą na pomoc i interwencję państwa (Rae, 2015). Akceptują hierarchię państwa, która w tym zakresie może być najbardziej pomocna. Niezbyt mocno wierzą w samych siebie, ale dodajmy: rośnie też – aczkolwiek powoli – poparcie dla postaw liberalnych i indywidualistycznych.

W sumie orientacja egalitarna jest silniejsza niż indywidualistyczna. Ta pierwsza jest najsilniejsza także w Polsce, podobnie jak w USA. Uznajmy za de Tocqueville'm, że tendencja egalitarna jest uniwersalna, ale pamiętać trzeba, że występować ona może z różną siłą. Jeśli przybiera postać radykalnego egalitaryzmu, to może zagrażać wolności. Jak pisał de Tocqueville: „Równość, obejmując panowanie za sprawą wolności, stopniowo wolność tę ograniczała” – przewidywał francuski myśliciel (de Tocqueville, 1976, s. 466).

Po drugie, silna jest w Polsce orientacja hierarchiczna, a ściślej – hierarchicznego kolektywizmu. Na rzecz

jej żywotności przemawiają następujące argumenty: (1) przede wszystkim „zależność do szlaku” w postaci wzorów ukształtowanych w ramach gospodarki folwarczno-chłopskiej i głębokich podziałów społeczno-kulturowych, jakie ona umacniała przez kilka stuleci; (2) dziedzictwo komunizmu z systemem planowania centralnego i nakazowo-rozdzielczego zarządzania, które wzmacniało rysy pozostawione przez gospodarkę folwarczno-chłopską (równocześnie zachodziły procesy przeciwne); (3) transformacja ustrojowa, która mimo swojego ładunku liberalno-demokratycznego przyniosła nowego typu hierarchie związane z nierównymi przyrostami bogacenia się (i nie tylko), choć masowe upowszechnienie szkolnictwa wyższego mogło mieć pewien efekt osłabiający nowe podziały; (4) wysokie oczekiwania na opiekuńcze funkcje państwa – to kolejny argument. Jest to orientacja silna, a polityka PiS o tendencjach definiowanych jako centralistyczne, może wzmocnić te postawy.

Hierarchiczna przeszłość żyje w nas. Olga Tokarczuk określa Polaka jako „gogolowską osobowość”, którą charakteryzuje jako: „taką osobowość, która funkcjonuje tylko w strukturze hierarchicznej. Dla stojących niżej ma butę i pogardę. Wobec postawionych wyżej – unizoność” (Tokarczuk, 2018, s. 10). Niejako rewersem systemu hierarchii jest bunt przeciwko niej, lub słabiej – negatywizm jako stały rys mentalności polskiego społeczeństwa. Rzeczywiście, nawet Wielka Solidarność okresu 1980–1989 jest przykładem tego rodzaju

woluntaryzmu, czy nawet populizmu, ale wyjątkowo innowacyjnym. Ruch społeczny Solidarność wpisał się w ciąg wydarzeń dowodzących możliwości szlachetnej mobilizacji społeczeństwa.

Po trzecie, najsłabsza jest w Polsce orientacja indywidualistyczna, ale rośnie ona też w siłę, bo takie postawy są coraz częstsze (Zagórski, 2018). Nadto instytucje w postaci powstałych po 1989 roku przedsiębiorstw prywatnych (ponad milion) świadczą o dużej skali innowacyjności instytucjonalnej w społeczeństwie (Cieślik, 2016).

Sumując, jeśli uznać orientację egalitaryzmu za najczęściej spotykaną tak w USA, jak w Polsce, choć oba społeczeństwa są mocno odmienne, to uznając ją za wymóg uniwersalny w cywilizacji nowoczesnej, należałoby szukać różnic kulturowych jako partykularyzmów w pozycjach drugich i dalszych. W USA pozycję nr 2 zajmuje indywidualizm, konkurencyjny indywidualizm, a w Polsce – hierarchia, hierarchiczny kolektywizm. Indywidualizm i hierarchiczność stanowią tym samym o głównej różnicy kulturowej między USA i Polską. W przypadku USA przesądza to o koalicji dwóch równości: indywidualizmu (równości szans) i egalitaryzmu (równości warunków życia), ale jak wszędzie – z domieszkami hierarchii, a w Polsce przesądza o koalicji hierarchii i egalitaryzmu, co dawać może albo demokrację społeczną, albo socjalkonserwatyzm. Pierwsze rozwiązanie pasuje nieźle do Polski w okresie 1989–2015, a drugie – do Polski po 2015 roku.

Uwagi końcowe

Fascynacja kapitalizmem trwa bez względu na to, czy sprawy mają się dobrze, jak w latach 90. ubiegłego wieku, czy wcześniej w tzw. trzydziestu wspaniałych latach po II wojnie światowej, czy kiedy jest źle, bo pojawia się kryzys, jak w latach 2007–2008. Znaczyłoby to, że kapitalizm dopracował się dość skutecznej inżynierii ekonomicznej. Rzadko pojawiają się zapowiedzi zgonu systemu (Wallerstein, 2013), częściej jest mowa o zagrożeniach – nie tyle ze strony klasy robotniczej, jak kiedyś, ile raczej ze względu na kryzys klas średnich, które niszczy rewolucja technologii informacyjnych (Collins, 2013). Krytyki kapitalizmu wychodzą na dobre systemowi, bo może się on naprawić. System wcale nie musi upaść, a to dlatego, że jest nie tylko systemem rynkowym, ale ekonomią polityczną, czyli posiada polityczne zabezpieczenia, np. państwo. Sprawia to, iż „rynki mogą funkcjonować w przyszłości nawet wtedy, kiedy zagrożone są kapitalistyczne systemy własności i finansów [...] System może się długo kołysać i nawet oddalać od równowagi, ale przedstawia sobą nieuniknioną bifurkację quasi-naturalnego systemu, jakby powiedział Wallerstein w ślad za Prigoginem” (Calhoun, 2013, s. 3, 135).

Równie ważnymi argumentami za kapitalizmem są jego zakotwiczenia społeczno-kulturowe, jakie starałem się pokazywać. Zwycięstwo Trumpa w USA dowodzi, że kapitalizm ma obrońców nawet w starej klasie

Ponieważ nasz kapitalizm jest spóźniony
i półperyferyjny, tym bardziej zmuszeni
jesteśmy do eksperymentowania.

robotniczej, która zdobywa się na popieranie najbogatszych, choć rosną nierówności społeczne. Taki plutokratyzm jest przejawem funkcjonowania kulturowych fundamentów kapitalizmu, a przede wszystkim wiary, że indywidualizm amerykański da sobie radę z wyzwaniami globalizacji, a nawet pomoże w realizacji wielu zasad egalitaryzmu.

Doświadczenia z kapitalizmem w Polsce noszą piętno braku ciągłości, czy to najpierw z powodu utraty niepodległości, czy z powodu ograniczonej suwerenności w okresie 1945–1989. Odzyskaliśmy wolność, ale historia się nie skończyła, bo Polska w okresie 1989–2015 była inna niż ta, jaka się wyłania w ramach „dobrej zmiany” od 2015 roku. To tłumaczy, dlaczego na transformację jedni spoglądają optymistycznie, a drudzy – pesymistycznie. Optymistycznie, ze względu na to, że Polska nie przeżyła kryzysu gospodarczego 2007–2008, co pozwoliło nazywać nas „zieloną wyspą” i twierdzić, że zaczęła Polska zajmować miejsce, jakie miała w epoce Jagiellonów (*A golden opportunity...*, 2014). A polski autor stwierdził, że: „Czegoś takiego jak III Rzeczpospolita nigdy nie zazналиśmy. Państwo przedrozbiorowe miało granice wschodnie dość płynne, a było niemal wyłącznie domeną szlachty. Państwo międzywojenne po rozstroju sejmowładztwa wprowadziło dyktaturę. Obie te Rzeczpospolite padły łupem sąsiadów” (Romanowski, 2018, s. 26).

Pesymistyczna była natomiast wyjściowa diagnoza PiS tuż po zwycięstwach politycznych 2015–2016 roku.

Padają określenia, że Polska była „w ruinie”, a nawet, że przed 1989 rokiem jakby w ogóle nie istniała. Taka zmienność ocen w czasach, w jakich przyszło nam żyć, to „nowa normalność”. Utrzymywanie się tego rodzaju diagnoz zmniejsza szanse na dobrą terapię, bo w grze dominują emocje, a nie wiedza, kompetencje praktyczne. I sprawdzone praktyki życiowe ludzi/społeczeństwa są zaprzepaszczone, co gorzej – lekceważona jest gotowość na otwarcie i eksperymentowanie ze sobą, wśród swoich i ze światem. Są to elementarne wymogi nie-ergodycznego świata, jak pisał North (North, 2014, s. 19–23).

Jeśli środowisko się ciągle zmienia, to doświadczenia naszych przodków nie wystarczają, bo mają przydatność okazyną, pokazową, sentymentalną. Jak rekonstrukcje historyczne, które są ostatnio fundowane polskiemu społeczeństwu. Ponieważ nasz kapitalizm jest spóźniony i półperyferyjny, tym bardziej zmuszeni jesteśmy do eksperymentowania. Choć wspomniane wyżej sprzeczne diagnozy nie muszą zaskakiwać, to nie one powinny dominować w naszym życiu, bo zwiększają stany anarchii, jakie znamy dobrze z naszej historii. Jeśli odrzucamy kapitalizm w wariacie neoliberalnym, a uznajemy kapitalizm za stan naturalny, to należałoby unikać wojen plemiennych czy obietnic-cacaneł w stylu postmodernistycznym, jakie obserwujemy w takiej czy innej kampanii wyborczej. Społeczeństwo polskie musi liczyć na siebie, bo UE czy USA mogą nam pomóc wtedy tylko, gdy sami lepiej nauczymy się zajmować swoją przyszłość.

Bibliografia

- A golden opportunity. The Second Jagiellonian Age. Special Report Poland (2014). *The Economist*, 28 June.
- Acemoglu, D. i Robinson, J.A. (2012). *Why Nations Fail. The Origins of Power, Prosperity, and Poverty*. New York: Crown Business.
- Arendt, H. (1951). *The Origins of Totalitarianism*. New York: Harcourt.
- Braudel, F. (2013). *Dynamika kapitalizmu*. Warszawa: Wydawnictwo Aletheia.
- Calhoun, C. (2013). What threatens capitalism now? W: I. Wallerstein i in., *Does Capitalism Have a Future?* Oxford: Oxford University Press.
- Cieślak, J. (2016). Polskie przedsiębiorstwa wobec wyzwań przyszłości. W: W. Morawski (red.), *Wobec wyzwań jutra*. Warszawa: Wolters Kluwer Polska.
- Collins, R. (1986). *Weberian Sociological Theory*. Cambridge: Cambridge University Press.
- Collins, R. (2013). The end of middle class: no more escapes. W: I. Wallerstein i in., *Does Capitalism Have a Future?* Oxford: Oxford University Press.
- Comte-Sponville, A. (2012). *Czy kapitalizm jest moralny? O niedorzecznościach i tyranii naszych czasów*. Warszawa: Wydawnictwo Czarna Owca.
- Desai, M. (2001). Capitalism. W: J. Krieger (red.), *The Oxford Companion to politics of the world*. Oxford: Oxford University Press.
- Fukuyama, F. (2001). The limits of liberal democracy. W: J. Krieger (red.), *The Oxford Companion to politics of the world*. Oxford: Oxford University Press.
- Fulcher, J. (2015). *Capitalism. A Very Short Introduction*. Oxford: Oxford University Press.
- Kaletsky, A. (2010). *Capitalism 4.0. The Birth of a New Economy in the Aftermath of Crisis*. New York: Public Affairs.

- Kochanowicz, J. (2010). Polska w epoce nowoczesnego wzrostu gospodarczego. W: W. Morawski (red.), *Modernizacja Polski. Struktury. Agencje. Instytucje*. Warszawa: WAI.P.
- Kotkin, S. (2018). Realist World. The Players Change, but the Game Remains. *Foreign Affairs*, July, 97(4).
- Miłosz, Cz. (2006). Pomiędzy przeszłością a przyszłością. Odczyt z okazji otrzymania Nagrody Nobla, 8 grudnia 1980. W: *Wielkie mowy historii. Od Kennedy'ego do Ratzingera*. Warszawa: Polityka.
- Miłosz, Cz. (2012). Nowoczesność idylliczna. W: *Charlesa Taylora wizja nowoczesności. Rekonstrukcje i interpretacje*. Lublin: Oficyna Wydawnicza Łośgraf.
- North, D.C. i Thomas, R.P. (1973). *The Rise of the Western World. A New Economic History*. Cambridge: Cambridge University Press.
- North, D.C. (1997). Institutions, Economic Growth and Freedom. An Historical Introduction. W: S. Pejovich (red.), *The Economic Foundations of Property Rights. Selected Readings*. Cheltenham-Lyme, N.H.: Elgar.
- Nowak, A. (2019). O folwarku, panach i polskich kompleksach. *ARCANA*, wrzesień–październik.
- Offe, C. (1996). *Modernity and the State: East, West*. Cambridge/Oxford: Polity Press.
- Parsons, T. (1972). Culture and the Social System Revisited. *Social Science Quarterly*, 53.
- Rae, G. (2015). Stosunek Polaków do sektora publicznego i interwencjonizmu państwowego. W: K. Zagórski i in. (red.), *Postawy ekonomiczne w czasach niepewności. Ekonomiczna wyobraźnia Polaków 2012–2014*. Warszawa: Wydawnictwo Naukowe Scholar.
- Sandoz, E. (2001). Bill of Rights. W: J. Krieger (red.), *The Oxford Companion to politics of the world*. Oxford: Oxford University Press.
- Selznick, Ph. (1960). *The Organizational Weapon*. New York: Free Press.

- Sowa, J. (2011). *Fantomowe ciało króla. Peryferyjne zmagania z nowoczesną formą*. Kraków: Universitas.
- Taylor, Ch. (2006). *Modern Social Imaginaries*. Durham, NC: Duke University Press.
- Tocqueville, A. de (1970). *Dawny ustrój i rewolucja (Old Regime and the Revolution)*. Warszawa: Czytelnik.
- Tocqueville, A. de (2012). *Democracy in America*. Indianapolis: Liberty Fund.
- Tokarczuk, O. (2018). Diabelskie poczucie bezsilności (Aleksandra Pawlicka's interview with Olga Tokarczuk). *Newsweek. Wydanie specjalne*, 3.
- Wallerstein, I. (1974). The Rise and Future Demise of the World Capitalist System. Concepts for comparative analysis. *Comparative Studies in Society and History*, 16(4): 387–415.
- Wallerstein, I. (2013). *Structural crisis, or why capitalists may no longer find capitalism rewarding*. W: I. Wallerstein i in., *Does Capitalism Have a Future*. New York: Oxford University Press.
- Wildavsky, A. (1987). Choosing preferences by constructing institutions: a cultural theory of preference construction. *American Political Science Review*, 81(1).
- Wildavsky, A. (1998). *Culture and Social Theory*. New Brunswick (USA) and London (UK): Transaction Publishers.
- Wyczański, A. (1999). *Polska w Europie XVI stulecia*. Poznań: Wydawnictwo Poznańskie.
- Zagórski, K. (2018). Etatism versus liberalism: Economic attitudes in Poland after their world crisis. *Journal of Management and Business Administration Central Europe*, 26(1).
- Zamoyski, A. (2009). *Historia*. Kraków: Wydawnictwo Literackie.